



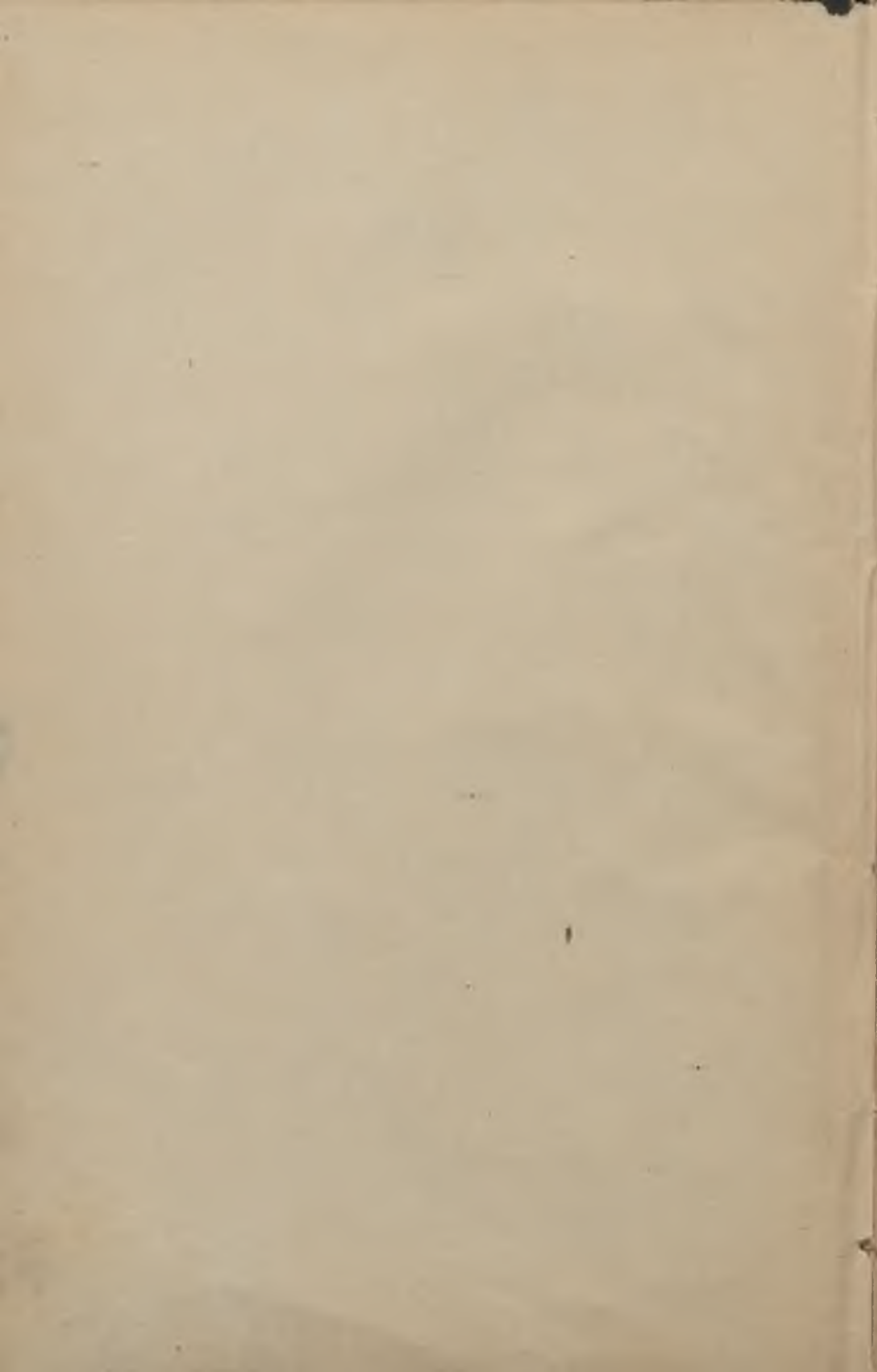
PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



106482





MANUELA

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 8 □ Sierpień 1910

MANUELA.

Redaktor:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot).



Wydawcy:
GEBETHNER I WOLFF.

GUSTAW ZIELIŃSKI

AUTOR „KIRGIZA“



MANUELA

OPOWIADANIE STAREGO WETERANA
Z KAMPANII NAPOLEOŃSKIEJ W HISZPANII



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1910

k. 162/81



106482

DRUK PIOTRA LASKAUERA.
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.



— Manuelo! droga Manuelo!...

I.

Napoleon, osobiście przybywszy na teatr wojny 5-go listopada 1808 r. z 80,000 nowych posiłków, starych pułków, wypróbowanych w kampaniach niemieckich, natychmiast rozpoczął działanie.

Odrązu czuć było, że to mistrz ujął w silną dłoń cały mechanizm i potężnie nim kierował. Pod Burgosem korpusami Soulta i Bessiera oraz swoją gwardyą rozbił środek sił nieprzyjacielskich, pod Espinosą przez marszałków Lefebra i Victora rozproszył armię Blacka, a 22-go listopada, kierując korpusami Lannesa i Moncey'a, rozbił pod Tudelą połączoną armię Castanosa i Palafoxa, liczącą około 45,000 ludzi. W ostatniej bitwie brałem i ja udział, należąc z pułkiem do korpusu Moncey'a. Wzięliśmy 7 chorągwi, 30 dział z całym ryszunkiem, 12 pułkowników, 300 oficerów, 3,000 żołnierzy do niewoli, a do 4,000 pozostało na placu zabitych i rannych. Pułk nasz się odznaczył, a nasz pułkownik chlubnie został wspomniany w raporcie marszałka do cesarza.

Palafox z resztkami armii aragońskiej cofał się ku Saragossie, dokąd nasz korpus Moncey'a ślad w ślad za nim postępował. Przybywszy do Alagonu, zatrzy-

maliśmy się w oczekiwaniu posiłków i materiału wojennego. Artylerya oblężnicza, złożona z 60 dział, 20,000 narzędzi, 100,000 worków do ziemi, kosze i faszyny — wszystko zostało przysposobione, magazyny i szpitale założone w Alagonie; a gdy przybył marszałek Mortier z dwoma jeszcze dywizjami, uznawszy, że już siły są dostateczne do opanowania Saragossy, w dniu 19 grudnia ruszyliśmy naprzód i rozłożyliśmy się pod tem miastem celem rozpoczęcia oblężenia.

Ale dopiero dzień 18 lutego 1809 r. miał być dniem ostatecznego sądu dla stolicy Aragonii.

Jeszcze przed północą ruszyliśmy z obozu, aby zlu-zować oddziały, dnia poprzedniego walczące, i zająć ich stanowisko.

Mnie dostał się punkt niebezpieczny, najwięcej wysunięty ku nieprzyjacielowi. Był to dom obszerny, wychodzący frontem na ulicę Cosso. Posterunek ten był podwójnie ważny: raz dlatego, że nas stawał w bezpośrednim zetknięciu z główną linią obron nieprzyjacielskich, powtóre, że, jako stanowisko flankowe, osłaniał w części atak nasz, wymierzony na gmach uniwersytetu.

Zdobycie i utrzymanie tej pozycji wiele krwi kosztowało. Przez dwa dni poprzednie zacięta toczyła się walka, od piwnic aż do poddasza. Każde piętro, każda komnata były zdobywane i tracone. Nasi ostatecznie wzięli górę i stali się panami — ruiny.

Oficer francuski, który zdawał posterunek, zostawił mi cały przyrząd wojenny, to jest worki z ziemią i wełną, drabiny, oskardy, drągi żelazne, petardy, bomby i granatki, objaśnił o pozycjach i sile nieprzyjaciela, o punktach, wymagających większej baczności; opowiedział, ile go trudów i ludzi kosztowało utrzymanie tego stanowiska; rozprowadziwszy warty i zabrawszy swo-

ich rannych i zabitych, pożegnał mnie życzeniem dnia pomyślnego.

Po ustąpieniu oddziału francuskiego, zająłem się raz jeszcze szczegółowem zbadaniem mojej improwizowanej fortecy. Była to w całym znaczeniu ruina; drzwi i okna zewnętrzne zabarykadowane, kamieniami, ceglami i workami z ziemią zawalone; strzelnice naokół wykute, jak w blokhauzie; dachy i sklepienia podziurawione, schody poniszczone, w ścianach wybite otwory, służące za komunikację; wszędzie pełno gruzów i szczątków sprzętów połamanych; do tego taki nieznośny odór z trupów, wałających się na wszystkich piętrach, że wytrzymać prawie było niepodobna. Gdym robił przy świetle świecy przegląd tych pustek, strach mnie ogarnął, czy za pierwszym wystrzałem z działa reszta tych sklepień i dachów nie runie i w gruzach nas nie zagrzebie.

Zaraz po północy, gdy wszystko jeszcze było spokojne, odezwał się dzwon alarmowy na wieży Torre-Nuevo i już brzmieć nie przestawał; dźwięki jego, jakby za konających, żałobnie rozlegały się ponad całym miastem. Hiszpanie, widząc z naszej strony ruch i przygotowania, przysposabiali się także do olbrzymiej walki. Dzień więc obiecywał, że będzie gorący.

Trzeba było korzystać z chwil jeszcze spokojnych. Stanowisko moje głównie było zagrożone z frontu od ulicy Cosso, mającej w tym miejscu szerokość około pięćdziesięciu kroków: Hiszpanie w domach, naprzeciw stojących, mogli zaprowadzić baterię, zbombardować mój posterunek, a następnie wziąć go szturmem.

Z lewej strony dotykałem jakiejś wąskiej uliczki, której druga strona była zajęta przez Hiszpanów; chociaż dom, przeze mnie zajmowany, miał grube mury i oprócz strzelnic nie było żadnego otworu na tę uliczkę, z tej strony,

mogło mi także grozić niebezpieczeństwo — nieprzyjaciel mógł dostać się na dach i granatami ręcznymi ze stanowiska nas wykurzyć, albo mógł się podkopać do piwnic i jedną baryłką prochu wysadzić nas w powietrze. Od strony prawej byłem bezpieczny. Była to również ruina, ale ogniem trawiona: nieprzyjaciel, nie mogąc domu tego obronić, a chcąc zabezpieczyć dalsze domy tego obwodu, ogień zapuścił. Pożar jeszcze nie ugasł; dopalały się resztki przedmiotów zapalnych; dym, śwąd i ogień czyniły to miejsce neutralnem dla obu stron walczących. Czwarta nareszcie strona stanowiła nasze komunikacye z ulicą Medio, aż do tego punktu zajętą przez nasze rezerwy.

Obchodząc więc moje stanowisko, uznałem za potrzebne niektóre zmiany zaprowadzić w dotychczasowem rozporządzeniu. Wzmocniłem warty, gdzie mi się zdawał punkt więcej zagrożony; na inne miejsca przenieśliśmy placówki, aby łatwiej można było warty posiłkować; obwarowałem lepiej niektóre drzwi i okna, oczyściłem komunikacye, brak schodów zastąpiłem drabinami; trupy kazałem zwlec w jedno miejsce, skądby najmniej zarażały powietrze, amunicyę zaś i żywność przenieść w tę część budowli, która najmniej wystawiona była na niebezpieczeństwo.

Skończywszy te przygotowania, z resztą moich ludzi, składającą rezerwę, zakwaterowaliśmy się w kuchni, dotykającej wewnętrznego podwórka. Noc była zimna; z resztek drzwi, okien i sprzętów roznieciliśmy ogień; przy ogniu jedni drzemali, drudzy kurzyli cygarety, inni się modlili, inni znów przeklinali wojnę, która, zamiast zbliżyć się do końca, z każdym dniem z nową rozpoczynała się wściekłością, a opór Hiszpanów, zamiast słabnąć, zdawał się wzmacniać i nowych sił nabierać.

Palafox, wódz, którego żadne przeciwności zachwiać ani ugiać nie zdołały, postawił miasto w stanie zupełnej obrony. Całe miasto z wszystkimi klasztorami i kościołami zamieniło się na niezliczoną liczbę fortec, połączonych ze sobą i wzajem się wspierających; wszystkie mury opatrzone strzelnicami, wszystkie ulice poprzecinano barykadami i najeżono działami; każda stopa ziemi broniona była tysiącem pocisków; miny, bomby, granaty, kartacze, kule karabinowe, kamienie, dachówki, sprzęty domowe, oliwa wrząca były przygotowane, aby zasypać, zgnieść, zniszczyć oblegających.

27 stycznia, w godzinę może po północy, dano mi znać, że jakiś starszy oficer francuski przybył dla obejrzenia stanowiska. Pośpieszyłem na jego spotkanie. Był to podpułkownik Haxo, jeden z najzdolniejszych inżynierów francuskich. On w dniu tym na naszym skrzydle dowodził atakiem. Miał w swojej świcie paru oficerów inżynieryi i kilku saperów. Powitałem go i przedstawiłem mu się jako komendant stanowiska.

— Jakto? pan tu jesteś komendantem? — zapytał mnie tonem jakby zdziwienia i niedowierzania.

— Tak, panie pułkowniku. Z oficerów kompanii sam jeden pozostałem i zastępuję miejsce ранnego kapitana.

— A kogóż masz pan do pomocy?

— Mam dwóch sierżantów, którzy są przedstawieni na oficerów i w zastępstwie pełnią ich służbę.

— Proszę mi pokazać swoje stanowisko.

Zaczął się więc przegląd od sklepów aż do dachu. Pułkownik, który widać znał dokładnie tę miejscowość i poprzednie stanowisk obsadzenie, odrazu dostrzegł zmiany, jakie zaprowadziłem. Musiałem mu się zc wszystkiego tłómaczyć, wyraźnie wziął mnie na egzamin, ale widać, że był zadowolony z moich objaśnień, bo ciągle

powtarzał: „To dobrze, to dobrze, to bardzo dobrze“ i nic z moich rozporządzeń nie odmienił. Gdyśmy doszli na poddasze, kazał światło na piętrze zatrzymać, a sami pociemku zbliżyliśmy się do otworów, skąd najlepszy mógł być widok na ulicę Cosso. Noc nie była zupełnie ciemna, z trudnością jednak można było rozeznawać przedmioty, po drugiej stronie ulicy położone. Patrzył długo, używał nawet lunety, ale zdaje się, że niezupełnie był zadowolony z robionych obserwacji, bo, wracając, rzekł do mnie:

— Za ciemno, trudno co zobaczyć; migające się tylko światła pomiędzy strzelnicami dowodzą, że wielki ruch panuje w obozie hiszpańskim. Tem lepiej. Będziemy mieli dzień wspaniały.

A wróciwszy na piętro, dodał, że chciał się przekonać, czy w przeciwległym obwodzie domów Hiszpanie przez noc dział nie zaprowadzili, i lubo dostrzegł tam jakieś przygotowania, zdaje mu się, że o działach zapomnieli.

— Ha! — rzekł — jeśli nieprzyjaciel błąd popełnił, to powinniśmy umieć z niego korzystać. Hiszpanie, dzielny naród, biją się, jak lwy, fanatycznie bronią swoich ognisk, ale brakuje im dobrych inżynierów, i to jest właśnie nasze szczęście.

Potem, zwracając się do mnie, zapytał:

— Czy pan pobierałeś nauki w jakiej szkole wojskowej?

— Nie, panie pułkowniku, tylko pracowałem nad sobą. Znam dobrze matematykę i starałem się obeznąć z głównymi zasadami inżynierii wojskowej.

— Szkoda, żeś pan nie starał się wejść do inżynierii. Miałbyś tam więcej sposobności do odznaczenia się. Zresztą, cieszy mnie, że na tem stanowisku, które

uważam za nader ważne, znajduję oficera nie tylko odważnego, ale i naukowo wykształconego. Miałem zamiar zostawić tu jednego z moich oficerów, ale, poznawszy pana, uważam to za niepotrzebne. Oni mi się gdzieindziej przydadzą. Panu zostawię tylko moich saperów.

— Saperów? — zapytałem cokolwiek zdziwiony.

— Tak, oddaję panu saperów pod komendę. Oni będą potrzebni.

I, wzięwszy mnie na stronę, dodał cichszym głosem:

— Panie komendancie, to, co ci teraz powiem, zachowaj do czasu przy sobie. Dziś nastąpi ogólny atak na wszystkich punktach. Musimy się dostać do środka miasta jakimkolwiek kosztem, aby raz skończyć z tem oblężeniem. Stanowisko, które pan zajmujesz, podług mojego przekonania jest jedno z najważniejszych. Nie o to bowiem chodzi, żeby je utrzymać, bo ja sam nad tem czuwać będę, żeby nie było stracone, ale głównie potrzeba nam zdobyć ten obwód domów, położonych naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy Cosso.

— Ależ, panie pułkowniku! — przerwałem.

— Wiem, co mi pan chcesz powiedzieć, że już dwa razy te domy mieliśmy w naszych rękach i za każdym razem ze stratą musieliśmy ustąpić przed natarczywością Hiszpanów. Zaczęliśmy nawet robić drogę krytą, i tę trzeba było porzucić, nie mogąc wytrzymać ognia nieprzyjacielskiego. To wszystko jest prawda. Trudności są wielkie, ale je przewyciężyć należy. Wam, Polakom, zostawiam zaszczyt dopełnienia jednego z najświetniejszych czynów w tem oblężeniu, i pewny jestem, że się nie zawiodę. Gdyby nam się dzisiejszy atak nie powiódł, nie mamy tu co robić, wypadnie odstąpić od Saragossy... Ale nie! toby była rzecz haniebna!... Na dziś jest wszystko przygotowane, na naszym skrzydle rozpocznie się

walka; hasło dane będzie z baterji najbliższej od pańskiego stanowiska, która jest urządzona przy końcu ulicy Quemada. Skoro się kanonada rozpocznie, uszykujesz pan z części swego oddziału kolumnę atakową i czekać będziesz, dopóki miny nie zostaną zapalone. Skoro wybuch nastąpi, a stąd powszechne w obozie nieprzyjacielskim zamieszanie, wtenczas ruszą wszystkie kolumny do szturm, i pan weźmiesz obwód domów naprzeciwko położony, a ja posunę rezerwy i przyślę minierów dla urządzenia komunikacyi. Póki czas, obmyśl sobie dobrze plan ataku, zachowaj przezorność, a mianowicie: żeby nie zwrócić uwagi nieprzyjaciela, że się w tym punkcie ważna jaka czynność przygotowuje.

Odchodząc, podał mi rękę i rzekł:

— Do zobaczenia!

Po odejściu pułkownika, wyznam, że byłem zakłopotany tą myślą, w jaki sposób wykonać dane mi polecenie. Przejście przez Cosso i usadowienie się na drugiej stronie było dotąd całkiem niepodobnem zadaniem.

Cosso bowiem dotąd stanowiło, że tak powiem, krąg zaczarowany, poza który ani po ziemi, ani pod ziemią nie udało się przekroczyć naszym wojownikom.

Ponieważ miałem sobie ułożyć plan ataku, poszedłem na górne piętro i długo przypatrywałem się przez strzelnice owym domom, naprzeciwko położonym, rozmyślając, jak przejść przez Cosso i od którego domu atak rozpocząć. Gdy tak nieruchomie wpatruję się w jeden przedmiot, żołnierz, stojący przy strzelnicach na warcie, zaciekawiony, co tak moją zwraca uwagę, od czasu do czasu wyglądał także na ulicę, ale, nie mogąc nic zobaczyć, a sądząc, że mi swym wzrokiem dopomoże, zapytał mnie znienacka najdoskónalszym mazowieckim akcentem:

— A czego to tam pan porucznik tak się dopatruje?

Nie spodziewając się zapytania, prawie bez myśli, aby go się pozbyć, odpowiedziałem:

— Oto widzisz, patrzę, jakby przejść na tamtą stronę ulicy.

— Abo to co wielkiego! — z lekceważeniem rzekł Mazur. — Toć to nie daleczko.

Roześmiałem się z tej uwagi i rzekłem:

— Zapewne, że nie daleko, jeżeli do nas strzelać nie będą, ale jak nas poczęstują z poprzecznic kartaczami, to choć nie daleko, nie dojdziemy.

— Ba, i co to! — rzekł Mazur. — To też sztuczka na sztuczkę. Jak włożymy worki z wełną na plecy, a pójdziemy chyłkiem, to da Pan Jezus, że i dojdziemy. Chyba, że oni tacy mądrze, że nam w ślepie pluną z harmaty.

Istotnie, ta uwaga prostego żołnierza, a zwłaszcza wyraz „chyłkiem“, wyprowadziły mnie z labiryntu trudności. Mazur miał rację, że tylko bateria z frontu w części mogła nam być niebezpieczną; co zaś do poprzecznych baterii, to z prawej strony przypuścić należało, że, wskutek wysadzenia min, na jakiś czas ucichnie, z lewej zaś strony będąca mogła nam całkiem nie szkodzić, w tem bowiem miejscu, gdzieśmy mieli przechodzić szerokość ulicy Cosso, był pewien rodzaj niskiego wału, utworzonego ze źle zasypanej drogi krytej, którą przed paru dniami chcieliśmy urządzić; poza tem więc wzniesieniem, na którym wiele leżało trupów hiszpańskich, można się było dość bezpiecznie przesuwać na drugą stronę ulicy. Dodawszy do tego, że atak miał nastąpić jeszcze w ciągu nocy, strzały z baterii lewej musiałyby być nadzwyczaj celne, żeby nam mogły znaczną szkodę wy-

rzadzić: mogły albo górować, albo się strącać o wyniosłość.

Mając więc pierwszą część zadania rozwiązana, myślałem teraz o drugiej, to jest o zdobyciu domów. Byłem pewien, że Hiszpanie dział nie zaprowadzili. Czy nie chcieli, czy nie mogli, tego nie wiem, ale migające się gęste światła poza strzelnicami dowodziły, że tam ruch wielki panuje. Co się tam przygotowywało, odgadnąć nie mogłem. Tę więc część zadania pozostawiłem ślepemu trafowi i Opatrzności Boskiej.

Wydałem zatem żołnierzom rozkazy, aby każdy wiedział, jakie w danym razie ma zająć stanowisko. Do kolumny atakowej, którą sam miałem dowodzić, wybrałem dwudziestu pięciu ludzi i saperów. Rezerwa tej samej siły miała osadzić strzelnice od ulicy Cosso i ogniem swoim osłaniać nasze przejście — na znak umówiony, przybyć mi na pomoc, lub też, gdy ten nie będzie dany, czekać, aż droga kryta będzie urządzona, i za jej pośrednictwem przeprowadzić żywność i resztę materiału wojennego. Odbarykadowanie wyjść na ulicę kazałem dopełnić w największej cichości, aby nie zwrócić uwagi nieprzyjaciela — nawet światła od ulicy pogasić kazałem.

Była trzecia po północy, kiedy się rozległ ponad spokojnem jeszcze miastem huk wystrzału działowego, dającego hasło do mającej rozpocząć się walki. Zerwaliśmy się wszyscy na nogi i każdy pośpieszył zająć wskazane stanowisko. Po niejakej chwili na prawo i na lewo, na całej linii naszych ataków i obron nieprzyjacielskich, rozwijać się zaczęła kanonada, której towarzyszył trzask gęsto sypanych strzałów karabinowych. Trwało to czas jakiś, kiedy naraz zatrzęsła się ziemia, gdy na przedmieściu Arabal za Ebrem z pięćdziesięciu dział naszych, ustawionych w baterję, dano salwę. Walka przybierać

zaczęła olbrzymie rozmiary. Bomby i granaty z prze-
żliwym sykiem zaczęły padać i pękać wśród miasta. Huk
coraz się zwiększał. Saragossa otoczyła się pasem ogni-
stym, dymy gęste zaczęły się unosić nad miastem, a na
tych dymach zaświeciła luna, która krwawemi barwami
oblała i miejsce walki i walczących.

Ta walka śród nocy, oświetlona błyskiem strzałów
i luną pożarów, ci ludzie wynędzniali od chorób i tru-
dów, i czarni od dymu, z oczyma tylko dziko błyszczą-
cemi, ten huk ogłuszający, z którego się wybijały: ryk
dział, wrzawa wojenna, jęki konających, loskot bębnow,
dźwięk dzwonu, trzask walących się domów, fanfary trąb
i kotłów, któremi obleżeni odpowiadali na pękanie bomb
i granatów — to wszystko, zlewając się w jedną całość,
tworzyło razem obraz straszliwy, piekielny, a obok te-
go majestatyczny.

Dreszcz mnie przechodził, gdym słuchał tej prze-
rażającej harmonii. I kiedy z oczyma wyteżonemi na
Cosso, z przyspieszonym sercem biciem, oczekuję chwili,
w której sam wezmę udział w tych morderczych zapasach,
nagle blask ogromny, jakby ze stu zapalonych błyskawic,
oblał całą ulicę i przeciwległe domy, słup dymu czarne-
go jakby z paszczy wulkanu buchnął w powietrze i huk
taki straszliwy rozległ się nad miastem, żeśmy prawie
pogłuchli, mury zaś naszego stanowiska zatrzęsły się,
grożąc zawaleniem. Był to skutek dwóch min naszych, na-
bitych trzema tysiącami funtów prochu i zapalonych pod
murami uniwersytetu. Zrobiło się ciemno. Dym gęsty
zasłonił ulicę. W całej okolicy umilkły działa. Słychać
tylko było spadające z powietrza cegły, kamienie i szcząt-
ki poszarpanych ciał ludzkich. Było to okropne!

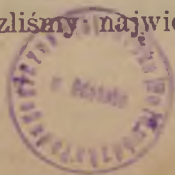
W tej chwili na kilku punktach odezwały się bębny,
bijące do ataku. Nadszedł i dla nas moment stanowczy.

Wszystkie przygotowania były zrobione, strzelnice osadzone wojskiem, wyjścia odwalone, kolumna atakowa sformowana—dobosz uderzył w bęben. Przycisnąwszy konwulsyjnie do piersi mój medalik z Matką Boską i krzyknąwszy: „Wiara, za mną, naprzód!“ z dobytą szpadą rzuciłem się na ulicę.

Długo trwało przejście. Ile kul karabinowych świsnęło mi koło uszu, ile kartaczy warknęło nad moją głową — nic tego nie wiem. Szedłem tylko naprzód, ale tak oszolomiony ostatnią eksplozją, że nic ani słyszałem, ani widziałem. W uszach mi szumiało, w oczach ciemniało, zdawało mi się, że się jeszcze ziemia chwieje pod memi nogami. Przyszedłem dopiero do przytomności, gdy już dotknąłem murów, które mieliśmy zdobywać. Kannonada, która chwilowo przycichła, rozwinęła się teraz z większą mocą na nowo. Trzeba się było śpieszyć ze zdobyciem nowego stanowiska.

Saperzy znaleźli się zaraz koło mnie i zaczęli wywalać wejścia. Jedno i drugie znaleźli zasypane gruzami. Trzeba było po drabinach piąć się na mury. Gdy się drapię po jednej i już sięgam otworu, jakież moje zdziwienie, kiedy słyszę głos znajomy i widzę rękę wysuniętą z otworu, która mi do wdrapania się dopomaga. Kilku moich żołnierzy już się pierwej dostało do wnętrza i już po nim gospodarowali. Niedługo znalazł się i cały oddział, tylko mi dwóch brakowało. Zajęliśmy więc w posiadanie nie obwód domów, ale najzupełniejszą ruinę, a w niej kurz taki gęsty, że ani widzieć co, ani oddychać było niepodobna, z ostrożnością więc trzeba było naprzód postępować.

Zebrawszy zmysły, zdziwiony niezmiernie byłem, że bez wystrzału, prawie bez straty, stałem się panem tak ważnego stanowiska. Ale się rzecz wkrótce wyjaśniła— cudem tylko uszliśmy największego niebezpieczeństwa.



Hiszpanie, widząc przygotowania nasze na wielu punktach, postanowili zaniechać dalszego ataku w tem miejscu, na dom, który zajmowałem przy ulicy Cosso, ale, domyślając się, że my będziemy ich atakowali, podminowali w nocy przystępy do zajmowanego przez siebie obwodu domów. Zbawiło nas zapalenie min pod uniwersytetem: od huku tej eksplozji kominy, dachy, sklepienia, nawet część murów wewnętrznych, runęły i zasy-pały i miny i tych, którzy je dla nas przygotowywali. Bez tej eksplozji, bylibyśmy wysadzeni w powietrze, nie doszedłszy jeszcze murów. Gruzy aż pod piętro zasy-pały wewnątrz. Na gruzach z dzikiem zadowoleniem obchodziliśmy zwycięstwo, gdy pod gruzami drgały jeszcze ciała, żywcem zagrzebanych kilkudziesięciu obrońców Saragossy. W dalszej części tego obwodu domów spotka-liśmy pojedynczo zaledwie kilkunastu Hiszpanów, któ-rzy, nie ochłonawszy jeszcze z przerażenia, za zbliże-niem się naszym, owe zwaliska opuścili.

Przedewszystkiem trzeba było obejrzeć i umocnić zdobyte stanowisko. Światło od łuny i opadający kurz dozwoliły lepiej mu się przypatrzeć. Mury zewnętrzne od ulicy Cosso ocalały, ale tak poszczerbione i popękane, że z każdą chwilą groziły zawaleniem; z murów we-wnętrzných mało co zostało w całości. Od bocznych uli-czek, otaczających ten obwód domów, ocalała część bu-dowli z dachami; najlepiej jednak zachowany był ko-ściołek, który zakończył w kierunku miasta owo stano-wisko. Jeżeli mury zewnętrzne nie wiele broniły, to z drugiej strony utrudniały przystęp oblegającym, bo, w razie szturmu, mogły ich samych przywalić.

Zabezpieczeni więc na czas jakiś od napaści, mo-gliśmy spokojnie zająć się obwarowaniem. W kilku bo-wiem miejscach trzeba było sypać wały z gruzów, aby

w ten sposób wzmocnić wątłe mury, w innych miejscach należało obwarować przystępy przez worki z ziemią i wełną. Ponieważ przybyła mi w pomoc moja rezerwa, zajęliśmy się więc robotą, a tymczasem minierzy z dawnego mego posterunku rozpoczęli urządzać drogę krytą przez Cosso, którą przybyć miała reszta mego oddziału i otworzyć komunikacye z zajętemi przez wojska nasze przedmieściami. Straty moje dotąd były mało znaczące: dwóch zabitych i trzech rannych; rozstawione zaś warty, lubo sypały dosyć żywy ogień na nieprzyjaciela, było to więcej dla formy—dla osłonięcia robót, jakie reszta oddziału wewnątrz dokonywała.

Roboty szły dosyć pomyślnie, droga kryta także była na ukończeniu, kiedy się dzień zrobił i, pomimo nieopadłego jeszcze kurzu i zadymionej od prochu atmosfery, można było już lepiej rozeznawać więcej oddalone przedmioty. Byłem bardzo zadowolony, że z tak niewielką stratą udało mi się tak ważne opanować stanowisko, i byłem nieledwie pewien, że, skoro je postawię w warunkach należytej obrony, potrafię się oprzeć wszelkim usiłowaniom nieprzyjaciela, i w dniu tym, gdzie na wszystkich punktach tak zawzięta toczyła się walka, ja jeden większą część czasu będę mógł spędzić beczynnym, ograniczając się do prostej tylko obrony, bo o dalszych zdobyczach nie marzyłem.

Jakież było moje zadziwienie, kiedy naraz mnóstwo strzałów karabinowych i ręcznych granatów posypało się w sam środek mego stanowiska. Żołnierze, kaleczeni od czerepów, porzucili robotę i każdy szukał gdzie mógł schronienia. Trzeba było naprzód wysledzić, skąd na nas spadają pociski, które w połączeniu z zewnętrznym atakiem mogły nas postawić w największym niebezpieczeństwie. Dostrzegłem więc, czegom pierwiej z powodu ciem-

ności i kurzu nie mógł zobaczyć, że w bok kościołka, poza wąską uliczką, dom jeden dwupiętrowy z poddaszem na słupach opartem, przedstawiającem się w formie nakrytego dachem tarasu, górował nad mojem stanowiskiem.

Hiszpanie, zaczajeni za słupami poddasza, strzałami i granatami łatwo nas mogli z zajętej placówki wykurzyć, bo od nas byli dobrze zabezpieczeni, a panowali nad całą częścią odkrytą. Nie pozostawało nic innego, tylko albo zaraz opuścić zdobyte stanowisko, albo bez zwłoki czasu zająć się opanowaniem owego domu, który górował nad naszą pozycją. Ponieważ droga kryta została ukończona i reszta mego oddziału przybyła w pomoc, wybrałem drugie.

Tu się dopiero rozpoczęła walka na zabój. Nie będę opowiadał szczegółów, to tylko powiem, że obrona i zdobycie tego jednego niewielkiego domu należy do najświetniejszych ustępów całego oblężenia. Od piwnic aż do poddasza trzeba było każdą piędź ziemi zdobywać, a obok tego bronić od dwóch stron przystępu szturmującym Hiszpanom. Walczyliśmy jednocześnie pod ziemią, na ziemi i nad ziemią. Pod ziemią szliśmy przekopem do piwnic owego domu — petardą zrobili otwór, i dostawszy się do piwnicy, wykluliśmy wszystkich znajdujących się tam Hiszpanów.

Po ziemi, pomimo gradu sypiących się pocisków, w przejściu przez niską uliczkę, zdobyliśmy parter, a trzeba było każdą komnatę oddzielnie brać szturmem. Aleśmy się na piętro dostać nie mogli. Trzeba było innego szukać sposobu. Od kościołka więc na drugie piętro przerzuciliśmy belki. W przejściu po tych belkach kilku spadło, przez kule zrzuconych, ale wzięliśmy piętro. Wszystkie sztuki i podstępny wojenne z obu stron były użyte, a każdy krok opłacony był życiem wielu walecznych.

Była pewnie godzina trzecia po południu, kiedy ostatecznie wyparowaliśmy nieprzyjaciela z poddasza. Sił nam już zabrakło, tak byliśmy trudem wycieńczeni.

Zwycięstwo nasze nie było tanie: zdobycie domu wraz z poprzednimi dniami tego stratami kosztowało pięćdziesięciu ludzi w zabitych i rannych. Zażądałem też posiłków. Nowy oddział zajął moje stanowisko, ja z resztą moich ludzi rozłożyłem się w domu świeżo zdobytym, a osadziwszy tylko poddasze, reszcie kazałem posilić się i wypocząć.

Żołnierz był wprawdzie strudzony, ale na duchu nie upadał. Z pola walki dochodziły nas od czasu do czasu, wprawdzie pomyślne, ale przesadzone wieści. Mówiono, że Arabal zdobyty, most na Ebrze zerwany, kościół Najświętszej Panny Maryi del Pilar w ruinie, że oddziały nasze na całej linii przeszły szerokość Cosso i w jądro miasta wkraczały. Żołnierz instynktowo zgadywał, że zbliża się koniec jego cierpień, robił więc z siebie poświęcenie i nie żałował wysiłku, byle tylko raz skończyć z tem niemającym dotąd przykładowym oblężeniem.

Noc bezsenna i tylogodzina walka tak innie znużyły, że prawie na nogach utrzymać się nie mogłem. Potrzebowałem spoczynku. Znalazszy na jednym piętrze jakieś legowisko po Hiszpanach, rzuciłem się na nie i z utrudzenia zdrzemnąłem. Może drzemałem tak z pół godziny, gdy naraz wpadł jeden z żołnierzy z krzykiem:

— Panie poruczniku! panie poruczniku! skarby znaleźliśmy!

— Co?... jak?... Daj mi pokój ze skarbami.

— Ale panie poruczniku! wszystko tam na gwałt leci.

— Gdzie?

— Do piwnicy!... Tam już naszych pełno. Wykują otwór i lada chwila się dostaną.

Zebrawszy myśli, uznałem, że niema rady i trzeba iść samemu, aby zapobiedz jakiemu nieporządkowi. Wojsko nasze rozpaczliwą obronę Saragossy przypisywało niesłychanym skarbowi, których Hiszpanie z taką zaciętością bronili, i obiecywało sobie, że jak się dostanie do środka miasta, to każda piwnica będzie pełna srebra i złota, i że się tam dopiero każdy z nich bajecznie obłowi. Znalezienia skarbów nie przypuszczałem, alem się obawiał, żeby się nie dobrali do jakiej piwnicy z winem i zanadto sobie nie pozwolili, — mogliśmy odrazu stracić korzyści dnia całego. Przeklinając więc owe mniemane skarby, rad nie rad musiałem pośpieszyć za moimi wiarusami.

Przybyłem w samą porę: wszyscy moi żołnierze, prócz tych, którzy trzymali wartę na poddaszu, zbiegli się do piwnic. Krzyk, hałas, kłótnia były nie do opisania. Otwór do lochu już był o tyle wykuty, że można się było przez niego przecisnąć, wszyscy się więc darli do otworu, aby być pierwszymi.

Stanąwszy sam przy otworze, wezwałem do porządku i posłuszeństwa. Wykazałem żołnierzom niebezpieczeństwo, na jakie się narażają, opuszczając samowolnie dom, do którego w każdej chwili mogą przypuścić szturm Hiszpanie, i rzucając się nieopatrznie w lochy, których wyziewy mogą być zabójcze. Uspokoiwszy żołnierzy, dodałem, że przedewszystkiem powinni wrócić na miejsca, na których przeze mnie byli rozstawieni, ja zaś, z mojej strony, wzięwszy kilkunastu z sobą ludzi, sam się przekonam, co znajduje się w odkrytych lochach, a jeśli znajdę w nich owe mniemane skarby, to wszyscy do równego podziału przypuszczeni zostaną.

Ponieważ miałem miłość i zaufanie żołnierzy, więc chętnie zgodzili się na to. Polecilem sierżantowi odprowadzić na górę znaczną część żołnierzy i czuwać nad bezpieczeństwem zajętego domu; wybrałem tylko kilkunastu, którzy mieli mi towarzyszyć, postawiwszy przedtem przy otworze wartę, aby nikogo więcej za mną nie puszczała.

Rozpocząłem więc wyprawę podziemną, z wszelką ostrożnością. Znaleźliśmy się naprzód w długim przejściu sklepieniem i wązkiem, że zaledwie po dwóch obok mogło postępować. Ten korytarz podziemny zakończony był ciężkimi drzwiami żelaznymi, których wyważenie dosyć nas pracy kosztowało. Gdy drzwi żelazne runęły z loskotem, ukazał się obszerny sklep, zawalony najrozmaitszego rodzaju gratami. Były tam i szczątki mebli, i rozmaite zużyte naczynia, i butelki, i skóry kozie, służące do przewożenia wina, ale ani skarbów, ani wina nie było. Widać był to skład różnych niepotrzebnych rupieci domowych, od dawnego czasu nagromadzonych. Śmiałem się w duchu, patrząc na niezadowolenie moich wiarusów, jak każdy grat z miejsca poruszali i jak się nad nim pastwili, łamiąc i tłukąc, co tylko im w ręce popadło. Cieszyłem się niewymownie, że się cała wyprawa na tem skończyła, ale, na moje nieszczęście, z tego sklepu prowadziły drugie drzwi żelazne; nie mogłem więc wzbronić moim żołnierzom wyważenia tych drzwi i przekonania się, co sklep następny zawiera. Dostaliśmy się zatem i do drugiego sklepu, w którym były tylko legowiska, służące widać mieszkańcom domu za schronienie w czasie bombardowania. Żołnierze moi, doznawszy zawodu, zgodzili się nie robić dalszych poszukiwań. Kiedy już wracaliśmy, jeden z żołnierzy zawołał:

— Panie poruczniku! nad nami strzelają!

Rzeczywiście, wsłuchawszy się, nie ulegało wątpliwości, że w domu, w którego piwnicach przebywaliśmy, na górze zawzięta toczyła się walka. O ile się mogłem pod ziemią zorientować, byliśmy daleko posunięci ku środkowi miasta. Nie mogłem jednak zrozumieć, jakim sposobem w tem już miejscu znaleźć się mogły nasze oddziały. Powodowany ciekawością, a więcej jeszcze obowiązkiem niesienia pomocy któremu z oddziałów, będącemu w krytycznym położeniu, postanowiłem iść naprzód, tem więcej, że w niepewnym dla siebie razie odwrót miałem zapewniony.

Mając przy sobie osiemnastu ludzi, po wyważeniu drzwi, prowadzących na schody, sformowałem kolumnę i, z największą ostrożnością postępując po schodach, wyszliśmy wkrótce na dziedziniec wewnętrzny jakiegoś pałacu.

Leżało na nim parę trupów hiszpańskich. Przy bramie uwijało się kilku żołnierzy francuskich. Wrota od dziedzińca były uchylone, Francuzi barykadowali wrota od ulicy, na której zgiełk i strzały dowodziły, że atak na wrota silnie był popierany. Stary sierżant, mający twarz krwią zboczona, oparty o bramę, wydawał rozkazy. Gdy nas wchodzących zobaczył i poznał, kto jesteśmy, rozjaśniło mu się jego oblicze. Podnosząc też kaskiet w górę, zawołał:

— Niech żyją Polacy!

Na co odpowiedziliśmy okrzykiem:

— Niech żyją Francuzi!

— Jak się masz, stary? — rzekłem, zbliżywszy się do sierżanta. — Musisz być cierpiący, boś mocno zakrwawiony.

— To bagatela, tylko draśnięcie!... ale w porę nam tu przybywasz, kapitanie. Ja bronię bramy, ale mi już

ciężko, bo mam mało ludzi. Ale jak mi dodasz z ośmiu swoich zuchów, to odpędzę całą tę hołotę hiszpańską. Pośpiesz jednak na pomoc mojemu dowódcy, bo on tam zapewne w cięższych ode mnie znajduje się opałach.

I wskazał ręką na schody.

Nie tracąc czasu, z resztą moich żołnierzy wbiegłem po schodach, a następnie do komnat starożytnych, świadczących o dawnej zamożności. Na całej drodze widać było ślady zaciętej walki. Każde drzwi albo wysadzone, albo wyłamane, szyby i zwierciadła potłuczone, sprzęty w większej części powywracane, na podłodze kałuże krwi i sporo trupów Francuzów i Hiszpanów, pojedynczo lub po kilku razem leżących. Ciężko rannych bardzo niewielu, którzy przytłumione wydawali jęki. Walka bowiem była śmiertelna, bo na blizką metę. Wszystko pogrążone w gęstym dymie, przez który zaledwie rozeznawać można było przedmioty.

Wtem dał się słyszeć huk kilku na raz wystrzałów. Trzyśpieszyliśmy kroku i w szyku sformowanym, z nadstawionym bagnetem wkroczyliśmy na miejsce, które było w tej chwili teatrem toczącej się walki.

Z początku nic nie widziałem, prócz dymu napęniającego komnatę; gdy się jednak oczy moje cokolwiek z tą atmosferą oswoiły, uderzył mnie widok następujący.

Była to dosyć obszerna, sypialna komnata, w której w ścianie, przeciwległej oknu, znajdowała się głęboka alkowa, zakryta jedwabną, ale już spłowiałą zasłoną. Przed tą zasłoną leżał starzec siwy, którego ruchy konwulsyjne świadczyły, że się pasował ze śmiercią. Odzież jego wskazywała, że należeć musiał do wyższej warstwy społeczeństwa. Nad ciałem starca stała młoda, wielkiej pięknosci kobieta, czarno ubrana, z włosami czarnymi, rozrzuconymi w nieładzie i czarną jedwabną, koronkową





Nad ciałem starca stała młoda, czarno ubrana kobieta.

mantylą, która, w tył odrzucona, zaledwie się włosów trzymała. W jej obliczu malowała się zgroza, przerażenie i wściekłość; jej czarne wielkie oczy, nakryte mocno zagiętymi łukami brwi czarnych, tak były nateżone, że zdawało się, jakby z głowy wyskoczyć chciały. W obu rękach trzymała pistolety i z pewnym wyrazem dzikości śledziła ruchy podsuwających się ku niej Francuzów, jakby wybierając tylko, na którego się rzucić i do którego pierwszej wypalić. Był to obraz lwicy, broniącej swoje lwięta. W komnacie bliżej wejścia leżało dwóch Francuzów zabitych, trzech zaś żołnierzy francuskich z nadstawionymi bagnetami z wolna posuwało się do kobiety, która wymierzonym pistoletem trzymała ich na wodzy; z drugiej strony obchodził ją kapitan francuski, od którego zasłaniała się drugim pistoletem. Francuzi widąc nie mieli zamiaru jej zabić, tylko rozbroić i wziąć żywcem. Kobieta nie myślała się poddać, ale bronić do upadłego.

Wejście moje na czele dziesięciu żołnierzy zmieniło postać rzeczy. Kobieta wyraźnie upadła na duchu. Pistoletem w drżącej ręce wybierała ofiarę z trzech żołnierzy francuskich, a zwróciwszy całą swoją na nich uwagę, nie uważała, że z drugiej strony od kapitana większe jej grozi niebezpieczeństwo. Ten bowiem znacznie się naprzód posunął, i jednym skokiem byłby ją chwycił za rękę, a z drugiej szpadą pistolet wytrącił. Była to chwila stanowcza. Uczulem litość dla nieszczęśliwej i postanowiłem ją ocalić. Zwróciłem się więc w stronę najwięcej dla niej zagrożoną, a kiedy kapitan miał już wykonać ów skok stanowczy, podsunąwszy się szybko ku niemu, chwyciłem go za rękę i zawołałem:

— Kolego! czy ci nie wstyd walczyć z kobietą!...
Kapitan, który się podobnej sceny nie spodziewał,

bo tak był zajęty swoim planem, że na nasze przybycie nie zwrócił uwagi, zły, że ktoś śmiał mu wejść w drogę i wytrącić z ręki ofiarę, zwrócił bystre na mnie spojrzenie, a dostrzegłszy wielką moją młodość, z góry na mnie krzyknął:

— Precz, smarkaczu! to nie twoja sprawa... Wynosź mi się, bo cię każę za drzwi wyrzucić!

Krew uderzyła mi do głowy. Kapitan jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy, pochwycony przeze mnie za kołnierz, z największą siłą odrzucony został na środek komnaty,—ja zaś, zająwszy miejsce pomiędzy nim a kobietą i nadstawiając szpadę, zawolałem:

— Nikczemniku! odtąd to jest moja sprawa... ze mną mieć będziesz do czynienia. Ja ci nie pozwolę najmniejszej krzywdy zrobić tej kobiecie.

— Żołnierze! — zakomenderował kapitan — weźcie go na bagnety!...

— Żołnierze! — krzyknąłem na Francuzów — broń do nogi!... Jeżeli się który krokiem posunie, każę strzelać!—Zwracając się zaś do moich: — Wiara! — zawolałem — wzięć na cel tych łajdaków, a za najmniejszym poruszeniem palić w łeb!

Moi żołnierze święcie wykonali rozkaz. Francuzi, widząc, że to nie żarty i z jaką siłą mają do czynienia, opuścili broń do nogi i wstecz się cofnęli.

Kapitan był wściekły. Uderzył na mnie ze szpadą, ale cios moją sparowałem.

— To jest moja zdobycz! — zawołał.

— Kłamiesz!...—i nadstawiłem mu szpadę. — Ja ją obronić potrafię.

— Ha! kiedy tak — krzyknął kapitan — to ani moja, ani twoja!

Wyrwał pistolet z za pasa, zmierzył do kobiety, ale

w tej chwili jeden z moich wiarusów, najbliżej kapita-
tana stojący, strącił mu pistolet bagnetem. Pistolet wy-
palil w górę; kula świsnęła nad naszymi głowami, a je-
dnocześnie padł kapitan, ugodzony kulą od strzału nie-
wiadomego. W tej chwili ta część komnaty, gdzie stał
kapitan, ja i kobieta, tak się napełniła dymem od pro-
chu, że przez kilka sekund nic widać nie było.

Cała ta scena trwała nadzwyczaj krótko, mniej czasu,
niż potrzeba na jej opowiedzenie. Widząc leżącego i krwią
zbroczonego kapitana, zakomenderowałem na żołnierzy
francuskich, żeby go wyprowadzili i, jeśli można, ranę
opatrzyli. Kapitan nie był zabity, tylko ciężko ranny;
gdy go żołnierze wynosili, odezwał się do mnie:

— Ja nie umrę, dopóki się nie zemszczę. Ty mi drogo
za to zapłacisz!

Mało zważałem na te słowa. Zwracając się do ko-
biety i zniżając moją szpadę, rzekłem:

— Senioro, jesteś ocalona.

Głos mój jakby ją wyrwał z chwilowej apatyi. Zwró-
ciła na mnie przenikające spojrzenie i machinalnie wy-
mierzyła pistolet w moje piersi. Stałem spokojnie.

Hiszpance oczy zasły łzami, upuściła pistolety na
ziemię i padła na ciało leżącego przed nią starca.

Dalem znak moim żołnierzom, żeby wynieśli trupy
i ustąpili z komnaty.

Hiszpanka, zdaje się, z początku sądziła, że nie
wszystko stracone i że można jeszcze nieść pomoc star-
cowi. Ale, przekonawszy się, że w nim zgasła ostatnia
iskra życia, oddała się najstraszniejszej rozpacz.

Zaczęła szlochać, ręce łamać, rwać sobie włosy;
z ust jej płynął potok wyrazów i najżywszego żalu i naj-
dzikszej wściekłości. Rzuciła przekleństwa na świat ca-
ły, a szczególnie na Napoleona, Francuzów i wszyst-

kich kacerzy, którzy naszli i krwią zalali jej ojczyznę. Wzywała opieki Najświętszej Panny i błagała Boga, żeby z zemstą nie zwłóczył, a otworzył czempredzej wrota piekielne i strącił w nie na męki wieczyste wszystkich wrogów religii i króla Ferdynanda. Po takim wybuchu rozpaczycy wracała do spokojniejszego żalu. Znowu się rzuciła na martwe ciało i, płacząc i łkając, zaczęła pocałunkami okrywać twarz i ręce starca.

Korzystając z tej chwili, odezwałem się do Hiszpanki:

— Senioro, szanuję twoją boleść, ale żal nie wskrzesi umarłego. Chwile są drogie. Jeśli z nich korzystać nie będziesz, to mogą przyjść Francuzi w większej liczbie, a wtenczas nawet kosztem własnego życia ocalić cię nie potrafię.

Spojrzała mi bystro w oczy, słuchając słów moich spokojnie.

— Któż jesteś, caballero? — zapytała.

— Jestem Polak i katolik.

— Ach! — rzekła — tu leży mój ojciec, moja jedyna opieka. Jak chcesz, żebym go mogła opuścić, nie odawszy mu ostatniej posługi?

— To możesz dopełnić — powiedziałem — ale przede wszystkim śpieszyć się trzeba z twojem ocaleniem. Ja cię odprowadzę do pierwszego posterunku hiszpańskiego, a stamtąd przyślesz ludzi, którym każę wydać ciało twego ojca.

Temi słowy chciałem uspokoić Hiszpankę i przekonać o zupełnej mojej bezinteresowności. Spojrzała mi raz jeszcze w oczy; a widąc, że w nich dostrzegła współczucie, bo chwyciła mnie za rękę, jakby chcąc ucałować, czego jednak nie dopuściłem, i zawołała:

— Caballero, jesteś szlachetnym człowiekiem!

Po chwili, jakby zażenowana nieładem swego stroju, widząc mój wzrok, zwrócony na siebie, rzekła proszącym głosem:

— Caballero, czy nie możesz pozwolić, abym ja tu na chwilę sama przy zwłokach mego ojca została?

— Najchętniej — odrzekłem. — Rozkazów twoich oczekiwać będę w przyległej komnacie. Pamiętaj tylko, że czas jest drogi i korzystać z niego trzeba.

Pokłoniwszy się, wyszedłem i drzwi za sobą zamknąłem.

Po kilku minutach wyszła Hiszpanka. W jej oczach jeszcze łzy świeciły, na twarzy jednak pozostała tylko boleść spokojna. Włosy były na prędcie, ale dość starannie ułożone, mantyla i ubiór do pewnego ładu doprowadzone. Była cudownie piękna.

— Caballero—rzekła—ale tu nikt nie poruszy zwłok mego ojca? nikt tych drogich szczątków nie znieważy?

— Bądź spokojna. Postawię wartę i nikt prócz ciebie nie wejdzie do tej komnaty.

Podąłem jej rękę, a wychodząc, kazałem dwom żołnierzom stanąć na warcie i nikogo nie wpuszczać bez mego pozwolenia. Zeszliśmy na dół do bramy. Na dziedzińcu leżał ranny kapitan francuski i kilku jeszcze ciężko rannych Francuzów i Hiszpanów. Jeden z żołnierzy, jak umiał tak ich opatrywał, pełniąc na prędcie obowiązki felczera. Brama była dobrze zabezpieczona i zatarasowana, a moje wiarusy z resztą Francuzów, obsadziwszy okna frontowe, dolne i na piętrze, odstrzelowali się nacierającym od ulicy Hiszpanom.

Nie wiedziałem dotąd, jakim sposobem do tego pałacu dostali się Francuzi. Zwykle nasze drogi były przez piwnice i dachy, a niekiedy przez otwory w ścianach wybite. Sądziłem więc, że jednym z tych sposobów się

dostali, lub że, postępując w ataku, utworzyli sobie komunikację i mają poza sobą rezerwy; bałem się więc, by temi rezerwami wzmocnieni, w przemagającej sile, nie przyszli odebrać mi Hiszpanki. Obawa moja była jednak próżna, albowiem oddział francuski, którego tylko resztki w pałacu zastałem, był zupełnie od swoich odcięty i nam był winien swoje ocalenie. Oddział ten w jednej z bocznych uliczek, wychodzących na Cosso, zdobył baterię, a ściągając z bagnetem w rękę ustępującego nieprzyjaciela, tak się daleko zapędził, że, natrafiwszy na przeważającą siłę, zmuszony był do odwrotu. W tym to odwrocie, wśród labiryntowych zaułków miasta, zmylił kierunek i, zamiast ku swojej podstawie, rzucił się w uliczkę, która go w przeciwną stronę odprowadziła. Partę przez nieprzyjaciela, a z okien i dachów rażony pociskami wszelkiego rodzaju, tracąc ludzi na każdym kroku, oddział ten, do kilkunastu żołnierzy zmniejszony, ujrawszy w jednym domu uchyloną bramę, tam się rzucił i zatarasował. Chwilowo zabezpieczył się od ulicznego nieprzyjaciela, ale w domu znalazł także mieszkańców uzbrojonych; trzeba było z nimi walczyć i w tej to właśnie chwili znaleźliśmy się w pałacu przypadkiem wśród walczących.

Kazałem przestać strzelać i pokazać znak, że pragnę parlamentować. Wkrótce ustało strzelanie i ze strony hiszpańskiej, a przy oknie dolnem od ulicy zjawił się młody człowiek, który, jak się zdaje, dowodził oddziałem, na pałac nacierającym. Objaśniłem go, a więcej jeszcze Hiszpanka, o co właściwie chodzi, a dla porozumienia się prosiłem, by przybył do bramy. Bramę kazałem odbarykadować i wpuścić dowódcę hiszpańskiego.

Z początku chciał mię traktować z góry, sądząc, że się chcę poddać i pragnę tylko wytargować dla siebie najdogodniejsze warunki kapitulacyi. Ale wywiodłem go

zaraz z błędu, oświadczywszy, że tylko obowiązki ludzkości skłoniły mnie do tego porozumienia, a siły mam więcej, niż dostateczne do obrony i utrzymania zajętego stanowiska. Zdziwił się niepomalu, widząc taką ilość moich żołnierzy; nie umiał sobie bowiem wytłómaczyć, jakim sposobem w takiej liczbie znaleźliśmy się w pałacu. Bylibyśmy nie przyszli do żadnego porozumienia, ale Hiszpanka, wzięwszy go na stronę, szepnęła mu kilka wyrazów. Po tej rozmowie też stał się dla mnie w grzeczności uprzedzającym i przystał na wszystkie z mej strony podane warunki. Te były następujące: zawieszenie walki na dwie godziny i odniesienie kapitana i dwóch żołnierzy ciężko rannych, którzy śpiesznej lekarskiej pomocy wymagali, do najbliższego wojsk naszych posterunku, a za to—możność zabrania rannych Hiszpanów i ciała zabitego starca, oraz uwolnienia Hiszpanki.

Wieczór się już ciemny robił, gdy przybyli ludzie z noszami; zabrali rannych i swoich i francuskich, do których konwojowania dodałem im paru moich żołnierzy; jedne zaś nosze, okryte czarnym całunem, skierowano do sypialnej komnaty. Z temi noszami udała się Hiszpanka na górę. Kiedy czworo ludzi niosło na dół ciało i powrócili moi dwaj żołnierze, którzy konwojowali rannych Francuzów, z oświadczeniem, że oddani zostali podług umowy, kazałem otworzyć bramę, aby przepuścić kondukt pogrzebowy. Wtenczas przybliżył się do mnie jeden z żołnierzy i szepnął mi do ucha:

— Ale, panie paruczniku, oni tam więcej niż jednego wynoszą.

— A cóż nam to szkodzi? — rzekłem. — Niech sobie i wszystkie trupy zabiorą. Nie będą nam przynajmniej zarażać powietrza.

W istocie, oprócz ciała starca, musiało być coś tam więcej na tych noszach, bo i całun okrywający to wskazywał i widać było, jak czterej ludzie, niosący nosze, uginali się pod ciężarem. Byłem pewien, że Hiszpanka, korzystając z mego pozwolenia, zabrała niektóre kosztowniejsze przedmioty.

Stałem właśnie przy wrotach od ulicy, kiedy kondukt niemi wychodził, gdy Hiszpanka, idąca za ciałem i niosąca małą szkatułkę, szybko zwróciła się do mnie i drżącym wyrzekła głosem:

— Caballero! nie mam dosyć słów na podziękowanie ci za łaskę, jakąś mi wyświadczył. Modlić się będę codzień za ciebie do naszej Najświętszej Pani del Pilar. Niech Jej święty wizerunek chroni cię od wszelkich przygód i niech ci czasem przypomni wdzięczność Manueli.

To mówiąc, wsunęła mi w rękę pierścionek, na którym na błękitnym kamieniu było ze złota w wypukło-rzeźbie wyobrażenie Najświętszej Panny del Pilar, i nie słuchając moich wymówek, śpiesznie wyszła za wyniesieniem ciała na ulicę. Przeprowadziłem ją oczyma aż do załamku ulicy i otrzymałem jeszcze jej pożegnalne wejrzenie.

Po odejściu Hiszpanki zrobiło mi się dziwnie smutno, jakbym pożegnał kogo z najbliższej mojej rodziny. Żadna dotąd kobieta nie uczyniła na mnie takiego wrażenia. Było to dla mnie całkiem nowe uczucie, którego ani zdefiniować, ani nazwać nie umiałem. Ale rzeczywistość nie pozwoliła długo błąkać się w marzeniach — trzeba było zająć się czempredziej chwilą obecną: zamknąć i zatrosować napowrót bramę, obsadzić i wzmocnić posterunek, urządzić komunikacye, odesłać żołnierzy francuskich, których było ośmiu, i sprowadzić resztę mego oddziału.

Noc już była, kiedy ukończyłem te zajęcia. Walka w tym punkcie już się nie wznowiła, a nawet ucichła prawie w całym mieście. Przybył odwiedzić moje stanowisko podpułkownik Haxo. Obejrzał je we wszystkich szczegółach i był niezmiernie zadowolony z tego nabytku. Powiedział mi, że dzień dzisiejszy zdecydował o losie Saragossy, że kilka dni wystarczy na jej zupełne zdobycie, że w naszym tylko ataku oddziały przeszły przez ulicę Cosso, ale żaden tak się głęboko w miasto nie zapuścił, jak mój. Winszował mi tego powodzenia; przyrzekł w swoim raporcie chlubną o mnie wzmiankę uczynić, zapewniając, że mnie krzyż legii honorowej nie minie. Przed północą nowy oddział zajął moje stanowisko, a ja na spoczynek powróciłem do obozu.

Spałem smacznie po trudach dnia poprzedzającego i było już pewnie południe, kiedy mnie zbudził żołnierz, oświadczając, że wezwany jestem, bym się natychmiast stawił do pułkownika. Ubrałem się szybko i poszedłem, nie umiejąc zdać sobie sprawy z tak nagłego wezwania. Przypuszczałem, że to chodzi o pochwałę za wczorajsze odznaczenie się w walce.

Pułkownik miał kwaterę w klasztorze Ś-go Józefa, w tej części budynku, która od szturmowania ocalała. Zastałem go w złym humorze, przyspieszonym krokiem chodzącego po izbie.

Gdy mu się zameldowałem, przystąpił do mnie i rzekł surowym głosem:

— Pięknie się acan popisał, niema co mówić. Proszę mi oddać swoją szpadę...

— Co to ma znaczyć, panie pułkowniku? — zapytałem mocno zdziwiony.

— To ma znaczyć, żeś acan aresztowany, a co gorsza, że masz być stawiony przed sąd wojenny.

— Ja?... przed sąd wojenny?... A to za co?...

— Zaraz się acan dowiesz!... Panie adjutancie, przeczytaj pan rozkaz marszałka.

Adjutant, który siedział przy stoliku w drugiej izbie, przyniósł papier i zaczął go czytać. Rozkaz marszałka obejmował następujące zarzuty:

„Że dla przywłaszczenia sobie cudzej zasługi, napadłem podstępnie posterunek francuski, zamordowałem własną ręką kapitana, a korzystając z przewyższającej liczby żołnierzy, za użyciem broni, zmusiłem oddział francuski do opuszczenia zdobytego przezeń stanowiska; że następnie prowadziłem tajemne układy z nieprzyjacielem, a za wzięty datek wypuściłem jeńców odbitych Francuzom; zaś, pod pozorem wydania trupów, pozwoliłem Hiszpanom zabrać tajnego agenta angielskiego i ważne papiery“.

Roześmiałem się pogardliwie na takie zarzuty.

Widać, że to uraziło pułkownika, bo cierpko rzekł do mnie:

— Tu się niema z czego śmiać... to pachnie kulą w łeb. Choćbyś acan był moim synem, tobym się tej sprawy nie dotknął, bo to nie czysta sprawa.

— Panie pułkowniku, chciejże mnie wpierw wysłuchać!

— To do mnie nie należy. Ja acana sądzić nie będę. Przed sądem, którego obowiązkiem jest wysłuchać oskarżonego, będziesz acan miał sposobność tlómaczyć się z zarzutów.

— Panie pułkowniku — rzekłem prawie ze łzami w oczach — ja się panu z zarzutów oczyszczać nie myślałem. Ja chciałem tylko zostawić panu to przekonanie, że oficer z jego pułku nie mógł dopuścić się hańbiącego czynu.

Markotno się widać zrobiło staremu, bo rzekł do mnie ze współczuciem:

— A więc opowiedz mi acan, jak to było?

Opowiedziałem więc całe zdarzenie z najdrobniejszymi szczegółami. Pułkownik słuchał uważnie, kręcił czasem głową, pomrukiwał, a gdy skończyłem, zaczął chodzić po izbie wielkimi krokami i mówił jakby do siebie:

— A też to kara Boża z tą młodzieżą! pierwszą lepszą ujrzy dziewczynę — i zaraz awantura. Czego się tak rwiecie?... Poczekajcie. Nie szukając awantur, będziecie ich mieć tyle, że wam się w końcu naprzykrzą.

Potem, podchodząc do mnie, rzekł:

— Wierzę wszystkiemu, coś mi acan powiedział. Gdybym był na twojem miejscu, tobym może też inaczej nie postąpił. Ale, jeśli ci mam prawdę powiedzieć, to masz złą sprawę; naprzód dlatego, że to jest sprawa z Francuzami, powtóre, że nikt z tych, coby mogli świadczyć za tobą, przed naszym sądem nie stanie, a co najgorsza, że będziesz miał do czynienia z marszałkiem, który, jak wiadomo, nie bardzo nas, Polaków, lubi. Wiesz acan, jaki to człowiek ostry, jakie surowe wydał rozporządzenia dla powstrzymania kłótni, bijatyk i nieporozumień między naszymi a francuskiemi wojskami, to choć ci sąd zarzutów nie dowiedzie, on się przyczepi do przestąpienia ogólnego regulaminu i, dla przykładu innym, gotów zgubić acana. A potem apelacya gdzie?... Chyba do Pana Boga. Ja z mojej strony wszelkich starań dołożę, aby cię ratować, ale za skutek nie zaręczam.

Ponieważ raport był gotowy, pożegnawszy pułkownika, z adjutantem i żołnierzem, dodanym do konwoju, udałem się do głównej kwatery na Monte Torrero.

Kiedyśmy wstępowali na to wzgórze, nad miastem unosiły się gęste dymy i słychać było kanonadę, która

jednak nie była tak silna, jak dnia poprzedniego. Marszałek, aby raz skończyć z oblężeniem, chwycił się już najenergiczniejszych środków.

Kazał rozpocząć w środkowym ataku, od ulicy Cosso, sześć podkopów, z których każdy miał być nabity sześcioma tysiącami funtów prochu. Zapalenie tych min miało w gruzy zasypać resztę niezdobytego miasta.

Przyszedłszy do sztabu głównego, znaleźliśmy tam ruch wielki. Pomiedzy oficerami znajdował się odjutant Palafoxa, który przybył jako parlamentarz do głównej kwatery i czekał, aż wezwany, ozstanie na audyencyę do marszałka. Widać, że go zainteresowało moje aresztowanie, bo z rozmowy cichej, jaką prowadził z oficerami sztabowymi, domyśliłem się, że o mnie była mowa. Ponieważ moja sprawa była nader małoważną wobec innych kwestyi, agitujących się obecnie, odebrawszy mnie w sztabie, kazano odprowadzić jako aresztowanego na odwach.

Odwach był w jednym z magazynów zakładu kanałowego. Składał się z dużej kordegardy, gdzie siedzieli żołnierze, i niewielkiej komórki z małym okienkiem zakratowanym, przeznaczonej, zdaje się, dla oficera od warty; ale ponieważ go nie było, bo z braku oficerów sierżant był tylko tu komendantem, komorę oficerską, do której przechodziło się przez kordegardę, przeznaczono mi tymczasem na areszt.

W tej komórcie za cały sprzęt był tylko stolik i stół; na posłanie przyniesiono mi pęczek słomy, a z obozu odesłano mi niektóre moje rzeczy. Zostałem sam z myślami mojami, a rozważając smutne położenie i słowa pułkownika, zakłopotany byłem mogącemi wyniknąć następstwami. Długo tak na mojem posłaniu biedzilem się z myślami, aż znużenie wzięło górę i smaczno zasnąłem.

Mogło być już około północy, kiedy mnie obudził

jakiś hałas. Z sąsiedniej kordegardy dolatywały mnie krzyki, śmiechy, wybuchy wesołości i tupotanie, przy których spać było niepodobna; aby się przekonać, co jest tej wrzawy powodem, i prosić żołnierzy, by się uciszyli, otworzyłem drzwi do kordegardy, gdzie przedstawił mi się widok następujący:

Żołnierze siedzieli na ławach, otaczających kordegardę, a na środku izby, pomiędzy nimi, był mnich hiszpański z zakonu Dominikanów.

Żołnierze wzięli go sobie za cel zabawy i pośmiewiska. Przerzucali go sobie z jednej strony na drugą, jak piłkę, z dodatkiem szturchańców, kulaków, kopnięć, plwań i tysiąca innych grubiańskich niedorzeczności. Im więcej się mnich gniewał, tem bardziej mu Francuzi dokuczali, a to przy wybuchach żartów, drwinek i chóralnego śmiechu. Mnich, zmęczony, zziajany, z obszarpanym i błotem powalonym habitem, zgrzytał zębami i zaciskał pięści, mrużąc pod nosem jakieś przekleństwo, a oczy jego, w twarzy głęboko osadzone, błyszczały, niby ostrze sztyletu.

Był to człowiek młody jeszcze, nie mający więcej nad lat trzydzieści, średniej i niezbyt silnej budowy, którego twarz chuda, ściągła, ogorzała nosiła ślady gwałtownych namiętności. Gdyby mógł pociski swych czarnych oczu na sztylety zamienić, toby z zimną krwią wymordował wszystkich co do jednego Francuzów. Mnich już upadał na siłach; żarty żołnierzy nie ustawały. Przyzwałem sierżanta i wystawilem mu nieprzyzwoitość takiego postępowania.

— Co pan chcesz — odparł sierżant — on nie wart czego lepszego. To szpieg hiszpański, którego nasze warty śród obozu ujęły. On jutro będzie wisiał, a swoim oporem i dumą całą tę scenę wywołał.

— Zawsze to człowiek — rzekłem — któremu w nie-szczęściu współczucie się należy. Ja go przyjmę do mojej komory.

Sierżant nic nie miał przeciw temu. Kazalem podać sobie światło, wezwałem mnicha za sobą i drzwi zamknąłem.

Gdyśmy się znaleźli sami, przemówilem do niego po hiszpańsku, żeby wziął część słomy z mego posłania i w drugim kącie izby usłał sobie legowisko.

Mnich tymczasem poprawiał swoje poszarpane odzienie i, zamiast mi podziękować za moją uczynność, odezwał się słowami gorzkiego wyrzutu:

— Jak pan mogłeś pozwolić na takie znęcanie się nade mną żołnierstwa. To wstyd, to hańba!

— Ależ — rzekłem spokojnie — ja nie miałem prawa temu przeszkodzić.

— Przecież pan jesteś oficerem od warty.

— Mylisz się, mój księże — odrzekłem — ja jestem tak samo, jak i ty, aresztowany.

Widząc, że te słowa zrobiły na nim wrażenie, dodałem:

— Ale nie za żadne łotrostwo, tylko za sympatyę, jaką okazałem dla waszego narodu.

Te słowa uspokoiły Hiszpana i odrazu zmieniły jego względem mnie usposobienie. Zaczął mi dziękować, żem go wyrwał ze szpon żoldactwa, i stał się zaraz skłonniejszym do rozmowy. Na pytania odpowiadał krótko, zwięźle, ale przyzwoicie; wydał się mi nawet człowiekiem więcej wykształconym, aniżeli ogół duchowieństwa hiszpańskiego i niżeli to z pozoru przypuszczać mogłem. O swoim aresztowaniu opowiadał prosto, że, w czasie ataku zmuszony ustąpić z klasztoru, za nadejściem nocy chciał do niego powrócić, tem więcej, że go zapewniano, że klasztor przez nasze wojska nie jest zajęty, ale po

nocy zablądził i natrafił na posterunek francuski, który go zabrał do niewoli. Ponieważ był ciekawy dowiedzieć się o powodach mego aresztowania, opowiedziałem mu je w krótkości i dostrzegłem, że to opowiadanie niezmiernie mnicha zaciekawilo. Zdawało się, że mu nie obca była awantura, ale się zaraz spostrzegł, bo, kiedy sądziłem, że się coś od niego dowiem o osobach, którym oddałem usługę, on mi stanowczo oświadczył: że, ponieważ od niedawna dopiero jest w Saragossie, przeto nikogo nie zna i w niczem objaśnić mnie nie może, i że się tylko swojemi duchownemi sprawami zajmuje.

Na drugi dzień wzięto mnicha do głównego sztabu do tłumaczenia. Co się z nim później stało, dowiedzieć się dokładnie nie mogłem. Jedni mówili, że został uwolniony wskutek kapitulacyi, inni, że, odesłany z transportem jeńców do Francyi, potrafił zbiedz w czasie drogi. Tegoż samego dnia wieczorem z rozkazu marszałka zostałem uwolniony z aresztu.

Z początku przypisywałem moje uwolnienie wdaniu się mego dowódcy i podpułkownika Haxo, ale rzecz miała się inaczej. Jak wspomniałem wyżej, w czasie mego aresztowania przysłany był ze strony Palafoxa parlamentarz z propozycją kapitulacyi, na tych warunkach, jakie marszałek poprzednio ofiarował Saragossie, z dodatkiem, aby załoga odesłana była do wojsk hiszpańskich i aby jej wolno było wziąć z sobą pewną ilość przykrytych wozów. Marszałek Lames odrzucił tę propozycję i oblężenie z całą energią miało się dalej prowadzić.

Następnego dnia junta Saragossy wysłała deputację do głównej kwatery, celem ułożenia warunków poddania się miasta, i przywiozła z sobą list Palafoxa, który był następującej treści:

Palafox, jako złożony chorobą i nie mogący zajmo-

wać się dłużej dowództwem, przelał swą władzę na juntę, złożoną z najcelniejszych osób wojskowych, duchownych i cywilnych, i o tem marszałka zawiadamiał, z prośbą, aby był szlachetnym zwycięzcą i nie wymagał od zwyciężonych zbyt uciążliwych warunków. W końcu listu miał być podobno następujący dopisek:

„Lubo nie moja jest rzeczą mieszać się do spraw nieprzyjaciół mojej ojczyzny i przeszkadzać im w dziele wzajemnego wytepienia się, w sprawie jednak aresztowanego oficera polskiego, jako zblizka mnie samego obchodzącej, obowiązek i sumienie nakazują mi przynieść świadectwo, że oficer polski w całej tej sprawie postąpił sobie, jako człowiek honoru, zaś oficer francuski poległ z ręki hiszpańskiej. Zrobienie użytku z tego mego świadectwa pozostawiam uznaniu Pana Marszałka.

Palafox“.

II.

Saragossa nareszcie kapitulowała. Garnizon jej, liczący około 15 tysięcy słabych, wynędzniałych, wyniszczonych trudami ludzi, z których wielu nosiło ślady śmiertelnej choroby, wyszedł przez bramę Portillo z honorami wojskowymi i złożył broń przed armią zwycięską, która zaraz zajęła miasto, obsadzając ważniejsze posterunki, a garnizon hiszpański, rozbrojony, odesłany został do Francji w niewolę wojenną. Wojsko nasze, dla uniknięcia zarazy, nie weszło do miasta, a tylko na służbę posyłało tam oddziały swoje. W mieście bowiem grasowała zaraza morowa, spowodowana mnóstwem trupów nieopogrzebowych, które gniciem i rozkładem swym zarażały powietrze. W dniu kapitulacyi sześć tysięcy trupów wałało się jeszcze przed kościołami, w przekopach i uli-

cach miasta. Marszałek Lannes kazał śpiesznie z okolic ściągnąć wieśniaków dla oczyszczenia ulic i pogrzebania zmarłych.

W dniu 24 lutego całe wojsko stanęło pod bronią, a marszałek na jego czele odbył wjazd uroczysty do Saragossy. Przyjęty przez miasto i duchowieństwo z biskupem Hueski na czele przed portykiem kościoła Najświętszej Panny del Pilar, wysłuchał nabożeństwa, na którym junta i władze miejskie w imieniu ludu wykonały przysięgę na wierność królowi Józefowi. Po skończonej ceremonii i odśpiewaniu „Te Deum“, odprowadzony został do przygotowanego dlań pałacu.

Ta urzędowa ceremonia, na której byłem obecny, nie miała dla mnie żadnego powabu, owszem, przeciwnie, tryumfy armii francuskiej, a nawet zasługi naszego polskiego oddziału w tem pamiętnem oblężeniu, miały dla mnie coś upokarzającego i głęboką przejmowały boleścią. Widok nieszczęśliwego miasta, którego więcej niż czwarta część leżała w gruzach, zburzona przez wybuchy min i tysiące bomb rzuconych, które jeszcze dymiło gdzieś niedzie dopalającymi się resztkami przygrzebanych wśród ruin głów, wspomnienie nadto, że więcej, niż pięćdziesiąt tysięcy bohaterskich mieszkańców, w przeciągu pięćdziesięciu kilku dni z bezprzykładnem męstwem i poświęceniem broniących swoich ognisk domowych, leżło trupem od strzałów, zarazy, oraz wycieńczenia i że nawet słabe kobiety brały udział w tej morderczej walce — napełniały mnie niewysłowionym smutkiem, wywołując słuszne oburzenie.

Wszystko to bowiem stało się dla dumy jednego człowieka, do którego tryumfalnego wozu my, Polacy, ryccerze wiary i wolności, dobijający się odzyskania własnej Ojczyzny, uczepieni, nieśliśmy krew i życie, ażeby gnę-

bić naród, który miał też same, co i my, dążenia, t. j. bronił swej wiary i niezawisłości, do których był fanatycznie przywiązany. Nic też dziwnego, że cała moja sympatya była dla zwycięzonych, którzy i dzielnie bronić się i zachować godność swą w nieszczęściu umieli.

Kiedy nasz orszak ceremonialny szedł przez miasto do kościoła N. P. Maryi del Pilar, ulice były puste, jakby całe miasto wymarło; żadna flaga nie powiewała z balkonów, we wszystkich oknach „cortinas“ były popuszczane; być może, że gdzieś z poddaszy, lub przez szpary zasłon jakie ciekawe oko śledziło nasz pochód, ale dlatego tylko, aby nam ciche przesłać przekleństwo, lub ostrzyć noże do nowej walki, gdy się sposobność nadarzy. Plac przed kościołem był pusty, a w kościele ci tylko, którzy obowiązkiem byli znagleni znajdować się na tej ceremonii, a prócz tego zaledwie kilka kobiet, z tych, u których kwaterowali wyżsi oficerowie, i niejako je zmusili do wzięcia udziału w tej uroczystości.

Jeszcze przedtem, jak tylko kapitulacya została podpisana, nie zważając na niebezpieczeństwo, na jakie się narażam, ruszyłem zaraz do miasta, aby ów pałac odzyskać, w którym poznałem Manuełę, sądząc, że od mieszkańców jakieś bliższe poweznę szczegóły. Wprawdzie ów dom odnalazłem i brama od ulicy była otwarta, ale, przebiegłszy wszystkie komnaty, żywej duszy nie spotkałem. Ślady tylko ostatniej walki były na każdym miejscu widoczne; nawet kilka trupów, dotąd nieuprzątniętych, w komnatach leżało.

Udało mi się nareszcie przytrzymać jednego z sąsiadów tego pałacu, ale zaledwie tyle mogłem się od niego dowiedzieć, że ów pałac należał do jednej z najdawniejszych rodzin aragońskich; że właściciele stale mieszkali w Madrycie, od czasu tylko do czasu nawie-

dzając Saragossę; że w czasie oblężenia nie byli obecni, a tylko ich służba, która w części wyginęła, a w części opuściła miasto, jak to uczyniło wiele osób po kapitulacyi, uchodząc przed zarazą morową. O walce zaś, jaka się toczyła w tym domu, nie wiedział, bo jego stanowisko było w odległej części miasta.

W kościele Najświętszej Panny del Pilar, pomiędzy owemi kilkoma kobietami, które zmuszono prawie do znajdowania się na ceremonii, Manueli nie było.

Nie poprzestałem jednakowoż na tych tylko poszukiwaniach. Gdy namiętności przycichły i ludność powróciła do swoich codziennych zatrudnień, odwiedzałem kościoły w czasie nabożeństwa, towarzyszyłem pogrzebom i innym liczniejszym zebraniom publiczności, ale nigdzie tej, której szukałem, odnaleźć nie mogłem. Prawdopodobnie zaraz po kapitulacyi opuściła miasto. Tyle jeszcze tylko zdobyłem wiadomości, że w ostatnich dniach oblężenia, w owym pałacu, do którego mi się dotrzeć udało, przebywał Palafox, ciężką złożony chorobą, że tam wiele go osób odwiedzało, że prawdopodobnie przyczyniłem się do jego oswobodzenia, ale ani o starcu, który zginął w moich oczach, ani o jego córce, która zabrała ciało ojca, a razem i chorego Palafoxa, nic się nie mogłem dowiedzieć. Zdaje się, że ci, którzy mieli jakąś o tem wiadomość, z umysłu ją taili, by nie naprowadzić władz francuskich na trop Palafoxa, z którym niewiadomo co się stało, a którego do niewoli dostać bardzo pragnęły. Tak więc Manuela została dla mnie tylko miłym, jakby senmem wspomnieniem, a całą pamiątką po niej — pierścioneczek z wizerunkiem Madonny del Pilar.

W kilka dni po kapitulacyi Saragossy marszałek Mortier z 5-ym korpusem udał się w kierunku Kastylii, dla posiłkowania innych korpusów, działających na po-

łudniu Hiszpanii. Marszałek Lannes powołany został przez cesarza do Francyi, z powodu przygotowującej się nowej kampanii z Austryą, a na miejsce Junota, dowodzącego 3-im korpusem, przysłany został generał Suchet, dla utrzymania i uspokojenia prowincyi aragońskiej.

Z końcem roku 1809 prowincya ta przez umiejętne operacye generała Sucheta tak uspokojona została, że wszystkie bandy powstańcze, jeżeli nie kompletnie zniszczono, to tak zostały porozpraszane, że nie zdolne już były nic zdziałać w porozumieniu, a tem samem nic przeciwko nam niepokojącego.

Nadeszła zima. Ustały operacye wojenne. Żołnierz, strudzony ciągłymi marszami i uganianiem się za powstańcami, odpoczął sobie w garnizonach miejskich. Ja powróciłem do Saragossy w stopniu już porucznika i z krzyżem legii honorowej. Wyjawszy kilku kolegów, żyłem prawie w osamotnieniu. Pomimo, że w Saragossie zupełny panował spokój i mieszkańcy powracali do zwykłych swoich zatrudnień, starali się jednakowoż jak najstaranniej nas unikać i wcale nie zawierali z nami bliższych stosunków. Czuć było, że nas tylko znoszą, bo muszą, ale przy pierwszej zdarzonej sposobności, toby jak mina prochowa wybuchnęli.

Zimowe długie i nudne chwile poświęcałem więc dokładniejszemu poznawaniu języka hiszpańskiego; czytałem też, co mi tylko w ręce wpadło. Pod ten czas miałem także częste od drogiej matki wiadomości, i również częściej mogłem jej takowych o sobie udzielać, choć nieraz całe miesiące upływały, zanim list z kraju nadszedł. Zaraz po wzięciu Saragossy, matka mnie usilnie namawiała, abym się podał do dymisyi, lub przynajmniej zażądał tranzlokacyi, ale to nie było w owym czasie tak łatwą rzeczą. Brak oficerów był powodem, że

wyższa władza niechętnem na to patrzyła okiem; ciężkie tylko kalectwo mogło być wymówką do opuszczenia służby wojskowej. Ja, przyznam się, z chęcią byłbym usłuchał rad matki, gdyż mi się już sprzykrzyła ta ciągła walka bez wyjścia i bez jutra, która, jeśli chwilowo przycichła, to tylko, by z większą gwałtownością wkrótce wybuchnąć. Ale kiedy i u nas w kraju rozpoczęła się kampania, przeciw Austryi, to już i matka przestała mnie namawiać do opuszczenia służby wojskowej, bo przeczuwała, że, jeślibym powrócił, to tylko dlatego, żeby walczyć z wrogiem na ziemi ojczystej.

Ponieważ osoby pobożne nie bywają wolne od przesądów, obawiała się, że, wróciwszy, możebym zginął od kuli austriackiej, kiedy w Hiszpanii, opierając się na moich listach, w których starałem się o ile można ją uspokajać, przypuszczała, że walka z Gerylasami to więcej zabawka, aniżeli wojna. Jednakże ja na seryo myśleć zacząłem o powrocie do kraju, i tylko czekałem jakiej sposobności, to jest choćby lekkiej rany, któraby mi posłużyć mogła za powód do uwolnienia.

Z wiosną 1810 r. generał Suchet przeniósł teatr operacyi wojennych poza granice prowincyi aragońskiej. Mając sobie jeszcze w zimie udzielone wskazówki, że przedmiotem najbliższym jego operacyi wojennych będzie zajęcie królestwa Walencyi, robił zawczasu przygotowania do tej wyprawy, zdając sprawę z nich tak w Paryżu, jak i w Madrycie. Król Józef, chcąc skorzystać z wrażenia, jakie wywarło na umysły Hiszpanów szybkie zajęcie Andaluzyi, mając przytem porozumienia z niektórymi mieszkańcami Walencyi, rozkazał generałowi Suchetowi przyspieszyć pochód na Walencję dwoma kolumnami; jedną przez Terruel i Segorbię, drugą przez Morillę, ponad brzegiem morza. W rozkazie wzmiankowa-

no, że armia południowa wysła oddział ku Murcyi, dla posiłkowania głównego poruszenia, czyniąc tem jakoby uzasadnioną nadzieję, że Walencya bramy swe otworzy.

Kiedy generał Habert ze swoim oddziałem drogą nadmorską w kierunku Walencyi posunął się znacznie, a generał Suchet z główną swą siłą opuszczał Terruel, by śpieszyć także w tym kierunku, odbiera duplikat depe-szy 8 lutego (bo pierwsza została przejęta) z Paryża, polecającej mu rozpoczęcie oblężenia Leridy i Mequinenzy. Ponieważ generał Habert za daleko już był zaawansowa-ny, nie mógł go przeto generał Suchet z drogi cofnąć, jak również pozostawić samego wśród królestwa Walencyi, po-standził więc przeprowadzić to przedsięwzięcie, nie mo-gąc go powstrzymać.

Korpus więc nasz ruszył naprzód dn. 1 marca, i po bitwie pod Alwentora nad rzeczką Minjares, spędziwszy z pozycyi korpus walencki, posuwał się dalej. Postępo-waliśmy krajem dzikim, spalonym od słońca, nie upraw-nym, poprzerzynanym głębokimi, skalistymi wąwozami i wznoszącymi się naokół wzgórzami. Jakkolwiek posu-wanie się naszego korpusu było już tylko prostą demon-stracją wojenną, wymagało jednak wielkiej przezorno-ści dowódcy, ażeby, powracając tą samą drogą, w po-większonym jeszcze korpusie przez oddział generała Ha-berta, znaleźć dla armii wszędzie dostateczną żywność, zwłaszcza w kraju tak nieurodzajnym i w dodatku przez ustępującą armię walencką zniszczonym. To też, po-czawszy od Terruelu, na całej drodze w znaczniejszych punktach pozostawiane były silne oddziały, dla zabezpie-czenia komunikacyi z Aragonią i pokrycia naszych trans-portów, ciągnących za wojskiem z żywnością i amuni-cją, a w odwrotnym kierunku z chorymi, rannymi i jeń-cami.

Na ostatnim etapie przed Segorbią pozostawiona została nasza kompania. To jednakże nie przeszkodziło, że drobne oddziały powstańcze, należące do komendy Villa-Campy, przedzierały się z gór, z poza Gwadalkwiwiru, aby nam chwytać przesyłanych gońców i mniej zabezpieczone transporty. Ażeby temu zaradzić, wysłany zostałem z oddziałem 60 ludzi dla zajęcia wioski San Felipe, w głębokim skalistym wąwozie położonej, którym głównie powstańcy się przedzierali. Wioska ta od naszego etapu była prawie milę odległa. Zaopatrzony w żywność na dni trzy, miałem polecenie zajęcia tej wioski, bronięcia przeprawy powstańcom przez strumień, od Alpuente płynący, i oczekiwania dalszego rozkazu, a w razie, gdybym był atakowany przeważającymi siłami, cofania się ku głównemu etapowi.

Miało się ku wieczorowi, ale słońce było jeszcze dość wysoko na niebie, kiedy dotarłem do wioski z moim oddziałem. Zajęcie jej nie przedstawiało najmniejszej trudności, albowiem nie zastaliśmy tam żywej duszy: ludność z całym dobytkiem, zabrawszy co kosztowniejsze, zapewne przed naszym przybyciem w pobliższe góry się wyniosła. Wioska była niewielka, ściśle zabudowana; środkowa ulica wązka z domami piętrowymi po obu stronach, ale w stanie wielkiego zaniedbania i upadku. Domy były porysowane, dachy dziurawe, okna bez szyb, a nawet i bez żaluzji, co dawało świadectwo, że ludność, tu zamieszkująca, musiała być nadzwyczaj uboga i niedbala. Ogniska, w niektórych domach jeszcze nie wygasłe, świadczyły, że wioska krótko przed naszym przybyciem przez swych mieszkańców była opuszczona. Obejrawszy starannie miejscowość i rozprowadziwszy warty, obrałem dla reszty oddziału za punkt zborny wentę, t. j. karcznię,

w środku wioski położoną, stanowiącą najpokazniejszy dom tej osady.

Ponieważ było gorąco, kazałem wynieść przed dom ławę, na której zasiadłszy, wydawałem moim wiarusom różne rozkazy, a między innymi: żeby szanowali chudobę mieszkańców, sprzętów nie niszczyli, bo to tylko bezużyteczne barbarzyństwo, wywołujące zemstę i zawziętość ludności. Zresztą, prawdę mówiąc, nie było co plondrować, bo tylko najniezbędniejsze sprzęty były pozostawione, a i te nędzne świadczyły o wielkiem ubóstwie mieszkańców.

Wtem na ulicy dały się słyszeć głośnie krzyki. Jakoż wkrótce ujrzałem dwóch żołnierzy, prowadzących, a właściwie ciągnących starą kobietę, opierającą się i wrzeszczącą na całe gardło. Za nimi postępował trzeci żołnierz, niosący na plecach zawiniątko różnych rupieci, w płócienną płachtę zawiazanych. Żołnierze zameldowali mi, że przytrzymali babę z tem zawinięciem, wymykającą się chyłkiem z wioski, w chwili, gdy chciała się niepostrzeżenie prześliznąć przez łańcuch wojskowy. Widać, że baba, pakując swoje rupiecie, nie zdążyła przed naszym przybyciem opuścić wioski z resztą ludności i, ukrywszy się tylko, próbowała ucieczki, która jej się nie powiodła.

Gdy babę do mnie przyprowadzono, rozkazałem ją puścić, ale była tak osłabiona krzykiem i szamotaniem się, że byłaby upadła, gdyby jej żołnierze nie byli podtrzymali. Kazałem ją posadzić na ławie i złożyć obok niej zawinięcie. Baba mogła mieć lat ze sześćdziesiąt, była zawiędła, ale jeszcze rzeźka, i byłaby mi może, odpocząwszy, z ławy drapnęła, gdyby jej żołnierze nie pilnowali; wrzeszczała jednak wciąż, jak opętana, wymyślając nam od złodziei, rozbójników, heretyków, kace-

rzy, bezbożników i innych epitetów, jakie tylko znajdują się w mowie hiszpańskiej.

— Czego wrzeszczysz — rzekłem — kiedy ci nikt nic złego nie robi? A że nie jesteśmy ani złodzieje, ani rozbójnicy, to masz najlepszy dowód, że ani ci włos z głowy nie spadnie, ani twoich rzeczy, które masz przy sobie, nikt ci nie ruszy.

Niewiasta jednak wrzeszczeć nie przestawała. To mnie nareszcie znudziło.

— Słuchaj, babo — rzekłem groźnym tonem — jak mi wrzeszczeć nie przestaniesz, to cię każę wsadzić do lochu, i póty tam trzymać będę, póki się nie uspokoisz.

Kobieta, widząc, że jestem starszy, że moich rozkazów żołnierze słuchają i że łatwo mogę to wykonać, czem jej zagroziłem, uspokoiła się cokolwiek, ale nie przestała lżyć nas, mruczając pod nosem.

Ponieważ zauważyłem, że głównie przeciw nam poruszały ją przekonania religijne, rzekłem:

— Słuchaj, my jesteśmy lepsi katolicy, aniżeli twoi współrodacy, bo my bezbronnym ludzi nie mordujemy, tak jak wasi; ostatniego kęsa chleba biednym nie wydieramy, owszem, widząc was głodnych, gotowi jesteśmy tam, co mamy, z wami się podzielić, a nawet i ciebie, jeśli nie masz co jeść, nakarmić. Niepotrzebnie mięszkańcy tej wioski uszli przed nami, bo, gdyby pozostali, nicby im się złego nie stało, czego dowodem ich domy, które, jak były, tak i pozostaną przez nas nietknięte.

Te jednak argumenty nie przekonały baby. Mruczała wciąż jeszcze pod nosem. Trzeba było dowodów dotykanych, by ją przekonać. Rozpiąłem więc kamizelkę i ukazałem jej na piersiach zawieszony szkaplerz i medaliki, a gdy ujrzała pierścień, na którym był wizerunek Madonny del Palar, umilkła odrazu i przeżegnała się.

— Senior caballero — rzekła — wybacz starej, głupiej kobiecie, jeśli cię w czem obraziła, a teraz, jeżeli masz co do rozkazania, to chętnie wypełnię.

Zapytałem, czy jest z tej wioski.

— Tak jest — odpowiedziała — mój dom stąd o kilka kroków — i pokazała mi trzeci dom, po drugiej stronie ulicy stojący.

— A więc możesz sobie zabrać swoje rzeczy i iść do domu. Nikt ci tam z nas spokoju nie zamać, tylko nie staraj się uciekać, bo mi nie wolno nikogo z tej wsi wypuszczać, a jakby cię moi żołnierze powtórnie przytrzymali, to musiałbym kazać cię zamknąć.

Stara podziękowała i zabierała się do zarzucenia sobie na plecy swego zawiniątka. Chciałem jej dać żołnierza, by je poniósł za nią, ale odmówiła, utrzymując, że nie jest tak ciężkie i że je sama zanieśie.

W pół godziny może ukazała się na progu swego domu, a widząc mnie, siedzącego wciąż na tem samym miejscu i palącego cygarete, zbliżyła się i z wielką nieśmiałością zaproponowała, czybym nie obrał sobie kwatery w jej domu, gdzie będzie mi cokolwiek wygodniej, aniżeli na ławie, albo też i w samej wencie.

Przyjąłem propozycję i znalazłem izbę czysto zamiecioną i łóżko, świeżą bielizną zasłane. Z łóżkiem w ciągu całego marszu nie spotkałem się, a i tu nie mogłem w pełni z uprzejmości donny Dolores (tak się nazywała staruszka) korzystać, bo na posterunku, na jakim się znajdowałem, nie można się było rozbierać, a tylko w zupełnem ubraniu rzucić na łóżko, by cokolwiek snu zakosztować. Wydawszy komendzie odpowiednie rozporządzenia, przenieśliem główną kwaterę do domu staruszki.

Od niej dowiedziałem się, że mieszkańcy wioski byli

biedni, wąż bowiem skalisty nie przedstawiał ani gruntów do uprawy odpowiednich, ani łąk i pastwisk do wychowu inwentarza; utrzymywali się tylko z kontrabandy, a właściwie z pomocy, jakiej kontrabandyzjom udzielali. Skoro towar przemywany raz dostał się do tej wioski, już go celnicy nie mogli wysledzić, pomimo wszelkich sztuk i zasadzek, jakich używali.

Donna Dolores była bezdzietną wdową po kontrabandyście, a owdowiawszy, również z innymi mizerne prowadziła życie; dom tylko, który wydzierżawiała, i mały ogródek, stanowiły całe jej utrzymanie.

Trzeciego dnia, zaraz od rana zostałem napadnięty przez oddział powstańców, znacznie siły moje przewyższający. Żegnając się ze staruszką, wcisnąłem jej w rękę dukata, którego z początku wzbraniała się przyjąć, uważając, że drobne usługi, które mi wyświadczyła, nie zasługiwały na tak hojne wynagrodzenie; ale nareszcie przyjęła, gdym jej powiedział, że na wypadek, jeśli bym zginął, zakupi mszę za moją duszę. Pożegnanie było serdeczne.

Broniłem wytrwale z moim oddziałem swego stanowiska, ale pod wieczór, widząc, że go już utrzymać nie potrafię, zebrałem oddział i rozpocząłem odwrót powoli, odstrzeliwując się naciskającemu nieprzyjacielowi. Opuściwszy wioskę, dostrzegłem, że powstańcy pozajmowali pozycje na skalistych wyniosłościach wężozu, skąd razili nas ukośnymi z góry strzałami. Obawiając się zatem, by nam odwrotu nie odcięli, poleciłem oddziałowi rejtrować przyśpieszonym biegiem, a sam z kilku ludźmi osłaniając oddział, stanowiłem aryergardę. W tej właśnie chwili kula ugodziła mnie w same piersi. Zachwiałem się. Dwóch żołnierzy pochwyciło mnie pod ręce, aby wprowadzić. Czulem, jak krew z rany silnie płynęła, za-



Jakoż posadzili mnie pod drzewem oliwkowym, gdzie w parę sekund straciłem przytomność.

częło mi się robić słabo i ciemno przed oczyma. Mój oddział był już daleko. Pozostaliśmy tylko we trzech, i nieprzyjaciel już nas doganiał. W przeświadczeniu, że jestem śmiertelnie ranny i że mi życia za ledwie kilka chwil pozostaje, nie mogąc iść już dalej, uprosiłem moich pocziwych wiarusów, z których jeden był również już ranny, aby mnie pozostawili, a sami, póki jeszcze czas, śpieszyli za oddalającym się oddziałem, tem więcej, że mi ich pomoc żadnej już nie mogła przynieść korzyści. Jakoż posadzili mnie pod drzewem oliwkowem, stojącym blisko drogi, gdzie w parę sekund zacięło mi się zupełnie w oczach i straciłem przytomność.

III.

Kiedy się zbudziłem, wokoło mnie panowała najgłębsza cisza i ciemność. W pierwszej chwili nie umiałem sobie zdać sprawy, ani gdzie jestem, ani co się ze mną dzieje. Myśl o śmierci, która błysnęła w mej głowie, przejęła mnie dreszczem; konwulsyjnie zacząłem macać wkoło siebie, czy nie natrafię na wieko trumny lub na ściany zimnego grobu. Uspokoiłem się wkrótce, przekonawszy się, że leżę na wygodnem łóżku, a plastry i bandaże, którymi były pokryte moje piersi, zwróciły myśl moją do rzeczywistości i przypomnienia tego, co zaszło.

Wprawdzie niektóre obrazy nasuwały się mej pamięci, ale były tak mgliste, że nie mogłem w sobie wyrobić przekonania, czy one były we śnie, czy na jawie. Widziałem bowiem jakąś izbę, brudną, czarną, ubogą, w której leżałem, zdaje mi się, na stole, a wkoło mnie kobiety i kilku mężczyzn z jakimś dzikiem, odpychającym obliczem. Jedna z tych kobiet przyświecała świe-

czką lojową, która blade, nie dość wyraźne rzuciła światło na ową grupę ludzi, wokół mnie się krzątających. Mocny ból, który od czasu do czasu dawał mi się we znaki, wywoływał jęki z mej piersi i zmuszał do otwierania oczu, które jeszcze prędzej zamykały się, aby się tylko uwolnić od tego niemilego widoku.

Drugi obraz, który także słabo rysował się w mojej pamięci, był wdzięczniejszej od pierwszego natury. Była to noc. Widziałem nad sobą prześliczne szafirowe niebo, gęsto usiane błyszczącymi gwiazdami; powiew jakiś aromatyczny, świeży i chłodny wnikał do mojej piersi i spalone pragnieniem usta, jakby balsamem, orzeźwiały się tym oddechem. Czulem jakieś kołysanie, jakieś ciemne masy jakby górskiego krajobrazu przesuwały się przed memi oczyma. Zdawało mi się, że leżę na grzbiecie jakiejś żywej istoty, która się ze mną naprzód posuwała, prawdopodobnie muła. Obraz ten trwał bardzo krótko; oczy, na chwilę błędzące w dalekich przestrzeniach, znowu się zamknęły.

Owóż, przypominając sobie teraz te jakieś wrażenia, których ślad słaby zaledwie w mej pamięci pozostał, przyszedłem do przekonania, że może to nie był sen, ale rzeczywistość: że pierwszy obraz był operacją chirurgiczną, której na mnie dokonywano i której ból przywoływał mnie do zmysłów; drugi był przypomnieniem jakiejś podróży, odbytej w czasie mojej choroby, ale jak długo ona trwała i w jakich się warunkach odbyła, a nareszcie ile czasu ubiegło pomiędzy pierwszym snem pod drzewem oliwnem a terazniejszym mojem obudzeniem, tego w żaden sposób oznaczyć nie mogłem. Ponieważ myśl moja, obudzona, w jasnym zaczęła iść kierunku, więc zwróciła się do szczegółów obecnego mego położenia.

Oczy też, oswoiwszy się z ciemnością, zaczęły, acz

niewyraźnie, rozeznawać różne przedmioty. Widziałem, że spoczywam na łożu wygodnem, a więc, że nie jestem w żadnym lazarecie, ale pod jakąś szczególną opieką— czy przyjazną, czy nieprzyjazną, tego jeszcze zbadać nie mogłem. Łoże moje stało w niszy, osłoniętej firankami, przez których szparę widać było obszerniejszą komnatę.

Gdym już zupełnie oprzytomniał, szukać zacząłem na mej piersi mego medalu z Matką Boską Częstochowską, a na palcu lewej ręki pierścionka, ofiarowanego mi przez Manuełę, ale ani jednego ani drugiego odnaleźć nie mogłem. Ścisnęło mi się serce z bólu na stratę tych pamiątek; stanęła mi przed oczyma matka, którą może wieść usłużna o mojej śmierci zawiadomi, i zadrżałem na samą myśl, jakie ta wiadomość zrobi na niej wrażenie. Stanęła mi również w myśli i Manuela, z całą sceną w Saragossie. Dwie te myśli tak mnie znękały, że przestałem nareszcie myśleć i zapadłem w jakiś dziwny stan, czy snu, czy osłupienia.

Jak to długo trwać mogło, nie wiem, ale, gdym znowu oczy otworzył, zacząłem lepiej rozeznawać wkoło mnie znajdujące się przedmioty. Dzień, który wciskał się przez zamknięte żaluzjami okna, półświatłem otoczył moje łoże, kotara była odsunięta, a nade mną stała jakaś kobieta nachylona, słuchająca widać mojego oddechu. Nie mogłem jej się przypatrzeć, bo stała przeciw światłu, które mi jej rysy czyniło niewyraźnymi. Pragnąc się jednak czegoś dowiedzieć, przemówiłem cichym głosem:

— Buenos dias, seniora.

Na te słowa kobieta odskoczyła ode mnie i zawołała:

— Buenos dias, senior caballero! buenos dias! Toż nareszcie przemówiłeś do mnie po ludzku, bo dotąd w go-

rączce wymawiałeś takie słowa, którychby nikt zrozumieć nie potrafił. O! Santa Cassilda, sea lodada!... A czy nie potrzebujesz czego?

— Owszem — rzekłem — czuję pragnienie i chętnie napiłbym się wody.

— Zaraz, zaraz będę ci służyła — a wzięwszy mnie za puls, dodała:—O! nuestro alivio, Santa Barbara, sea mi avogada, a toć gorączka prawie ustała. O! San Fabrizio, buen San Fabrizio! to wielkie szczęście! wczoraj jeszcze była tak silna, że wątpiłam, czy do dnia dzisiejszego dożyjesz — i podała mi do picia jakąś tyzannę.

Orzeźwiwszy się trochę, dałem poznać mojej doktorce, czy opiekunce, że jestem głodny i że chętniebym co spożył. Tu dopiero wykrzyknikom końca nie było, a po każdym słowie San Jago, Santa Rozalia, San Ignatio, nuestra Seniors del Atocha, del Pilar, del Carne, Maria Santissima były ciągle na placu, tak, że nie było ani jednego świętego, ani jednej miejscowości, cudami słynącej w Hiszpanii, którejby w mowie swojej nie powołała.

Moja lekarka była to Cyganka, kobieta już niemłoda, wysoka i silnie zbudowana. Rysy jej twarzy może kiedyś były i piękne, czego dowodzić się zdawały wielkie czarne oczy, ale przedwczesna starość pomarszczyła je i zeszcpecila. Chciałem się od niej dowiedzieć, gdzie jestem, jakim sposobem tu się dostałem i kto się właściwie mną opiekuje, ale stara zaleciła mi przedewszystkiem jak największą spokojność i jak najmniej się odzywać, dlatego, że miałem płuca nadwreżone. O ile Cyganka знаła się na sztuce lekarskiej, o tem na razie przekonać się nie mogłem, ale uważałem, że z wielką zręcznością przewinęła moje bandażę, zmieniła plastry i nowymi je zastąpiła.

Na wszelkie jednak moje pytania dawała odpowiedzi

wymijające, a właściwie, skończywszy opatrunek ran moich, szybko się oddaliła, żeby mi tym sposobem odjąć możliwość robienia zapytań.

Przez parę dni następnych, i to w godzinach ściśle oznaczonych, po kilka razy dziennie widywałem moją Cygankę. Przynosiła mi napoje chłodzące, jedzenie i opatrywała moją ranę, unikając o ile można wszelkiej ze mną rozmowy; to mnie nareszcie znecierpliwiło i postanowiłem bądź co bądź wybadać ją, by czegoś się nareszcie dowiedzieć. Zdawało mi się z początku, że stara jest ograniczona, ale przekonałem się następnie, że jej nie brakło ani sprytu, ani zdrowego rozsądku, trzeba się więc było zabrać do niej zręcznie i ostrożnie. Dodać tu winienem, że moje siły, acz powoli, z każdym jednak dniem się poprawiały.

Trzeciego dnia, gdy przyszła rano mnie opatrzeć i gdy skończyła tę czynność, przytrzymałem ją za rękę i rzekłem:

— Senioro, ja już dłużej w łóżku wyleżeć nie mogę, postanowiłem dzisiaj wstać i sił spróbować.

— To niepodobna!

— Dlaczego?

— Bo jeszcze nie masz sił dostatecznych, a wszelkie zrywanie się przedwczesne może ci zaszkodzić i wyzdrowienie na długo przewlec.

— A więc mam jeszcze w łóżku pozostać?

— Tak, choćby cały tydzień, a co już najmniej to ze dni cztery.

— Ach! to ja się tu zamęczę od samej bezczynności. Przynieś mi choć przynajmniej jaką książkę, bym czytaniem mógł sobie czas skrócić.

— Książka nie jest dobra, bo potrzebujesz spokoju ciała, a więcej jeszcze spokoju ducha.

— Więc cóż ja biedny mam robić?

— Przyniosę ci koronkę, to, odmawiając modlitwy, najlepiej czas sobie zapelnisz.

Na tę radę uśmiechnąłem się.

— O! senior caballero — rzekła — tyś się gorąco modlić powiniem, bo, jeżeli żyjesz, to nie moje lekarstwa i starania sprawiły, ale cud i opieka naszej Najświętszej Panny del Pilar.

— Dlaczego ten cud miała sprawić Najświętsza Panna del Pilar, a nie inna jaka święta lub święty?

— Dlatego, że jej opiece musiałeś więcej zaufać, kiedy jej wizerunek nosiłeś na swej piersi.

— A skądże wiesz o tem?! — zawołałem uradowany, bo mi zaraz w myśli stanęło, że mój skarb, który uważałem za stracony, może być odzyskany.

— Wiem o tem — rzekła — bo, gdy mi ciebie, dającego zaledwie słabe oznaki życia, przywieziono, miałeś ten wizerunek na swojej piersi. Zdjęłam go, żeby mi nie przeszkadzał przy opatrywaniu rany, i zwracam ci go w całości.

To mówiąc, otworzyła szufladkę w stoliku, przy łóżku stojącym, i podała mi jedwabny czarny woreczek, w którym był medalion i pierścionek, a który na czarnej wstędze ciągle na mojej piersi nosiłem.

Pochwyciłem z jej rąk woreczek, dobyłem zeń moje skarby i zacząłem je z gorącem uniesieniem całować.

Stara przypatrywała się tej niemej scenie z rozrzewnieniem i ciekawością.

— Patrz — rzekłem, podając jej medalion — to jest wizerunek naszej Najświętszej Panny Częstochowskiej, która równie cudami słynie, jak i wasza Najświętsza Panna del Pilar. Ten medalion zawiesiła mi na piersi moja matka, gdy szedłem na wojnę, a ten pierścionek otrzy-

małem od pewnej młodej damy, której oddałem drobną przysługę, a której pamięć równie droga mojemu sercu, jak pamięć o mojej matce.

Cyganka roześmiała się cokolwiek złośliwie, a powiedziawszy: „Oj! młodość, młodość!”—pogroziła mi palcem; zwracając mi następnie medalion, chciała wymówić, co jej kilka razy powtórzyłem: „Nuestra Seniora del Częstochowa“, ale wyrazu „Częstochowa“ w żaden sposób wymówić nie mogła.

Kiedy już zacząłem z łóżka się podnosić, moja gospodyni przysposobiła mi ubranie swojego młodszego syna, mulnika, które dosyć dobrze pasowało do mojej figury. Kiedym je po raz pierwszy wdział na siebie i przejrział się w lustrze, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, widząc się przeistoczonym w jakiegoś cittađina hiszpańskiego. Wtedy stara usilnie mi zalecała, abym, broń Boże, nie otwierał żaluzyi u okien, bo złych oczu jest wszędzie pełno, które wszystko śledzą i wszędzie się wciskają, a raz powzięte podejrzenie, że w tem mieszkaniu może się kto ukrywać, mogłoby zgubić nie tylko mnie, ale i całą jej rodzinę. Uspokoilem Cygankę zapewnieniem, że się ściśle do jej przestrogi zastosuję.

Kilka dni tak przeszło. Rana moja zaczęła się powoli zablizniać i sił mi z każdym dniem przybywało, a powietrze, które przez otwarte okna do komnaty mojej wchodziło, było takie świeże, aromatyczne i orzeźwiający, że mi się dusza rwała do tych przestrzeni, z których w pierś moją takie splywały balsamy. Odosobnienie moje i zamknięcie jakby w więzieniu stawało mi się z każdą chwilą coraz nieznośniejsze. Nie widzieć ani ludzi, ani cudownej natury, to zdaje się gorsze, niż śmierć, dla człowieka; czuć, że wiosna jest w pełnym rozwoju, i że mnie od niej dzieli tylko wązka zapora, to trzeba było nadludz-

kiej siły woli, aby się oprzeć pokusie i nie wyrzeć na ów świat, który przeczuwałem piękny i rozkoszny.

Postanowiłem w końcu bądź co bądź zniweczyć ówą zaporę i przekonać się, skąd do mnie ów cudowny aromat zalatywał. Żaluzye okien moich były nieruchome, więc, z wierzchu patrząc, mogłem tylko dojrzeć wąską linię piasku najbliższego przy domu. Uchyłać zaś je było niebezpiecznie, więc pozostało tylko na wszelkie ryzyko tak opuścić którą z deseczek żaluzyi, żeby mi przynajmniej szparę swobodną do patrzenia zostawiła. Z żaluzją okna od wschodu to mi się nie udało, ale zupełnie się powiodło przy oknie od strony południowej. Najniższe deseczki żaluzyi były cokolwiek przy osadzie w ramie nadpróchniałe, całą więc siłą nacisnąłem najniższą deseczkę żaluzyi, a ta z jednej strony przy samej osadzie pękła i opuściła się na dolną część ramy, tworząc wąską wprawdzie szparę, ale dostateczną dla oka.

Ucieszyłem się, jakbym jaki nowy świat odkrył. Operacyi tej dokonałem wieczorem, właśnie w chwili, gdy słońce było na samym zachodzie, a widok, który mnie uderzył, zachwycił mię, upoił i oczarował. Nic w mojem życiu piękniejszego nie widziałem! Dotąd Hiszpania przedstawiała mi się dziką, skalistą, spaloną od słońca pustynią, a tu odrazu czułem się jakby do najrozkoszniejszego raju przeniesionym. Od stóp moich ciągnęły się czarujące ogrody, w łagodnych spadkach spuszczając się w dolinę, bogatą, tropikalną odznaczającą się wegetacją.

Moje oczy i uwaga tak były wyłącznie zajęte tym cudownym obrazem i grą zmieniającego się światła przy zachodzącem słońcu, że, choć już ono zaszło i wszystkie przedmioty jednym szarym kolorem powlekać się zaczęły, ja od mojej szpary nie mogłem oczu oderwać i nie

słyszałem, jak do mojej komnaty weszła gospodyni, przynosząc mi wieczerzę.

— A! senior caballero! tak to pamiętasz moje przestrogi? — rzekła, grożąc mi palcem.

Odskokczyłem od okna, i w pierwszej chwili stanąłem pomieszany, jakbym się najcięższego dopuścił przestępstwa. Stara zaś, wskazując na szparę, mówiła:

— Aha, senior! to twoja sprawka.

— Ale gdzież tam — odparłem żartobliwie, przyszedłszy już do siebie — to się widać samo od starości tak usunęło.

— Mniejsza o to — rzekła stara — kto to zrobił, ale senior do ostatniej chwili pamiętać powinieneś o niebezpieczeństwie, jakie nam wszystkim zagrażać może, jeżeli nie będziesz dosyć ostrożny. Zresztą, czas już bardzo krótki twego tu pobytu. Twoje rany już się prawie zagoiły, ja ci nic więcej już nie pomogę; jutro lub pojutrze przewieziony zapewne będziesz w inne miejsce, gdzie będziesz miał więcej, aniżeli tu, swobody.

Po odejściu starej jakaś otucha wstąpiła do mojego serca. że nareszcie przestanę być więźniem, i że będę mógł podziękować temu nieznanemu dobroczyńcy, który tak bezinteresownie i szlachetnie zajął się moim losem.

Nazajutrz od samego rana wyczekiwałem z niecierpliwością wiadomości, kiedy i w jaki sposób opuszczę zajmowaną dotychczas miejscowość. Na pytanie, powtarzane za każdym pojawieniem się Cyganki, odpowiadała mi zawsze, że jeszcze nic nie wie, że, jak przyjdzie czas, to będę o tem zawiadomiony, a teraz nie pozostaje mi nic innego, tylko czekać cierpliwie.

To mi jakoś humor popsulo, a chociaż cały dzień prawie spędziłem przy szparze u okna, przypatrując się

pięknej Huercie, to już ona na mnie takiego nie robiła wrażenia, jak dnia poprzedzającego.

Gdy nadszedł wieczór, a Cyganka, zabierając resztki wieczerzy, powiedziała mi: „Buenas notas, senior caballero“, doznałem jakiejś tęsknoty, jakiejś potrzeby wyrwania się z tej klatki i odetchnięcia pełniejszą pierśią, wśród tej rozkosznej przyrody, którą miałam przed sobą.

Gdy człowiek raz sobie jakie zrobi ustępstwo, to już zwykle idzie i dalej, potrafiąc wszystko sobie wyrozumować.

Noc zapadała, księżyc całym blaskiem oświecał ogrody i dolinę. Postanowiłem, bądź co bądź, wychylić się poza to moje dziwne więzienie i zwiedzić choćby ogród najbliższy. Rzeczywiście, nie była to dobra pora do przechadzki, bo ludność hiszpańska najczęściej właśnie wieczorami i nocą szuka po ogrodach wytchnienia, wśród wieczornego chłodu, ale pomimo, że się ryzykowałem na niebezpieczeństwo spotkania kogokolwiek, takem to sobie pięknie wyrozumował, że przyszedłem do przekonania, iż to niemożliwe, bym się tam na kogo natknął, a w ostateczności łatwo przecież się wśród krzewów gdziekolwiek ukryć.

Kiedy już miarkowałem, że moi gospodarze muszą spać w najlepsze, wyszedłem do sieni i po cichutku wszedłem na dół. Drzwi od dworu znalazłem wprawdzie zamknięte, ale klucz tkwił w nich — zakręciłem i drzwi się odemknęły. Wyszedłem i znalazłem się na małym podwórku, oddzielonem od również małego ogródka plecionym płóciem, w którym drzwiczki do niego były lekko uchylone. Wkroczyłem śmiało, a obszedłszy dokoła ogródek i rozejrzawszy się, czy mnie kto nie śledzi, znalazłszy zejście z niego po schodkach kamiennych do wie-

le obszerniejszego ogrodu, puściłem się naprzód, jak to mówią: gdzie oczy poniosą.

Tu już każdy szczegół był przedmiotem mojego zachwycenia i podziwu. I księżyc, który swoim blaskiem osrebrał wszystkie przedmioty, i fontanny, które, pędząc w górę wysoki prąd wody, spadały jakgdyby deszczem brylantów, i rośliny, które swem bogactwem tropikalnem kolosalne przybierały rozmiary, dziwiąc niezrównaną wielkością swych kwiatów. Tak posuwając się naprzód coraz dalej, zapomniawszy zupełnie, że jestem na ziemi, na której walka toczy się na zabój, miałem złudzenie, że wchodzę w jakieś empirejskie dziedziny.

Posłyszawszy w gęstej krzewów zarośli brzęk gitary i przytłumiony śpiew nadzwyczaj sympatycznego niewieściego głosu, jakby niewidzialną magnetyczną siłą pociągany, szedłem wciąż naprzód, aż doszedłem do altanki, w której na białej marmurowej ławeczce siedziała czarno ubrana kobieta. Gdym się pojawił u wejścia, kobieta położyła gitarę, zerwała się z siedzenia i chciała uchodzić, lecz kiedy oko w oko przede mną stanęła, a księżyc całym blaskiem twarz jej oświecił, poznałem... Manuellę.

— Manuela! — zawolałem i, nie myśląc, co robię, upadłem przed nią na kolana, a pochwycawszy za rękę, obsypywałem ją gorącymi pocałunkami. To się stało tak nagle, że ani ja z tego nie umiałem zdać sobie sprawy, ani Manuela, która zmieszana nie wiedziała, jak postąpić: czy iść naprzód, czy się zatrzymać. Widać i ona mnie poznała, bo oprzytomniawszy, rzekła:

— Na Boga!... senior caballero, nie zatrzymuj mnie... Ja tu nie powinnam... ja tu nie mogę pozostać!

— Jedną tylko chwileczkę, senioro!

— Ależ ani chwili — dodała jakby z boleścią — ja pańskich żądań wysłuchać nie mam prawa.

— Senioro! — zawołałem — ja żadnych nie mam żądań. Gdy jednak znalazłem cię w tem miejscu, odgadłem mojem sercem, że tobie jestem winien ocalenie mojego życia. Pozwól więc, niech ci najgłębszą moją wdzięczność wyrażę.

— Caballero, to jest tylko dług spłacony.

— Nie, senioro, tu jest więcej, niż dług spłacony, tu jest najwyższy objaw uczuć duszy prawdziwie chrześcijańskiej, tu..

— Ha! stało się — rzekła, przerywając mi mowę — widzę, taka już chyba musiała być wola del nuestra Santissima Seniora del Pilar.

Wyrzekłszy to, cofnęła się do altanki, usiadła na marmurowej ławeczce i skinieniem ręki wskazała mi miejsce obok siebie.

Właściwie odpowiedzi ostatniej, odnoszącej się do Najświętszej Panny del Pilar, nie zrozumiałem, nie śmiałem jednak żądać objaśnienia, żeby nie zadrasnąć jej religijnych uczuć.

Usiadłem obok Manueli, lecz czas długi siedzieliśmy oboje w milczeniu; brakowało nam odwagi do rozpoczęcia rozmowy. Trzeba jednak było wyjść z tego żenującego położenia, rozpocząłem więc powtórnem podziękowaniem za moje ocalenie i opiekę w chorobie. Przedmiot ten coraz to nowiej dostarczał treści, tak, że rozmowa na chwilę już nie ustawała, wkrótce też dowiedziałem się od Manueli wszystkiego, com pragnął wiedzieć.

Oto, gdym padł raniony w utarczce z powstańcami, donna Dolores kazała mię umierającego przenieść do swego domu i wezwała chirurga, który wyjął mi kulę z pod łopatki; ale, ponieważ stan mój nie rokował utrzymania

mię przy życiu, postanowiła znalezione u mnie medalion i pierścionek sprzedać, aby za otrzymane pieniądze, gdy umrę, pochować mię po chrześcijańsku. Przypadek zdarzył, że właśnie wtedy przez wioskę San Felicio przejeżdżała Manuela i że do niej zwróciła się donna Dolores z propozycją kupienia wzmiankowanych kosztowności. Manuela, zdumiona widokiem przedmiotów, ofiarowanych mi w Saragossie, kazała staruszce zaprowadzić się do mnie. Poznawszy mię, choć byłem zmieniony z wycieńczenia i nieprzytomny, poleciła przenieść mię jak najspieszniej do domu lekarki Cyganki w Segorbii, w której okolicach sama obecnie u dalekiej krewnej mieszkała, i otoczyć jak największem staraniem, pragnąc tym sposobem spłacić, jak mówiła, choć w części, dług wdzięczności za mój czyn w Saragossie.

Na tej rozmowie upłynęła szybko dobra godzina, Manuela oświadczyła mi, że musi już wracać do domu, zalecając jak największą przy powrocie ostrożność, a nawet i rozmowę cichą, żeby do jakiego sąsiedniego ogrodu głos mój nie doszedł i podejrzeń nie obudził. Wskazała mi nawet drogę pomiędzy winnicami, okrytymi bujną lato-roślą, któremi niepostrzeżenie mogę się przedostać do mojego mieszkania. Gdym ją jednak zapytał, czy nazajutrz będę miał sposobność znów ją zobaczyć, oświadczyła, że w domu u siebie przyjąć mnie nie może, bo choć jej stara krewna wie o wszystkim, to jednakowoż obawia się niedyskrecyi służących; możemy się więc tylko zejść w tem samym miejscu, co dzisiaj, i o tej samej godzinie.

Tu się rozpoczyna najpiękniejsza i najrozkoszniejsza część mojego życia, która trwała tydzień tylko i ograniczona była zaledwie do jednej godziny dziennie, ale jaśniej w dziejach mojego żywota, jak najpiękniejsza

gwiazda, odbita na dnie niezamaconego jeziora. Czyż można się dziwić, że w otoczeniu najcudowniejszej przyrody, wśród upajającej woni róż, pomarańcz, magnolii i mnóstwa innych pachnących kwiatów, którymi przesycone było powietrze wiosenne, przy łagodnym blasku księżycowej południowej nocy, dwoje tak młodych, jak my, istot (Manuela liczyła zaledwie siedmnastą wiosnę, ja zaś rok dwudziesty trzeci), pociągniętych nieprzepartą siłą wzajemnej sympatii, skłaniającej nas ku sobie, zapominało całkiem o świecie, o ludziach na nim żyjących w niezgodzie, o tem, że jest wojna, która wszystko niszczy i najserdeczniejsze związki rozrywa. To też w najrozkoszniejszym zachwyceniu i upojeniu przeżyliśmy tę znikomą chwilę, najpiękniejszą, jaka może się tu na ziemi dostać w udział śmiertelnikowi.

Stosunek nasz był, jakby między bratem i siostrą, poufałość jak największa. Ona mówiła do mnie: „mój Pablo“, ja do niej: „moja Manuela“, a jednak w niczem nie przekraczaliśmy tej braterskiej poufałości. Ani ona, ani ja, nie wyrzekliśmy dotąd ni razu słowa miłości, choć ta gwałtownie rozpierała nam piersi i do ust się cisnęła. Była to nieśmiałość dwojga prawdziwie zakochanych, którzy czuli, że byli stworzeni dla siebie, ale bali się wypowiedzieć swe uczucia miłosne słowami, by nie zatrzeć tego uroku niewinności, jaką głęboka miłość lubi się odziewać.

W rozmowach naszych poruszaliśmy wszystko, cośmy tylko wiedzieli; ja pragnąłem poznać najdrobniejsze szczegóły jej życia, ona również to wszystko, co mnie bliżej mogło obchodzić. Gdym jej opisywał moje stosunki rodzinne, moje wychowanie i moją matkę, Manuela zawołała:

— Ach! to kobieta święta! Jakże pragnęłabym ją

poznać i pokochać! A czy wszystkie wasze kobiety są tak dobre, jak twoja matka?

— Tego nie wiem — odparłem — bo w mojem życiu mało miałem sposobności poznać więcej kobiet, ale dobroć serca i łagodność należą do przymiotów naszych niewiast.

— Dlaczegoż mi nie mówisz o najcelniejszym? Wasze kobiety są podobno bardzo piękne.

— Skąd ci przyszło mnie o to pytać?

— Muszą być piękne, kiedy największy kacerz naszego czasu, t. j. Napoleon, tak został oczarowany pięknością waszej rodaczki, że dla niej własną żonę porzucił.

Sprostowałem tę jej opinię, dodając, że kobiety nasze więcej się odznaczają uprzejmością i powabem niewieścim, aniżeli doskonałą pięknością, chociaż i ta liczne miewa między niemi przedstawicielki.

— Co do mnie — rzekłem — to najpiękniejszą kobietę spotkałem nie w mojej ojczyźnie.

— A więc gdzie? — spytała ciekawie.

— W Hiszpanii, w Saragossie, a imię jej... Manuela.

Uderzyła mnie zlekka wachlarzem i rzekła:

— Ej! Pablo! Pablo! jesteś pochlebca.

Pragnąłem się dowiedzieć, unikając wszelkich innych religijnych kwestyi, co znaczyła interwencya Najświętszej Panny del Pilar przy najpierwszej naszej rozmowie. Długo wzdragała się na to odpowiedzieć, aż narreszcie, skłoniona memi natarczywemi prośbami, oświadczyła, że, kiedy mnie ujrzała w owej chacie ubogiej kobiety, dającego zaledwie słabe oznaki życia i prawie już dogorywającego, uczyniła ślub do Najświętszej Panny del Pilar, że, jeżeli mi życie ocali, to ona, Manuela, gotowa się wyrzec na zawsze widzenia mnie i zawiadomienia, czyim staraniom winien jestem życie i wyzdrowienie.

Byłaby tego święcie dopełniła, gdyby nie wypadek, który sprowadził mnie niespodzianie do altany, uczyniwszy uniknięcie mojej osoby i moich podziękowań niemożliwym. Była jednak przekonania, że się tem złe wielkio stało, bo jeślim odzyskał życie i zdrowie, to tylko winieniem cudownemu pośrednictwu N. Panny del Pilar, a ponieważ ślub jej nie został dopełniony, obawia się, by mi gorsze nie zagroziło niebezpieczeństwo.

Od Manueli się też dowiedziałem, że to, co było dotąd przypuszczeniem, było aktualnie rzeczywistością: że uratowałem życie Palafoxa. Palafox był jej pokrewnym z matki. Złożony ciężką chorobą, pod koniec obleżenia, przeniesiony został z ulicy Cosso, gdzie zamieszkiwał, do z matki. Złożony ciężką chorobą, pod koniec obleżenia, jako w miejsce najmniej na pociski nieprzyjacielskie wystawione. Tam Manuela ze swym ojcem go odwiedzali; tam Palafox, leżący na łóżku za kotarą, znalazł sił jeszcze tyle, że w chwili katastrofy wypalił z pistoletu do kapitana francuskiego. Wystrzał jego był jednoczesny z wystrzałem kapitana, a dym zapełniający komnatę nie dał się domyślić tego wystrzału. Gdym zrobił propozycję Manueli, by, korzystając ze sposobnej chwili odzyskania wolności, zabrała i ocaliła od rabunku, co ma najdroższego, uważała w swem patryotycznym uczuciu, że najwyższym jej obowiązkiem było ocalenie życia i wolności największego, według niej, bohatera hiszpańskiego. To jej się udało, a wdzięczność dla tego, który jej do tego dopomógł, była odtąd bez granic. Ona to również wymogła na Palafoxie te słów kilka przypisku, które w liście do marszałka Lannesa zamieścił.

Upłynął tydzień — tydzień nieopisanego szczęścia. Byliśmy oboje sobą tak zajęci, żeśmy ani pomyśleli, że to się kiedykolwiek zmienić może. Zdawało nam się, że

ten stan błogi trwać będzie całe wieki. Dzień każdy wydawał mi się nieskończenie długim, gdyż żyłem tylko oczekiwaniem tej wieczornej godziny, wynagradzającej mi sownie to kilkunastogodzinne oczekiwanie. Cyganka, która zaraz od pierwszego dnia wiedziała o naszym spotkaniu, powściągała moją niecierpliwość i zalecając jak największą ostrożność, sama już później czuwała, aby nasze sam na sam przez nikogo zakłócone nie zostało.

Ostatniego dnia przyniosła mi śniadanie wcześniej, niż zwykle. Dostrzegłem zaraz na wstępie pewien niepokój na jej twarzy. Wyznała mi też niebawem, że grozi nam wszystkim wielkie niebezpieczeństwo. Ostrzeżono ją bowiem, iż, skutkiem denuncyacji o ukrywaniu się jakiegoś człowieka, władza miejscowa miała zrobić rewizję, a ta prawdopodobnie z nastaniem nocy nastąpi.

— My się już teraz mamy na baczności — mówiła — jeśliby im się po dniu zejść podobało, to potrafimy cię tak ukryć, że alkad*), choćby miał węch wyźli, wytropić cię nie potrafi. Ale jak noc nastanie, to już musisz umykać, bobyś zgubił i nas wszystkich i siebie. Nasz alkad to człowiek zły i mściwy; już od dawna ma do nas urazę, radby też tylko jakiś pozór uchwycić, aby nas potępić. Ale i nam nie zbywa na przebiegłości, potrafimy go też wyprowadzić w pole, że się ani spostrzeże.

Zajęła się też niezwłocznie usunięciem z mieszkania, przeze mnie zajmowanego, tego wszystkiego, coby mogło naprowadzić na domysł, że w niem ktoś przebywał.

— Senior caballero. — rzekła, kończąc uprzątanie — pojmuje zapewne, ile to starań i trudów pociągnęło jego

*) Alkad — urzędnik miejski, odpowiadający stopniowi burmistrza w innych krajach.

wyzdrowienie. O Santa Cassilda, sea lodata! Ona to, jako patronka rannych, za przyczyną modlitw naszych, opiekowała się tobą. Toż, gdy już będziesz na bezpiecznem miejscu, nie zapomnij o tej świętej i o nas, którzyśmy ci służyli.

Stara, nie wiem skąd, bo byłem goły, jak święty turecki, miała wysokie o mnie, mojem znaczeniu i majątku wyobrażenie; zdawało jej się, że zaraz za Pyrenejami rozciąga się moje królestwo. Zapewniłem ją też, że jej usług nie zapomnę, i jeżeli mi Bóg tylko da zdrowie i szczęśliwy powrót do domu, to może liczyć na hojną moją wdzięczność.

Chodziło już teraz nie o to, czy uciekać, ale dokąd uciekać. Poddać się władzy było rzeczą nader niebezpieczną: życie człowieka jest rzeczą najwięcej lekceważoną w Hiszpanii, a cóż dopiero nieprzyjaciela. Ludność Walencji już zaraz na początku powstania dała się poznać ze swej srogości i krwiożerczych instynktów, zamordawszy kapitana Don Miguela Suavedra i wszystkich Francuzów, jacy się podówczas w tej prowincyi znajdowali. Niewątpliwie i mój los, jako jeńca, nie byłby lepszy. a w najpomyślniejszym razie odesłanoby mnie na Majorkę w niewolę wojenną, skąd najsmutniejsze i oburzające wieści o obchodzeniu się Hiszpanów z jeńcami od czasu do czasu nas dochodziły. Z narady, jaką Cyganka odbyła ze swym synem kontrabandzista, wypadło, że ucieczka w kierunku Saragossy jest niemożliwa, gdyż po ustąpieniu wojsk francuskich wszystkie przejścia zajęły liczne oddziały powstańcze Villa-Campy. O wiele więcej szansy przedstawiała droga w kierunku Madrytu; Pedro, kontrabandzista, miał mi służyć w mej ucieczce za przewodnika.

Skoro się tylko zmierzchno dostatecznie, wcześniej,

niż dni poprzednich, wyprawiła mnie Cyganka do wiadomej altany, gdzie miałem oczekiwać jej przybycia. Przebrany byłem na drogę w zwykły kostyum mieszkańców miejscowych, z nożem andaluzyjskim za pasem, w alpargatach, zastępujących obuwie, jako najdogodniejszych w podróży po górach, i z ciemną mantą, to jest płaszczem, nieodłączną częścią ubioru każdego Hiszpana. Nawet włosy miałem uczernione, chociaż typ mojej twarzy nie bardzo licował z typem ludów półwyspu Iberyjskiego.

W altanie zastałem czekającą już na mnie Manuełę. Pomimo zmroku, widziałem, że często podnosiła białą chusteczkę do oczu, by obetrzeć łzy, obficie się do nich cisnące. Smutne było to nasze rozstanie. Z początku nie umieliśmy nawet słowa do siebie przemówić. Chwila była uroczysta, należało z niej śpiesznie korzystać, dotąd bowiem tak byliśmy wyłącznie sobą tylko zajęci, że aniśmy pomyśleli o przyszłości; zdawało nam się, że ten stan błogi, w jakim zostawaliśmy, nigdy się nie skończy. O miłości między nami mowy nie było, chociaż czuliśmy, że ona całą naszą istnością owładnęła. Dotąd, jakaś wzajemna nieśmiałość zatrzymywała ten wyraz na ustach, który się gwałtem z piersi nam wyrывał. Obecna chwila, w której z gorączkową niespokojnością oglądaliśmy się ciągle, czy Cyganka nie nadchodzi, aby wyrzec to fatalne słowo: „uciekaj“, nie była porą odpowiednią do wyznań miłosnych. Byliśmy oboje aż nadto pewni siebie; chodziło tylko o to, co nadal postanowić.

Po zagajeniu kilku projektów i krótkiej dyskusji, stanęło na tem, że zbliżenie się nasze, wynik tak nadzwyczajnych zdarzeń, rozbudzonych uczuć i zwierzeń ponętnych, nie może się tak rozwiać, jak zwyczajna obojętna jakaś znajomość; że sympatyczny węzeł, którym Opatrz-

ność połączyła nasze istoty, powinien i nadal nas łączyć. Ponieważ miałem zamiar udać się do Madrytu, uradziłszy zatem, że, gdy stanę na miejscu, zgłoszę się natychmiast do jednej z koleżanek klasztornych Manueli, jej serdecznej przyjaciółki, starszej od niej i od kilku lat już zamężnej; za jej to pośrednictwem mieliśmy się ze sobą porozumiewać. Adres tej przyjaciółki, aby na wszelki wypadek nikogo nie skompromitować, powtórzyła mi kilkakrotnie, bym go dobrze w pamięci mej zachował.

Mając pozostać w Madrycie, miałem się skomunikować listownie z moją matką i podać do uwolnienia ze służby, z powodu odniesionych ran i nadwątlonego zdrowia. W oczekiwaniu na dymisyę, na co długiego potrzeba było czasu, miałem nie opuszczać Madrytu, dokąd i Manuela przy pierwszej sposobności także przybyć miała, co jednak z powodu toczącej się wojny z niematem i przeszkodami i trudnościami było połączone. Tam dopiero się znalazłszy, wolni od wszelkiej już obawy, mieliśmy o naszej przyszłości postanowić.

Te różne kombinacye tak wyczerpały czas naszej rozmowy, żeśmy się ani spostrzegli, jak Cyganka nadbiegła, a rzekłszy tylko: „już idą“!“, chwyciła mnie za rękę, aby ze sobą uprowadzić. Ledwie miałem chwilę na pożegnanie. Uścisnąłem rękę Manueli, na co mi ona również uściskiem odpowiedziała, ale jakimś konwulsyjnym. Wyrwałem moją rękę z tego uścisku i, nie rzekłszy ani słowa, szybko iść zacząłem za Cyganką, przodem postępującą. Wtem usłyszałem poza sobą głos Manueli:

— Pablo! mój drogi Pablo!

Odwrociłem się i ujrzałem ją, stojącą z wyciągniętymi ku mnie ramionami. W jednej chwili była w mojem objęciu. Ja cisnąłem ją do mojego serca, ona tuliła się

do mnie, a objawszy rączkami swemi moją szyję, okrywała mi twarz gorącymi pocałunkami. Usta nasze zbliżyły się i zlały w najrozkoszniejszym pocałunku.

— Pablo! — wyszeptwała z cicha — ja ciebie nie puszcze, nie! ty mnie nie porzucisz... ty ze mną zostaniesz...

I znowu usta nasze spotkały się i stopiły w jeden nieskończony pocałunek.

Byłem w tem usposobieniu, że byłbym na wszystko przystał, gotów poświęcić całą przyszłość, a nawet i życie, za jedną taką pieśczętę Manueli — i nie wiem, jak długoby to trwało, gdyby nie Cyganka, która, stojąc na boku i patrząc na nas przez chwilę, podniósłszy z ziemi upuszczoną przeze mnie mantę, nie była wyrzekła stanowczym głosem:

— Wam, moi państwo, wolno się gubić, jeżeli chcecie, ale nie wolno wam pociągać za sobą w otchłań zguby nas biednych ludzi, którzyśmy się dla was poświęcili. Już niema i chwili do stracenia.

I, nie czekając odpowiedzi, rozdzieliła nas gwałtownie, a uchwyciwszy mnie za rękę, z siłą, jakiej w niej nie przypuszczałem, pociągnęła szybko za sobą.

Opór był niemożliwy. Ciągnięty przez Cyganke, raz tylko mogłem się obejrzeć za siebie. Ujrzałem Manuele, na tem samem miejscu stojącą, z chustką białą do oczu przyłożoną. Wnet znikło wszystko w mroku i wkrótce znalazłem się u furtki w murze ogrodowym, którą Cyganka otworzywszy i zarzuciwszy na mnie mantę, wypchnęła mnie na wąską drożynę, ciągnącą się pomiędzy murami ogrodowymi. Rzekłszy tylko: „na prawo“, furtkę za sobą zatrzasnęła. Zostałem sam jeden wśród ciemności i rad nie rad poszedłem w kierunku, jaki mi wskazała Cyganka.

IV.

Zaledwie uszedłem paręset kroków, ujrzałem w zmroku siedzącego przy drodze człowieka, który za zbliżeniem się mojem powstał i podszedł ku mnie.

— A donde va este camino?*) — zapytałem.

— Alla feliz viage**) — była odpowiedź.

— Donde estad?***)

— Jo soy Diego arriero, servitor de usted.****).

Był to więc mój przewodnik, który, aby mi ulżyć, wziął na swoje plecy moją mantę.

Okolica była górzysta, gęsto zaroślami pokryta, noc wprawdzie niezupełnie ciemna, ale w pewnem oddaleniu z trudnością ledwie można było rozeznawać przedmioty. Szliśmy dosyć szybko w kierunku zachodnim. Na jaśniejącem tle nieba wzgórza się tylko przed nami w różnych czarnych konturach rysowały.

Gdyśmy uszli tak w milczeniu z ćwierć mili, mój przewodnik dał mi znak, aby iść tuż za nim. Zeszliśmy z drogi na wązką ścieżkę pomiędzy zarośla, wśród których idąc czas pewien, to spuszczać się na dół, to znowu pnać do góry, zatrzymaliśmy się na pewnej wyniosłości. Przewodnik mnie spytał:

— Senior caballero, czy nie jesteś zmęczony?

— Tak, trochę; ale mogę jeszcze iść dalej.

— To trzeba, żebyś tu odpoczął. Widzę, że jesteś jeszcze słaby. Trzeba sił oszczędzać, żeby na dalszą podróż wystarczyły.

— A czy daleką mamy podróż przed sobą?

*) Dokąd prowadzi ta droga? **) Do szczęśliwej podróży.
) Skąd wy? *) Jestem mulnik Diego, na wasze usługi.

— Nie wiem, senior. Kto nie idzie prostą drogą, a tylko bocznymi manowcami, kto musi się kierować w tę lub ową stronę, oglądając się wciąż, czy gdzie zasadzki niema, ten nie może powiedzieć naprzód, dokąd zajdzie i kiedy zajdzie. Wygodniej byłoby nam jechać na mulach; po tych jednak ścieżkach, któremi was poprowadzę, mul nie pójdzie; drogą zaś jechać niepodobna, gdyż na wszystkie strony kręcą się guerille*), a spotkanie z nimi to rzecz niebezpieczna.

— A za jakie trzy dni będziemy się mogli dostać na miejsce bezpieczne?

— Ja też tak z początku sobie obrachowałem, ale, widząc wasz chód powolny, caballero, nie wiem, czy i dwa razy tyle czasu na podróż nam wystarczy. Muszę teraz cały plan pierwotny zmienić. Wy potrzebujecie wygody, wypoczynku, a nie radbym, żebyście kiedy o mnie powiedzieli, że nie miałem dosyć o was starania.

Nie mogłem się dobrze przypatrzeć rysom mego przewodnika, bo było ciemno, widziałem tylko, że chłop tęgi i barczysty, że w potrzebie mógłby nawet wziąć mnie na plecy i ze mną umykać.

Diego, jak się z dalszej dowiedziałem rozmowy, był Getanos**), którego głównem, niemal jedynem rzemiosłem była kontrabanda.

Przez pięć dni następnych odbywaliśmy podróż, wypoczywając co jakiś czas w kryjówkach leśnych, lub pod dachem bezpiecznych domów. Wychodziliśmy, kiedy się już noc robiła, idąc po największej części krajem górzystym, ścieżkami tylko kontrabandzistom i bandytom znanymi. Nie spotykaliśmy po drodze prawie nikogo,

*) Bandy powstańców. **) Cygan.

a jeżeli czasem trafiła się jaka ludzka postać, to, pozdrowiwszy się tylko wzajemnie, każdy szedł dalej w swoją drogę.

Z piątego noclegu wyruszyliśmy dosyć wcześnie, a jak mnie Diego zapewniał, miał to być już nasz etap ostatni, gdyż wchodziliśmy w granice zajęte posterunkami francuskimi. Szliśmy może godzinę krajem płaskim. Noc była więcej ciemna, niż poprzedzające, gdyż niebo chmurami było obłożone. Przed nami wznosiły się góry, a właściwie płaskowzgórza, bo one stanowią cały środek Hiszpanii. Widzi się góry, nieraz znacznej wysokości, poszczerbione wąwozami i dolinami, wchodzi się na nie i przed okiem naraz rozwija się płaszczyna. Otóż dochodziliśmy właśnie do takiego gór łańcucha, gdy, wszedłszy na szerszą drogę, aby znów gdzie dalej rzucić się na bok, obskoczeni zostaliśmy przez kilku zbrojnych ludzi, którzy nas zapytali o hasło.

— Jesteśmy podróżni — odpowiedział Diego.

— Nie znacie hasła — rzekł jeden, który wyglądał na starszego — muszę więc was aresztować; odprowadzeni zostaniecie do głównej kwatery.

Diego zaczął się sprzeczać z nimi, uniewinniać, ale mu odpowiedziano, że taki jest rozkaz; jak się wytłumaczymy przed dowódcą, to będziemy puszczeni, a tymczasem musimy iść, dokąd nam każą. Nie było co robić: trzeba się było poddać sile przemagającej.

Ów starszy, oddzieliwszy trzech ludzi do komendy, poprowadził nas pod tą eskortą. Uszliśmy może z paręset kroków, gdy nam się ukazał dom obszerny u stóp góry położonej. Była to *venta*,*) przy drodze stojąca. W o-

*) Karczma.

knach świeciło się, a dokoła ruch i gwar panował, gdyż ciągle to jedni wchodzili, to drudzy wychodzili. Dowiedzieliśmy się od konwojujących, że tu się zbiera guerilla, która ma wyruszyć na nieprzyjaciela. Wprowadzono nas do izby.

W izbie stół stał na środku, a na ławach w różnych pozach siedziało kilkunastu powstańców. Atmosfera izby napełniona była dymem tytoniu. Kilku drzemało. Inni rozmawiali i winem się raczyli. Zdaje się, na jadle i napoju im nie zbywało. Świeca jedna łożowa, stojąca na stole, oświecała słabo całą tę grupę i obszerną dosyć izbę. Siedzący na końcu stołu, o rysach twarzy grubych, odpychających i niekczemnym napiętnowanym wyrazem, opowiadał najbliższej koło niego zebranym jakieś interesujące zdarzenie, którego wszyscy z wielką uwagą słuchali.

Ci, co nas przyprowadzili, zwrócili się do owego narratora, widocznie starszego, przedstawiając nas areštowanych.

— Co wy za jedni? — zapytał ochryłym głosem.

Diego, stosownie do naszej umowy, odpowiedział za mnie i za siebie.

— A cóż to, twój towarzysz jest niemy, że nie odpowiada?

— Nie, ale jest ciężko ranny i mówić nie może — odparł Diego.

— A macie paszporty?

Diego wydobyl z zanadarza paszport i podał pytającemu. Ów starszy rozpatrywał go dosyć długo, przybliżywszy do świecy, ale widać nie biegły był w piśmie; chcąc jednak okazać swoją ważność, zapytał:

— To jeden paszport, a gdzie jest drugi?

Diego objaśnił, że w tym paszporcie obydwaj jesteście pomieszczeni.

— A dokąd wy idziecie?

— Do Cuenzy.

— A toście się wybrali! W Cuenzy jest więcej Francuzów, aniżeli mieszkańców.

— Nie wiedzieliśmy o tem — rzekł Diego.

— To cóż myślicie teraz przedsięwziąć?

— Jeśli wasza wysokość pozwoli, to powrócimy do domu.

— Nie można! Za chwilę przybędzie tu naczelnik oddziału, to niech on co do was postanowi; ale — zwracając się do Diega — wątpię — rzekł — czy on ciebie puści. Taki chłop tęgi i silny, to właśnie dla naszego oddziału doskonały nabytek.

— Dlaczegoż nie! — odparł Diego. — Niech tylko odprowadzę mego towarzysza, którego bez opieki pozostawić nie mogę, to sam pośpieszę, aby się z wami połączyć.

— To już nie moja głowa — rzekł starszy i wskazał nam wolną ławę pod ścianą, jakby dając do zrozumienia, że możemy spocząć. Paszport jednak przy sobie zatrzymał.

Wkrótce zrobiło się gwaro około wenty; znać było, że oddział nadciągnął. Niebawem wszedł do izby naczelnik ze swoim adjutantem czy też sekretarzem, a za nim wtoczyła się cała gromada powstańców, tak, że izba niemal się szczelnie zapełniła. Spojrzawszy na te figury, struchlałem, poznawszy w adjutancie naczelnika owego mnicha, z którym byłem kiedyś pod Saragossą areztowany. Chociaż teraz miał ubiór wieśniaczy, nawet bardzo staranny, rysy twarzy i ten wzrok, z którego zdawało się, że miota błyskawice, pozostały nie zmienione

i zmuszały mnie wierzyć, że się nie omylił. Sam naczelnik był to człowiek około trzydziestoletni, średniego wzrostu, rysów twarzy dosyć łagodnych; służył przedtem prawdopodobnie w sądownictwie i wyglądał na jurystę: może był prokuratorem, zanim szablę przypasał i przez juntę miejscową dowódcą został nominowany. Obadwaj, dowódca i adjutant, mieli pióra u kapeluszy, ciemne płaszcze i pistolety za pasem.

Skoro weszli przywódcy, starszy odmeldował im zaraz, że w czasie nocy warta zatrzymała dwóch jakichś ludzi, którzy hasła nie znali, a których paszport składa do rąk adjutanta.

— Gdzie oni są? — zapytał adjutant, rozpatrując paszport przy świecy.

— Oto jest jeden — rzekł, przedstawiając Diega. Adjutant zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy.

— A gdzie jest drugi? — zapytał.

— Mój towarzysz — rzekł Diego — jest ciężko ranny i bardzo osłabiony, spoczywa tam na lawie.

I ręką wskazał miejsce, w którym się znajdowałem.

— Niech się tu stawi przede mnie — rzekł adjutant.

W tej chwili tchu mi w piersiach zabrakło, ale nie było co robić. Rozkaz był wyraźny, trzeba go było wypełnić. Podniosłem się z ciężkością i wolnym, chwiejnym krokiem stanąłem przed panem adjutantem.

Spojrzał mi bystro w oczy, następnie na paszport, jakby porównyując mój rysopis z moją fizyonomią. Znowu potem długo się we mnie wpatrywał, a uśmiech ironiczny przebiegł mu po twarzy. Czulem, że mnie poznał.

— Ktoś ty taki? — zapytał.

Wybełkotałem cicho i niewyraźnie moje przybrałe nazwisko.

— Cóż to, czy mówić nie umiesz?

Diego chciał za mnie odpowiedzieć.

— Milczeć! — krzyknął adjutant, a skry z oczu mu się posypały. — Będziesz odpowiadał, jak cię pytać będą — i zwrócił się znów do mnie z poprzedniem zapytaniem.

Cichym więc głosem powiedziałem w kilku wyrazach moje przybrane nazwisko, stan i cel podróży, stosownie do tego, jak się z Diegiem umówiliśmy, dodawszy w końcu, że, mając piersi przestrelone i płuca nadwężone, ani głośniej, ani dłużej mówić nie mogę.

Zwrócił się potem z pytaniami do Diega, który z całą bezczelnością i przytomnością opowiadał, że się nazywa Juan Poroz, a ja jestem jego krewnym; że w bitwie, którą nie pamiętam jak nazwał, zostałem raniony; dalej, jak się do niego dostałem; że mam rodziców w Madrycie, dobrych katolików i patriotów, którzy, dowiedzaiwszy się o wypadku syna, usilnie zapragnęli go widzieć, że on, Juan Poroz, postanowił mnie odprowadzić do Cuenzy, a stamtąd dalej wyprawić.

Adjutant całego tego opowiadania wysłuchał cierpliwie. W końcu zaśmiał się, ale tym śmiechem szatańskim i dodał:

— Historia zręcznie ułożona. Kto inny możeby w nią uwierzył, ale ja wam stanowczo powiadam, że to wszystko, coście zeznali, jest bezczelnem kłamstwem. Paszport jest podrobiony. Ty — zwracając się do Diega — nie nazywałeś się wcale Juan Poroz, ale jesteś Cygan, oszust, złodziej, który już oddawna na postronku zasłużył; a twój towarzysz nie jest wcale Hiszpan, ani się nazywa Moreno, ale jest poprostu przebrany oficerem francuskim.

Diego zbladł, ale, nie tracąc przytomności, chciał się jeszcze z zarzutów tłómaczyć, gdy wtem przecisnął się do niego jeden z bandy i, patrząc mu w oczy, zawołał:

— A! toć my przecież starzy znajomi. Tyś, kochan-

ku, nie Juan Poroz, ale Diego Sanz, najpierwszy i naj-sławniejszy kontrabandzista w całym królestwie Walencji.

Diego zamilkł, a szmer podziwienia rozległ się pomiędzy słuchaczami, którzy od początku tej indagacji tłumnie ku nam podstąpili. Słowa adjutanta podniosły go naraz wysoko w opinii słuchaczy, dając pochlebne wyobrażenie o jego zdolnościach i inteligencji, zaraz też odezwały się głosy w gromadzie:

— Aha! to szpiegi francuskie! potrafimy się zaba-wić z nimi.

Adjutant kazał poddać nas ścisłej rewizji. Starszy, jako w tem najbieglejszy, z kilku przybranymi ludźmi, czynnie i *con amore* zajął się rewizją, ale, pomimo naj-troskliwszych poszukiwań, nic nie znaleziono, bo nie mieliśmy. Odebrano nam tylko nasze noże katalońskie; w kieszeni Diega znaleziono parę realów drobną monetą, mnie zaś zabrano mój czarny woreczek z medalionem Matki Boskiej Częstochowskiej i pierścieniem Manueli, które miałem zawieszane na szyi. Starszy chciał nawet podwijać bandaże, owijające moje piersi, ale, że moja rana na piersiach, niedostatecznie wygojona, znowu się od trudów podróży otworzyła i krew się sączyć zaczęła, adjutant polecił nie ruszać bandaży.

Naczelnik bandy przy całej tej czynności dosyć się biernie zachowywał. Po skończonej rewizji adjutant zwrócił się do naczelnika:

— Don Jaime—rzekł—co każesz z więźniami uczynić?

— A cóż — rzekł naczelnik — trzeba z nich przeprowadzić śledztwo i spisać protokół.

Te słowa nie podobały się widocznie zgromadzonej bandzie, której instynkt krwiożerczy chciał się jak naj-

prędej zadowolić zadaniem nam śmierci pełnej męczarni; jeden więc z tłumu zawołał:

— A to na co?... My tu przecież nie przyszliśmy, aby się bawić w gryzdaninę, lecz, aby się bić i mordować wrogów. Dowiedziona jest już rzeczą, że to są szpiegi nieprzyjacielskie, więc czego tu zwlekać?... Zamordować i basta!... O dwu wrogów będzie mniej.

— Matar! matar!*) — ryknął tłum cały, podnosząc noże do góry.

Naczelnik chciał zrobić im jakąś uwagę, ale zagłuszony został okrzykiem tych kilkudziesięciu rozbestwionych ludzi, którzy, zepchnąwszy go na bok, powtarzali tylko ten straszny wyraz: matar! matar! posuwając się z nożami ku nam, by nas zamordować.

W tej chwili zerwał się z miejsca adjutant, posunął naprzód, aby nas zasłonić, wyrwał pistolety z za pasa i, mierząc do najbliższych, zawołał głosem piorunującym, a z oczu jego sypały się błyskawice:

— Stać!... bo na rany Pana Naszego Jezusa przysięgam, że pierwszy, który się posunie, w łeb z mej ręki dostanie.

Naczelnik poszedł też natychmiast za przykładem adjutanta, stanąwszy obok niego z pistoletami. Tłum się zatrzymał, nie tyle może z obawy czterech luf, przeciw sobie wymierzonych, ile uznając tę siłę moralną, jaką adjutant bystrością swej inteligencji dał się poznać zgromadzeniu. Adjutant rzeczywiście w tej chwili był wzniosłym, i nie jego przełożony, ale on wydał się rzeczywistym przywódcą quadrilli.

— Co znaczy to nieposłuszeństwo! — wołał z wzra-

*) Zamordować! zamordować!

stającym zapalem. — Najwyższa junta mianowała naczelnika, wyście przysięgli we wszystkim być mu posłuszni, a nie słuchacie go; bez tego nie może być zbawienia ojczyzny. Naczelnik polecił spisanie protokołu z więźniów, i protokół musi być spisany. Nie chodzi tu bowiem o prostą formalność, ale o cel donioślejszy, który powinniście rozumieć. Ci dwaj więźniowie zasłużonej nie ujdą kary, ale, pozbawiając ich tak dorywczo życia, jest to jedyny sposób osłonić bezkarnością innych, daleko ważniejszych winowajców. Porzuciliśmy wszystko: domy, rodziny, najdroższe stosunki, niesiemy życie nasze w ofierze, narażamy się na tysiące trudów i niebezpieczeństw, byle tylko ocalić wiarę naszą świętą, byle się pozbyć wroga, który pragnie nas ujarzmić w swoje pęta. I na cóż się przydadzą te wszystkie wysilenia, jeśli między nami, i to w sferach najwyższych i najmożliwszych, znajdować się będą odrodni Hiszpanie, którzy, zamiast się łączyć z nami w jednym celu, sprzyjać będą i pomagać — komu? — oto wrogom naszego kraju. Jeśli tych potrafimy wykryć i ukarać, to wtedy dopiero zasłużymy się należycie ojczyźnie. Właśnie teraz nadarza się tu do tego sposobna chwila. Oto znalazł się jakiś przeniwierczy alkad, który podejrzanym ludziom wydaje podrobione paszporty; oto z zeznań tych więźniów musimy się dowiedzieć, jaka to można ręka kieruje tą sprawą, boć przecie niepodobna przypuścić, aby jakiś tam Cygan, kontrabandzista, podjął się przeprowadzenia oficera francuskiego, narażając się na największe niebezpieczeństwo, bez otrzymania za to sowitej nagrody. Więc rozumiecie teraz, że śledztwo i protokół są konieczne.

Przychylna akłamacja całej bandy była niejako odpowiedzią na te słowa adjutanta. Rozpoczęło się śledztwo.

Jeden z bandy, który pełnił obowiązek trzymającego

pióro, dobył z teczki papier i zasiadł do spisywania protokółu.

Adjutant polecił związać Diega. Znalazł się natychmiast jakiś postronek, którym związano mu w tył ręce. Tą czynnością zajął się starszy, poczem pod eskortą czterech ludzi wyprowadzono go z wenty, aby nie był obecny mojej indagacyi. Po wyprowadzeniu Diega adjutant zwrócił się do mnie:

— Nie mamy czasu w długie się zapuszczać wywody, prosimy więc pana krótko, treściwie i rzetelnie odpowiadać na zadane sobie pytania. Jakie jest imię pańskie, nazwisko i stopień wojskowy?

Odpowiedziałem, a odpowiedź moją zaciągnięto zaraz do protokółu.

— Jakim sposobem pan się tu znalazłeś?

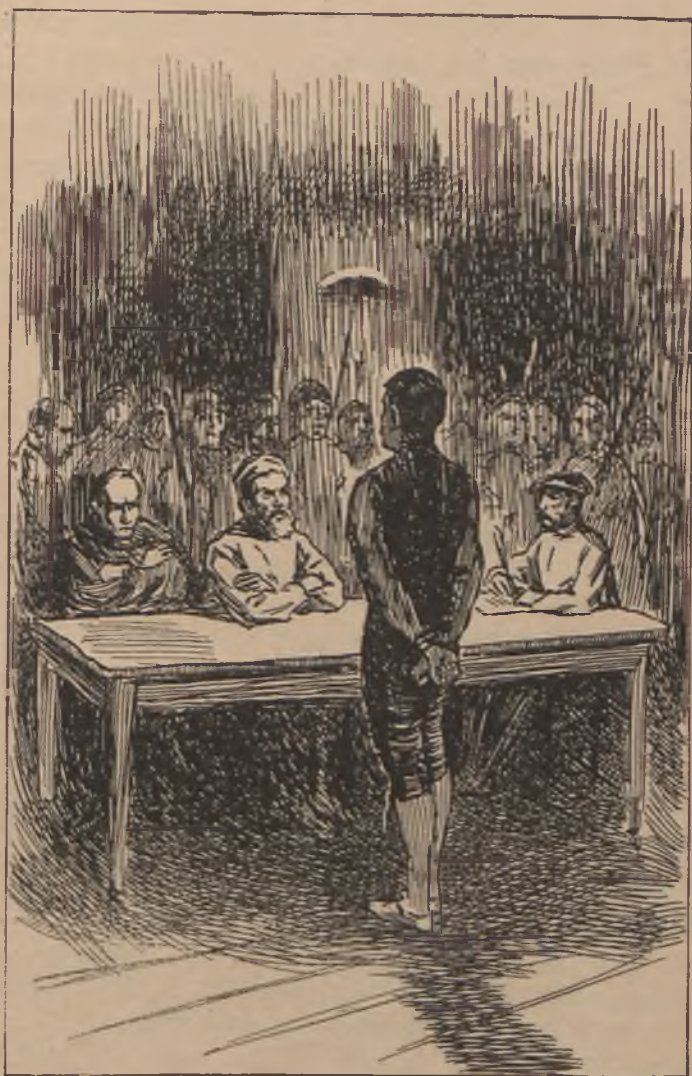
Opowiedziałem w krótkości, w jakim spotkaniu byłem ranny. Ponieważ straciłem przytomność, nie wiem, komu zawdzięczam zabranie mnie rannego z pola bitwy, ale zdaje mi się, że pomocy lekarskiej udzielił mi oddział Villa-Campy, który, jako ciężko rannego i nie przedstawiającego widoków życia, pozostawił mnie na miejscu, w domu jakiejś ubogiej kobiety. Przyszedszy o tyle do zdrowia, że mogłem się podnieść, by znaleźć dla siebie skuteczniejszą pomoc lekarską i uniknąć niewoli, puściłem się w drogę ku Madrytowi.

— Jakim sposobem poznałeś się z Diegiem?

— Spotkałem się z nim w drodze. Pieniądzy mu nie dałem, bom ich nie miał, ale obiecałem mu znaczne wynagrodzenie, jeżeli mnie szczęśliwie do Madrytu doprowadzi.

— A jakim sposobem dostałeś paszport?

— O tem nie wiem, bo to już było rzeczą Diega.



Po wyprowadzeniu Diega adjutant zwrócił się do mnie.

— Czy pan dajesz słowo honoru oficerskie, że wszystko, coś zeznał, jest prawdą?

— Na prawdziwość tego, com zeznał, mógłbym dać słowo honoru, ale go nie daję, bo jestem więźniem, a udzielenie go nic mi w mojem położeniu nie pomoże.

— A jeżeli na dowiedzenie się tego, coś pan przemilczał, użyjemy środków zmuszających?

— Odwołam się do pańskiego charakteru i do przypomnienia obejścia, jakiegoś pan doznał ode mnie w Saragossie.

— A jeżeli to nie będzie uwzględnione?

— To oświadczam, że żadne męki nie potrafią ze mnie wydobyć tego, czego powiedzieć nie mogę. Na wszystko jestem przygotowany.

— My jednakże prawdy dojdziemy — rzekł adjutant i z naczelnikiem krótką odbył pocichu konferencyę, po której zapytał mnie jeszcze:

— A wiesz pan, jaka jest kara na jeńców wojennych, uciekających z niewoli?

— Właściwie jeńcem wojennym dotąd nie byłem, ale chciałem uniknąć niewoli i korzystałem z prawa, jakie służy każdemu człowiekowi w celu odzyskania wolności.

Adjutant oświadczył, że moje śledztwo zawiesza się, i kazał wprowadzić Diega. Ja zaś poprosiłem, aby mi zwrócono mój woreczek z medalionem i pierścionkiem, który leżał na stole przed piszącym protokół.

— To panu potrzebne nie będzie — rzekł adjutant.

— To są najdroższe moje pamiątki — odpowiedziałem — radbym je przy sobie do zgonu zachować. Co się z nimi stanie po mojej śmierci, to już mnie nie obchodzi.

Adjutant oddał mi woreczek i wskazał miejsce w kącie wenty najciemniejsze, abym się nie mógł z Diegiem wzrokiem porozumiewać. Po tem, co zaszło, przewidując,

że chwila mojej śmierci już niedaleka, przycisnąwszy do ust mój medalion z Matką Boską i pierścioneczek, pomyślałem ze smutkiem o mojej biednej matce i o Manueli. Chciałem się też jeszcze i pomodlić, ale jakoś nie mogłem, a tylko zaledwie zdołałem westchnąć gorąco do Boga.

Wprowadzono właśnie Diega, podtrzymywanego przez tych, co przy nim straż trzymali. Stawiono go przy stole, przed prowadzącym protokół. Niespokojnem okiem rzucił naokół siebie, jakby mnie szukając, ale mnie w moim ciemnym kącie nie dostrzegł. Adjutant wystąpił z przemową do niego:

— Czyn twój jest godzien najsurowszej kary. Już za to samo, że się trudnisz kontrabandą, galeryby cię nie minęły, a cóż dopiero za zdradę kraju, za czynną pomoc, udzieloną nieprzyjaciolom ojczyzny. Najmniejsza kara, jaka cię spotkać może, to kara śmierci. W twojej jednak mocy jest jeszcze uratowanie sobie życia, jeżeli tu szczerze i otwarcie wyznasz wszystko, o co będziesz zapytywany.

Rozpoczęła się indagacya. Nie będę szczegółowo wchodził we wszystkie jej szczegóły, dość, gdy powiem, że Diego w swoim tłumaczeniu nie różnił się prawie od mojego, ale przyznać trzeba, że, chociaż zręcznie się wywijał, trafił na zręczniejszego od siebie indagatora. Na zapytanie: gdzie mnie poznał — stanowczo oświadczył, że mnie nie znał wcale i nigdy w życiu nie widział przedtem, a dopiero poznał, spotkawszy na drodze; na poparcie swego twierdzenia gotów przysiąc na Ewangelię, a nawet na fuzyę odwiedzoną.

— Tak — rzekł ironicznie adjutant — tylkoś tego nie dodał, że naprzód wiedziałeś, kogo spotkasz.

Diego nic nie odpowiedział.

— A teraz — spytał adjutant — co cię skłoniło być przewodnikiem oficerowi francuskiemu?

— Prosta litość. Widząc człowieka chorego i cierpiącego, nie mogłem mu odmówić pomocy.

Ta odpowiedź wywołała wybuch śmiechu w całym zgromadzeniu. Gdy nie przyjęto tego tłumaczenia, Diego powiedział, że został hojnie przeze mnie wynagrodzony.

— To kłamstwo — odparł adjutant — oficer nie miał przy sobie pieniędzy, a gdyby je nawet posiadał, to ty, mając przewagę nad nim i zdrowia i siły, byłbyś go prędzej ograbił i zamordował, aniżeli dał się nakłonić do usług, z tylu trudnościami i niebezpieczeństwymi połączo-nych.

— Ja też nie powiadam — rzekł Diego — żeby mi oficer dał pieniądze, ale obiecał mnie hojnie wynagrodzić za przybyciem do Madrytu.

— Nowe kłamstwo! Ludzie tobie podobni obietnicom nie wierzą, chyba takim, które nie podlegają żadnej wątpliwości. Obietnice oficera, choćby najświetniejsze, na żadnej pewności nie mogły być oparte.

— A jednakże im uwierzyłem — rzekł wzdychając Diego.

— Dostyc tych bredni — rzekł adjutant. — Takim tłumaczeniem to sobie szkodzisz tylko, a nie pomagasz. A powiedz-no mi teraz, jakim sposobem otrzymałeś paszport?

Diego wymienił jakąś osobistość, która najprawdopodobniej nigdy nie istniała. Sprawdzenie tej okoliczności, jak i całej naszej podróży, w której cytował różne miejscowości i osoby, któreśmy niby spotykać mieli, było niepodobieństwem.

— Kłamstwo, kłamstwo i kłamstwo! — krzyknął zniecierpliwiony adjutant. — Ja ci teraz powiem, jak było.

Wysokiem wynagrodzeniem, a raczej jego obietnicą, którą ci uczyniła osoba zamożna, dobrze ci znajoma i pewna dotrzymania obietnicy, skłoniony zostałeś, jako znający wszystkie najtajniejsze gór przesmyki, do przeprowadzenia oficera francuskiego. Ta sama osoba dostarczyła ci paszport i wskazała, gdzie znajdziesz tego, którego poleceno ci przeprowadzić.

Diego oniemiał.

— Teraz—mówił dalej adjutant — życie twoje wisi tylko na włosku; możesz je tylko ocalić, jeśli wymienisz osobę, która cię do tej czynności namówiła.

Była chwila, w której Diego się zawahał, co ma odpowiedzieć, a ja zadrżałem z obawy o Manuełę. Ale kontrabandzista wreszcie wyrzekł stanowczo:

— Wszystko, com tu zeznał, jest prawdą i nic nie mam więcej do dodania.

— Kiedy tak, to znajdziemy pewniejszy sposób wydobycia z ciebie prawdy. Bezczelność tego człowieka — rzekł, zwracając się do naczelnika — upoważnia nas do poddania go torturze.

Ale jakich tu środków użyć w takiej wencie, kiedy nic pod ręką nie było? Zgromadzeni podawali różne sposoby; najważniejszy jednak głos miał starszy, który, obeznany z indagacyami Ś-go Officium, oświadczył, że do wybadania prawdy trzy są niezawodne sposoby, t. j. sznur, woda i ogień. W braku potrzebnych przyrządów najłatwiej da się zastosować woda, a chociaż i tej tu niema, to ją można zastąpić winem. Naczelnicy zgodzili się na tę próbę.

Powalono zaraz na ziemię Diega; dwóch mu usiadło na nogach, a dwóch drugich trzymało przy ziemi za bary. Starszy zakneblował mu zęby (zdaje się, że knebel miał gotowy przy sobie), a przez rurkę ze skórzanego worka

wlewając mu wino cienkim strumieniem w otwarte usta, zawołał wesoło :

— Nie jest to wprawdzie zupełnie pro forma, ale za to po królewsku jesteś traktowany, jak jaki hidalgo. Coby to dał niejeden, gdyby go tak, zamiast wodą, winem pojono.

Trwała ta operacya czas jakiś. Gdy już Diego nie mógł łykać i prawie się dusił, adjutant kazał przestać, usta odkneblować i napowrót stawić do indagacyi. Zapowiedział przytem, że, jeśli i teraz prawdy nie wyzna, powtórnej próbie zostanie poddany.

Diego, siny, nabrzmiały, otwartymi ustami chwycił powietrze. Zapytywany, znakami pokazywał, że mówić nie może; po chwili jednak oświadczył, że wszystko wyzna, byle mu dano odetchnąć. Zadrżałem, nie już o siebie, ale o osoby, które Diego mógł skompromitować.

W tej chwili dał się słyszeć poza wentą strzał niedaleki. Uwaga wszystkich skierowała się naraz w stronę strzału. Diego, korzystając z tej sposobności, przez silne wyprężenie ramion, zerwał sznur, krępujący mu ręce; jak pantera, w jednej chwili poskoczył do stołu, zgasił świecę, a wywracając go, zawołał, nie wiem już on, czy kto inny :

— Francuzi! ratuj się, kto możesz!

Jednocześnie posypały się strzały, zabrzęczały szyby w oknie i rozległ się tętent nadbiegających koni. W izbie nastąpiła ciemność, krzyk, zgiełk, przekleństwa, przewracanie ław, słowem, zamieszanie nie do opisania. Każdy widać tłoczył się do drzwi i otworów, by się czempredzej na zewnątrz wydostać. Dokoła wenty słychać było uganianie się konnych i strzelaninę.

Po niejakiem czasie umilkło wszystko. Ja, wtuliwszy się w mój kącik, czekałem z rezygnacyą, co z tego będzie.

Nareszcie ukazał się we drzwiach wachmistrz od dragonów francuskich, który, zapaliwszy sobie świecę, wszedł z pistoletem odwiedzionym w dloni, a za nim kilku żołnierzy, uzbrojonych w pałasze i pistolety. W izbie za wywróconym stołem i pod ławami kryło się kilku powstańców. Francuzi powyciągali ich z kryjówek i zaraz powiązali. Nareszcie wachmistrz przybliżył się do mnie. Nie czekając, aż przemówi, rzekłem:

— Jestem oficerem francuskim.

— Co u diabła! — zawołał — oficer francuski w takim stroju?

— Będąc w bitwie ranny, dostałem się do niewoli. Aby się wydostać na wolność, wziąłem ubiór hiszpański, ale, pojmany przez powstańców, byłbym niewątpliwie stracił życie, gdybyście nie nadciągnęli. Wam więc, dzielni dragoni, winienem ocalenie. Zresztą jeńcy, których tu macie, mogą wszystko to poświadczyć.

— To dobrze — rzekł wachmistrz — zaraz tu przybędzie komendant, to mu się pan przedstawi.

Jakoż wkrótce przybył i komendant, dowodzący oddziałem dragonów, a z nim kilkunastu żołnierzy, prowadzących niewolników, pałaszami posiekanych i krwią broczących. Wogóle wzięto do niewoli około dwudziestu powstańców, a między nimi i starszego. Dowódca bandy, jego adjutant i Diego znikli; bliskość gór i wąwozów ułatwiła im ucieczkę. Francuzi chwalili się, że drugie tyle, co niewolnika, trupem położyli, ale to były tylko chępliwie przechwalki.

Komendant dragonów, któremu w krótkości opowiedziałem moją historję, przyjął mnie bardzo grzecznie. Opowiedział mi również, że, będąc na patrolu i mając sobie doniesione o zbieraniu się bandy powstańczej w tej wencie, podsunął się ostrożnie i wykonał napad, tak

świetnem uwieńczony powodzeniem, a tem świetniejszym, jak dodał z galanterią francuską, że potrafił oswobodzić i ocalić życie jednemu z bohaterów Saragossy.

Kiedyśmy prawili sobie nawzajem komplementy, żołnierze tymczasem gospodarowali w wencie, jak u siebie. Ograbili jeńców z pieniędzy i ze wszystkiego, co tylko przy nich znaleźli; pozabierali broń i amunicję, oraz muły, stojące w szopie przy wencie; niewolników powiązali dwójkami do siebie, a ciężej rannych opatrzyli na prędce. Zjedli następnie i wypili wszystko, co znaleźli w wencie, z nie sprzątniętych przez powstańców zapasów żywności.

Już dzień się robił, kiedy oddział, zabrawszy w środek niewolników, wyruszył w drogę. Ranny i strudzony wypadkami tej nocy, dostałem jednego ze zdobytych mułów, na którym drogę odbywałem.

Po kilku godzinach przybyliśmy do Cuenzy. Tam znajdował się dość liczny oddział francuski, wysłany z Madrytu dla przeszkadzania formowaniu się band powstańczych w tej stronie i trzymania ich zdaleka od bram stolicy.

Władza wojskowa, której zostałem przedstawiony, nie wiedziała rzeczywiście, co ze mną zrobić: czy mnie uważać jako więźnia, czy też traktować jako oficera francuskiego. Obrano więc drogę pośrednią, to jest, że pozostawiono mnie na wolnej stopie, dodawszy tylko anioła stróża, czyli jednym słowem asystę. Dla mnie było to wszystko jedno, bo byłem mocno cierpiący. Rany moje, dłuższy czas nieopatrzywane, przez trudy podróży i wzruszenia, jakie przechodziłem, a wreszcie z powodu rozpoczynających się upałów, znacznie się pogorszyły. Ambulans miejscowy nie mógł dać mi dostatecznego opatrze-

nia. Trzeba mi było koniecznie dostać się do Madrytu, dla przeprowadzenia radykalnej kuracji.

Jakoż po dniach kilku wysyłano oddział, konwojujący rannych i chorych do Madrytu; do tego konwoju i mnie przyłączono. Ponieważ między jeńcami znajdował się i starszy, prawdziwą miałem pociechę patrzeć na tego człowieka, który z owego górnego tygrysa przerobił się w potulnego baranka. Nie chciałem mu szkodzić. On to widać zmiarkował, starał się też drobnemi usługami i uniżonością zaskarbić sobie moje względy. Po kilku dniach marszu, z wielkiem mojem zadowoleniem, ukazały się nam liczne wieże i kopuły stolicy hiszpańskiej.

V.

Radość, jakiej doznałem, ujrawszy się już w Madrycie, ustąpiła wkrótce zastanowieniu, co ja teraz pocznę w mieście mi nieznanem, nie mając ani jednego znajomego, ani, jak to mówią, złamanego szeląga w kieszeni. Komentant placu, do którego mnie zaprowadzono, ledwie dał się nakłonić, by mnie rannego i potrzebującego pomocy lekarskiej odesłać do lazaretu. Ale co dalej począć, gdy z lazaretu będę uwolniony?

W chwili rozstania, jak wiadomo, Manuela udzieliła mi na wszelki wypadek adresu swych przyjaciół w Madrycie, niejakich państwa d'Avilar.

To też, jak tylko już byłem tak ubrany, że mogłem się im przyzwocie zaprezentować, niezwłocznie pośpieszyłem ich odwiedzić. Mieszkali przy ulicy Valverde, w bliskości kościoła Ś-ej Barbary, we własnym domu. Odnalazwszy z łatwością ten dom, po zameldowaniu się, poproszony zostałem przez gospodarza do saloniku, z wielką urzędzo-

nego elegancją. Zastłony u okien były zapuszczone, tak, że w salonie przyćmione tylko światło panowało. Senior Esteban d'Avilar wydał mi się człowiekiem już niemłodym, około 50-u lat liczącym, wzrostu średniego i wątłej powierzchowności. Gdyśmy zasiedli, odezwał się do mnie w te słowa:

— Przed paru właśnie dniami odebraliśmy list od naszej serdecznej przyjaciółki, donny Manueli, gorąco pana polecający. Więc, caballero, w czym tylko możemy być ci pomocni, jesteśmy na twoje rozkazy. Rozporządzaj zatem moją osobą, moim domem, moim majątkiem, oraz wszystkim, co tylko posiadam, w każdym czasie i na każdym miejscu.

Znałem o tyle zwyczaje hiszpańskie, iż wiedziałem, że podobny objaw uprzejmości jest tylko prostą i czczą formułką etykiety hiszpańskiej, w której niema nic rzetelnego, ale, pragnąc równą grzecznością na grzeczność odpowiedzieć, rzekłem:

— Senior, wysoko sobie cenię łaskę waszą, i obowiązkiem jest moim za nią jak najuprzejmiej podziękować. Ale korzystać z niej nie mogę i nie będę, albowiem, przybywszy do Madrytu, znalazłem tu moich rodaków, którzy się zajęli wszystkimi moimi potrzebami, więc żadnej pomocy nie potrzebuję; mam tylko jedną prośbę: czybym nie mógł dostać adresu donny Manueli, żebym jej choć w kilku wyrazach mógł za doznane od niej dobrodziejstwa podziękować?

— W tem pana poinformować nie potrafię. Być może, iż moja żona będzie coś więcej ode mnie w tym przedmiocie wiedziała.

Poprosił zatem żonę, która się znajdowała w przyległym pokoju, zaprezentował mnie i przedstawił jej moje

żądanie, nie spuszczać przytem oczu ani z niej, ani ze mnie.

Donna Izabella d'Avilar była młodą i piękną kobietą, nie więcej nad 20 lat liczącą. Oczy miała duże, łukami czarnych brwi nakryte; rysy twarzy były drobne, regularne; formy ciała pełne i mocno zaokrąglone, co bynajmniej nie razilo, a nawet dodawało pewnego wdzięku. Ubrana była czarno i uczesana bardzo starannie, z kwiatem granatu we włosach, który przy ich czarnym kolorze doskonale odbijał. W głosie jednak miała coś ostrego, chrapowatego, co również się i w jej twarzy malowało.

— Nie potrafię panu dać dokładnego adresu mojej przyjaciółki — rzekła — o ile jednak sądzimy z jej krótkiego listu, to ten musiał być pisany z Walencyi. Ale czy Manuela miała się dłużej w tem mieście zatrzymać, o tem nie pisze.

— Więc jakich środków użyjesz pani do skomunikowania się z donną Manuelą?

— Zapewne panu wiadomo, że wskutek wojny komunikacya pocztowa pomiędzy stolicą a miastami, nie uznającemi władzy króla Józefa II-go, całkiem nie istnieje. Otóż porozumienie się osób pokrewnych lub przyjaźnią połączonych może się tylko skutecznie przez pewne zaufane osoby, które konieczny mają interes dostać się z jednego miejsca do drugiego, a które nieraz daleko krążyć muszą, zanim się do miejsca zamierzonego dostaną. Tą drogą odebraliśmy list od Manuely, ale czy tą drogą będzie można odpowiedzieć, i kiedy, to nam w tej chwili nie wiadomo.

— A jeśli się zdarzy podobna okazyja, czy ja z niej nie mógłbym także korzystać?

— A i owszem — rzekła piękna pani — chciej pan

tylko pozostawić swój adres mojemu mężowi, a czy będziemy mieli jaką wiadomość pana interesującą od Manueli, czy też sposobność przesłania jej od nas wiadomości, to mąż mój nie omieszka pana niezwłocznie zaawiadomić.

Wyrzekłszy te słowa, skłoniła się, jakby żegnając, i wyszła do drugiego pokoju. Pozostawało mi więc tylko zostawić mój adres i pożegnać gospodarza, który z ukłonami i nowymi zapewnieniami swych usług aż do drzwi sieni mnie odprowadził.

Przyjęcie było sztywne, etykietalne, chłodne ze strony obojga małżonków. Niezmiernie byłem sobie wdzięczny, że od nich żadnej pomocy nie potrzebowałem.

Wyszedszy na ulicę, ledwie zrobiłem parę kroków, gdy twarz w twarz spotkałem się z don Enrikiem, dawno niewidzianym przyjacielem, Hiszpanem, ale stronnikiem Francji. Przywitanie było o ile może być serdeczne.

— A skądże się tu wzięłeś? — zawołał don Enrico.

— Od dwóch tygodni jestem już w Madrycie.

— Ale ja się nie pytam o Madryt. Wojskowy musi być tam, gdzie go poślą. Ale co ty robisz na tej tu ulicy, a mianowicie coś robił w domu, z którego dopiero co wyszedłeś?

— Byłem z wizytą.

— Czy nie u don Estebana d'Avilar?

— U niego samego. Czy go znasz?

— Może lepiej, niż ciebie. Ale wy skąd się znacie?

— Nie znałem go, ale miałem do niego rekomendację.

— A jego żonę poznałeś?

— Owszem, sam mi ją zaprezentował.

— A wiesz, to coś dla mnie niezrozumiałego; zaciekawileś mnie do najwyższego stopnia. Szkoda, że dłużej z tobą pozostać nie mogę, gdyż mam interes pilny, nie

cierpiący zwłoki. Ale radbym z tobą po tak długim niewidzeniu nagadać się do woli. Jeżeli więc możesz, to bądź dziś wieczorem pod „Lampartem“, na Alcalá, a będę czekał na ciebie.

Przybywszy wieczorem do kawiarni pod „Lampartem“, zastałem już tam don Enrica, który przy jednym ze stolików, w towarzystwie kilku Hiszpanów, ożywioną prowadził rozmowę. Nie chcąc mu przeszkadzać, zająłem miejsce przy bocznym stoliku, kazawszy sobie podać wody i „azucarillos“.

Ponieważ widział mnie wchodzącego, po niedługim czasie, pożegnawszy swoje towarzystwo, przysiadł się do mnie.

— Mam wolnych kilka godzin czasu — rzekł — więc będziemy mogli do woli się nagadać. Ale uważam, że jakoś źle wyglądasz. Jesteś blady i mizerny. Już mnie to dziś rano, gdym cię spotkał, uderzyło. Wyraźnie powietrze Hiszpanii ci nie służy. Czy może byłeś chory?

— Gorzej, niż chory — rzekłem — bo ciężko ranny, i jeszcze się w zupełności z ran moich nie wyleczyłem.

— A któż cię leczy? — zapytał.

— Chodzę codziennie do lazaretu wojskowego, gdzie mi rany opatrują.

— A z jakim skutkiem?

— Z nieszczególnym. Kuracya nader wolno postępuje.

— Słuchaj, don Pablo, jabym ci dał dobrą radę, byłś tylko chciał pójść za nią.

— Dlaczegożby nie, jeśli uznam ją za skuteczną.

— Wasi lekarze francuscy — mówił don Enrico — to są wogóle faufarony i nieuki; chirurgowie są lepsi, bo zręczni i śmieli, ale ty, o ile sądzić mogę, znożem

chirurgicznym zapoznawać się nie potrzebujesz; więc potrzeba ci tylko dobrego lekarza. Nie rekomenduję ci naszych, hiszpańskich, bo oni może jeszcze gorsi od francuskich. Ale chcę ci polecić Niemca, od wielu lat w Madrycie zamieszkałego, człowieka wysoko wykształconego i ciągle nad sobą pracującego, który tu wyrobił sobie, jako lekarz, wysokie w opinii mieszkańców stanowisko i ogromną ma dzisiaj klientelę.

— Ależ do takiej znakomitości — przerwałem — to niełatwo będzie można się dostać.

— Może łatwiej, niż do każdej innej. Tylko posłuchaj. Don Federico Wasserkraft więcej niż przed 25-ciu laty przybył tu jako lekarz przy jakiejś niemieckiej legacji. Po kilku latach pobytu, poznawszy pewną młodą kobietę, zakochał się, ożenił i na stałe osiadł w Madrycie. Przez połączenie się z Hiszpanką, sądził, że jego praktyka lekarska znacznie się powiększy, ale się biedak zawiódł. Dzieci z każdym rokiem przybywało, ale dochodów to nie; słowem, groziła mu najsroźsza nędza. Jakoś przed dziesięciu laty, będąc w Madrycie, ciężko zachorowałem, a że wówczas miałem już to przekonanie, że lekarz niemiecki może być więcej biegły od naszego, wezwałem do siebie don Federica, który w krótkim czasie postawił mnie na nogi. Przez wdzięczność wyrobiłem mu wstęp do kilku zamożniejszych domów stolicy, a szczęśliwe kuracye, które poprowadził, taki wyrobiły mu rozgłos, że z każdym dniem jego klientela wzrastała i dziś jest to u nas powaga lekarska pierwszego rzędu. Z powiększeniem się praktyki podniosły się i dochody, tak, że obecnie należy on do ludzi bogatych i ma bardzo piękny dom na Prado, w którym z całą swoją rodziną zamieszkuje. Otóż z tego opowiadania widzisz, jakie stosunki mnie łączą z doktorem. Jeżeli więc chcesz, to ci

napiszę do niego list polecający, a jestem pewien, że cię przyjmie jak najlepiej. Wprawdzie jest on cokolwiek dziwak, ale przytem najzaczniejszy człowiek. Pomimo, że już ćwierć wieku zamieszkuje w Hiszpanii, jeszcze się dobrze po hiszpańsku nie nauczył, mówi najfatalniej, jak się Francuzi wyrażają: „comme une vache espagnole“. Jeśli znasz język niemiecki i możesz nim mówić, to wielką zrobisz mu przyjemność.

Uściśnieniem ręki podziękowałem don Enricowi za udzieloną mi radę.

— Jutro — mówił dalej don Enrico — wieczorem tu w tem samym miejscu list ci doręczone. No, a teraz mi powiedz, coś ty robił dziś rano na ulicy Valverde?

Na to zapytanie byłem przygotowany. Opowiedziałem więc don Enricowi, że, będąc ciężko ranny w okolicach Cuenzy i w tamtejszym lazarecie wojskowym umieszczony, zanim przyszedłem o tyle do zdrowia, że mogłem być do Madrytu przeniesiony, poznałem się z pewnym don Manuelem Lopez (rzeczywiście poznałem tę osobistość, ale była to znajomość, nie mająca żadnego znaczenia), który, mając swój własny interes, dał mi list rekomendacyjny do don Estebana, z prośbą, abym osobiście go doręczył, co też skutecznilem.

— W tem niema nic nieprawdopodobnego. Jest to zresztą niezły człowiek, bogaty, nawet dosyć uczynny, może pożyczyć pieniądze, jeżeli będzie miał dostateczną gwarancję — ale żony to nawet najzaufańszym nie lubi pokazywać. Jeżeli więc ją widziałeś i to nie przypadkiem, to w tem leży jakaś tajemnica.

Na te słowa don Enrica nie wiedziałem chwilowo co odpowiedzieć.

— Słuchaj, don Pablo — rzekł, śmiejąc się — musimy się w tym przedmiocie porozumieć. Ja sam taką

mam naturę, że, jeżeli mnie kto dopytuje się o rzeczy, których nie chcę lub nie mogę powiedzieć, jak np. skąd przybywam, dokąd się udaję, co robię, długo zabawię, to mu z pewnością dam wymijającą odpowiedź. Dlatego też niczyjej tajemnicy wiedzieć nie pragnę, chyba, że mi dobrowolnie powierzona zostanie. Ale co się tyczy don Estebana i żony jego, donny Izabelli, których, o ile uważam, nie znasz, to się czuję w obowiązku niektórych ci objaśnień o nich udzielić; może ci się to na co przyda. Don Esteban jest człowiekiem bogatym. Prowadził kiedyś różne operacye finansowe bardzo pomyślnie, to też dorobił się znacznego majątku. Za życia pierwszej żony prowadził dom otwarty, ale przed trzema laty, ożeniwszy się z młodą, piękną, dorodną kobietą, którą jedynie dla jej wdzięków poślubił, zerwał z całym światem, u nikogo nie bywa i nikogo nie przyjmuje, chyba w nadzwyczajnych okolicznościach; słowem, zamknął się w swym domu, jak żółw w skorupie. Powodem tego odosobnienia, jak mówią, mają być okoliczności krajowe, to jest, że należy do owej partyi moderatów, nie chcącej się narazić ani stronnictwu patryotycznemu, ani stronnictwu francuskiemu; a prawdopodobnie i jedno i drugie sobie narazi. Ale zostawmy mu jego przekonania; rzeczywistym bowiem powodem jego odosobnienia jest starość, gdyż ma on przeszło lat 50, a żonę posiada młodą, połowy tego wieku nawet nie liczącą. Radby mieć dzieci, a tu tymczasem po trzech latach pożycia jakoś wcale się na to nie zanosi. Więc stał się chorobliwie zazdrosnym i każdego młodszego od siebie mężczyznę podejrzewa, że godzi na jego spokój małżeński. Ja sam początkowo bywałem w ich domu dość często, ale, poznawszy, co się święci, i nie chcąc biednej kobiety narażać na prześladowanie zazdrosnego męża, zerwałem

z nimi wszelkie stosunki, i tylko zdaleka kłaniamy się sobie, gdy się spotkamy przypadkiem na ulicy. Ale nieprawdaż, don Pablo, że donna Izabella to w całym znaczeniu piękna i powabna kobieta?

— Ja tego nie uważam.

— Oj! bluźnisz, bluźnisz! chybaś jej się dobrze nie przypatrzył. Ona się zalicza do niewielu najpiękniejszych kobiet w Madrycie.

— Być może, ale mnie ona nie zachwyciła.

— Słuchaj, bratku, ja to widzę z twoich oczu, że gdyby tylko na ciebie kiwnęła paluszką, a ma śliczne paluszki, toby cię na drugi koniec świata poprowadziła.

— Tego nie wiem, ale bardzo wątpię.

— Chciałem cię tylko co do stosunków i stanowiska tych osób objaśnić. Mąż jest zazdrosny do szaleństwa i nie wzdrygnie się przed żadną zbrodnią, celem pozbycia się rzeczywistego czy mniemanego swej żony kochanka. Żona, 'dręczona domowem pożyciem, możeby chętnie wybrała sobie jakiego młodego i przyjemniejszego pocieszyciela. A zatem w tych stosunkach staraj się być nadzwyczaj baczny i ostrożny.

Na drugi dzień, o godzinie umówionej, zeszliśmy się znow w kawiarni. Enrico oddał mi list do doktora, ale bawił krótko, wymawiając się bardzo pilnymi interesami. Odtąd już go ani na mieście, ani w kawiarni nie spotkałem; był to najlepszy dowód, że musiał Madryt opuścić.

Mając list do doktora, postanowiłem z niego zaraz skorzystać, następnego więc dnia już o 7-ej rano stałem się w jego mieszkaniu. Przyjął mnie zrazu zimno i szorstko, oświadczywszy z góry, że on wojskowych nie leczy, że na ten cel są lazarety wojskowe, ale, jak tylko przeczytał list don Enrica, natychmiast zmienił obejście się ze mną. Wybadał mnie szczegółowo, obej-

rzał moją ranę i zdecydował, że rana jest cokolwiek zaniedbana, ale w paru tygodniach starannej kuracyi wyleczoną być może; zauważył jednak przytem, że dotknięty jestem ważniejszą słabością, bo piersiową, która, jakkolwiek w danej chwili nie przedstawia niebezpiecznego charakteru, to jednakowoż wymaga zaraz systematycznej a przezornej kuracyi. Potrzebując mnie jeszcze dokładniej wy badać, zapowiedział mi swoją wizytę za parę dni rankiem w mojem mieszkaniu, tak, aby mnie jeszcze w łóżku mógł zastać. Nie przepisał mi żadnego lekarstwa, tylko zalecił dyetę i spokojność, dodając w końcu, że jeśli się podejmuje mojej kuracyi, to li-tylko czyniąc zadość życzeniu don, Enrica, któremu nie odmówić nie jest w stanie.

Tegoż dnia, w czasie mojej nieobecności w domu, przyniesiono karteczkę dla mnie, zawierającą tylko te słowa: „Jutro o 10-ej rano bądź w kościele Ś-go Andrzeja“.

Pismo było ręki kobiecej. Ponieważ nikogo nie znalazłem, a nie miałem tej zarozumiałości, że każda kobieta, byle tylko na mnie spojrziała, we mnie się zaraz zakocha, więc łatwo się domyślić mogłem, że to wezwanie nie od kogo innego, tylko od donny Izabelli pochodzić mogło.

Przyszły mi zaraz na myśl słowa don Enrica; w pierwszej też chwili miałem zamiar nie stawić się na wezwanie, ale rozważywszy, że to jedyny jest sposób dowiedzenia się czegoś pewniejszego o Manueli, że donna Izabella, unikając niesłusznych podejrzeń swego małżonka, tylko w ten sposób może mnie co do wielu szczegółów poinformować, postanowiłem o naznaczonej godzinie stawić się we wskazanem miejscu.

Kościół Ś-go Andrzeja położony jest w części miasta

przez biedniejszą ludność zamieszkałą wśród uliczek brudnych, krętych i wązkich, znacznie też jest oddalony od punktu, który zamieszkiwali małżonkowie d'Avilar; uważałem więc, że miejscowość dla tajemnej schadzki była dość zrecznie wybrana.

Przybywszy do owego kościółka na oznaczoną godzinę, zastałem ciche tylko nabożeństwo i niewiele słuchających go osób. Kilka kobiet klęczało na środku na rozslanych matach. Stanałem na boku przy jednym z bliższych wyjścia filarów, oczekując końca nabożeństwa. Po ukończeniu jedna z kobiet, czarno, ale bardzo starannie ubrana, w której łatwo poznałem donnę Izabellę, choć była zawoalowana szczelnie czarną jedwabną mantylą, przechodząc koło mnie, poruszeniem jej przesłała mi pozdrowienie, a wachlarzem dała lekki znak, ażebym szedł za nią. Będąc tak długi czas w Hiszpanii, znałem się już z tą manipulacją i wiedziałem, że się zbliżyć nie należy, tylko iść za osobą, która znak ten dała.

Donna Izabella szła, nie oglądając się; ja postępowałem za nią w pewnej odległości. Przeszedłszy tak kilka ulic, weszła w ciasny zaułek i zatrzymała się przed jednym domem niepokażnej powierzchowności. obejrawszy się na jedną i drugą stronę. Widząc mnie zbliżającego się, weszła do sieni; ja wszedłem za nią i znalazłem ją w końcu ciemnego korytarza, oczekującą mnie. Gdym się zbliżył, przywitała mnie uprzejmie, a rzekłszy: „Senior caballero, podaj mi rękę, będę ci przewodniczką w tych ciemnościach“, zaczęła ze mną wstępować powoli na wązkie schody, żadnym promykiem światła nieoświetcone.

Wszedłszy tak na drugie piętro, zapukała do drzwi, które się natychmiast otworzyły. Weszliśmy do ciemnego przedpokoju, z którego wprowadziła mnie do niewielkiego saloniku, oświetlonego jednym tylko oknem i do-

syć skromnie umeblowanego. Wchodząc do tego mieszkania, nie widziałem nikogo, ktoby nam drzwi otworzył, prawdopodobnie osoba je otwierająca ukryła się za drzwiami ciemnego przedpokoju i zamknęła je, gdyśmy już byli w saloniku.

Donna Izabella, odrzuciwszy z twarzy mantyle, siadła na sofie i wskazała mi miejsce obok siebie.

— Senior caballero — rzekła — muszę ci się przede wszystkim wytłómaczyć z mojego postępowania. Mam męża najzaciejszego w świecie człowieka, ale który przytem jest nadzwyczaj podejrzliwy i zazdrosny. Ponieważ tu chodzi o interes mojej najlepszej przyjaciółki, donny Manueli, a mam w tym przedmiocie dużo z panem do pomówienia, nie mogąc pana przyjąć w domu dla poufalszej z nim rozmowy, bez ściągnięcia na pana i na siebie jakiej nieprzyjemności ze strony podejrzliwego małżonka, musiałam się chwycić tego jedyne go środka, aby się z panem bliżej porozumieć.

— Ale czy seniora za bardzo się nie narażasz? — rzekłem.

— Mieszkanie, w którym jesteśmy — odpowiedziała — należy do osoby pewnej, mojej dawnej duegny, i tak jest zabezpieczone, że ani panu, ani mnie najmniejsze nie grozi niebezpieczeństwo. Ostrożności z mojej strony są ściśle zachowane, nawet kartka, którą pan odebrałeś, nie była pisana moją ręką. Wprawdzie schadzka nasza ma pozór bardzo podejrzany, ale cóż robić?... liczę na pańską dyskrecję.

To mówiąc, roześmiała się i ukazała dwa rzędy pięknych białych ząbków, regularnie osadzonych w karminowych dziąsłach. Nie były to ząbki okrągłe, perełkowane, które uśmiechowi niewieściemu tyle wdzięku dodają,

ale były to zęby dosyć duże i ostre, które robiły wrażenie, że mogą nie tylko pokaleczyć, ale nawet rozszarpać.

Ubiór donny Izabelli był czarny, ale elegancki i z pewnością kokieterią wszystkie formy ciała uwydatniający.

— Teraz — mówiła donna Izabella — przystąpmy do rzeczy. Przed rokiem miałam list od Manueli, w którym mi obszernie opisywała swą przygodę w Saragossie i o nieznanym obrońcy, który jej honor i życie ocalił, a co ważniejsza, dopomógł uratować od niechybnej niewoli największego bohatera swojego czasu, jakim był Palafox, obrońca Saragossy; dodała, że uważałyby się za najszczęśliwszą, gdyby kiedy zdarzyła się jej sposobność owemu swemu obrońcy wywdziękzyć się. W późniejszej jej korespondencji, kiedy się dostała w walencjańskie, już o tem żadnej wzmianki nie było, dopiero list ostatni, który przed niedawnym czasem otrzymaliśmy, w krótkich ale gorących wyrazach polecał nam młodego człowieka, który z jej rekomendacji w naszym domu ma się przedstawić wkrótce, a który właśnie jest owym obrońcą z Saragossy. Żałuję bardzo, że tego listu nie mogę panu pokazać, ale mąż mój go schował. Nie chciałam się o niego dopominać, żeby nie zwrócić jakiego podejrzenia, ale, jak wyżej nadmieniałam, słowa tego listu i ta okoliczność, żeś pan żadnej z naszej strony nie chciał przyjąć pomocy, a tylko pragnąłeś powziąć wiadomość o Manueli, dały mi dużo do myślenia, czy się pomiędzy wami jakie serdeczniejsze nie zawiązały stosunki. Zresztą, cóż niepodobnego? Pan jesteś młody i przystojny mężczyzna, ona piękna i pełna egzaltacji kobieta, to dla miłości gotowy materiał. Jeżeli więc chcecie, żebym się gorliwie waszym losem zajęła, to potrzebuję z najdrobniejszymi szczegółami wiedzieć wszystko, co dotąd zaszło pomiędzy wami.

Ton pewnej życzliwości i poufałości, z jakim te słowa wymówiła, skłoniły mnie, że jej całą historję z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziałem, jak również nasze na przyszłość zamiary i nadzieje, to jest zjechania się i spotkania w Madrycie, i połączenia węzłem małżeńskim.

— Ponieważ Manuela jest jeszcze tak młoda, niedoświadczona, a przytem zakochana — rzekła donna Izabella — nie więc dziwnego, że nie dostrzegła trudności, jakie w przeprowadzeniu tych zamiarów nastęrczyć się mogą. Naprzód, przybycie do Madrytu w obecnej chwili nie jest tak łatwe; osoby, które potrzebowały dostać się z Walencji do Madrytu lub odwrotnie, walczyć musiały z największemi trudnościami, a nawet niebezpieczeństwem. Ale ważniejsze jest to, że, chociaż Manuela nie ma rodziców, to ma krewnych, którzy nad nią mają opiekę. Manuela jest dziedziczką dosyć znacznego majątku; czy on w obecnym czasie przynosi jakie dochody, tego objaśnić nie umiem, ale właśnie ten majątek jest w rękę jej krewnych i ci nie będą zapewne chcieli z rąk go wypuścić. Z pewnością nawet zrobili już projekt połączenia Manuely z którym z jej bliższych lub dalszych kuzynów, aby majątek w rodzinie zachować. Gdybyś caballero był Hiszpanem, wszelkie te trudności dałyby się łatwo usunąć, ale że jesteś cudzoziemcem, a co ważniejsza, wrogiem, który z bronią w rękę walczy przeciw naszej ojczyźnie, sam możesz więc osądzić, ile tu i jak ważnych przeszkód może się znaleźć do zwalczenia.

Spostrzegłszy jednak, że ta jej przemowa przykre na mnie zrobiła wrażenie, zwróciła się więcej ku mnie i niby niechcący założyła nogę na nogę, tak że mogłem admidrować jej piękną, małą nóżkę, w ciemny zgrabny ujętą trzewiczek, i poufale rzekła do mnie:

— Ale nie martw się tem, don Pablo. Jesteś mężczyzną i chłodniej się możesz zapatrywać na rzeczy. Ja wypowiedziałam ci tylko moje w tym względzie obawy; przecież tu niema nic jeszcze straconego, a bądź pewien, że z mojej strony wszelkich dołożę starań, ażeby wasze zamiary doprowadzić do skutku.

Podziękowałem donnie Izabelli i wyraziłem nadzieję, że jeśli jest tak dobrze dla nas usposobiona, to mi zapewne nie odmówi zajęcia się przesłaniem mojego listu do Manueli.

— I owszem, z największą chęcią — odrzekła. — Ale wiadomo panu, jak dziś wynalezienie osoby, któraby się tego podjęła, jest trudne. Pan, który jesteś wojskowym i masz stosunki ze swymi kolegami, mógłbyś łatwo tę trudność usunąć.

Przerwała, spojrzawszy mi bystro w oczy.

— Jakim to sposobem? — spytałem.

Zawahała się chwilę, a potem rzekła:

— Gdybyś nam dał dokładną wiadomość o sile i rozmieszczeniu wojsk francuskich na drogach, prowadzących do Walencji.

— Tego uczynić nie mogę — rzekłem — bo to jest tajemnicą sztabu, do której nie jestem przypuszczony. Ale chociażbym ją nawet znalazł przypadkiem, honor wojskowy nie pozwoliłby mi jej wyjawić.

— Jeżeli tak, to co innego — rzekła, źle pokrywając pewne niezadowolenie. — Jak się znajdzie sposobność przesłania listu do Manueli, mąż mój pana zawiadomi. Pisząc jednak, staraj się pan być zwięzłym i umiarkowanym w swoich wyrażeniach, aby nie narazić ani osoby, list przynoszącej, ani tej, do której będzie adresowany.

Na tem skończyło się posiedzenie.

Wyprowadzając mnie do sieni, donna Izabella zaleciła

mi, abym się dobrze przypatrzył i zauważył dom, z którego wychodzę, bym w razie następnej schadzki z łatwością mógł do niego trafić. Nauczyła mnie przytem, jak mam pukać do drzwi mieszkania, aby mi otworzono.

Trzeciego dnia doktor, z całą punktualnością niemiecką, o godzinie 7-ej rano zjawił się w mojem mieszkaniu. Zastał mnie w łóżku i zajął się natychmiast szczegółowem i troskliwem zbadaniem stanu mego zdrowia. Zapewnił mnie w końcu, że niebezpieczeństwa nie ma, ale że stan płuc moich wymaga dłuższej, powolnej i umiejętnej kuracyi. Przedewszystkiem załcił zmianę mieszkania. Mieszkałem bowiem w bliskości Piazza Major, w miejscu dosyć zacieśnionem i ruchliwem, doktor tymczasem uważał, że potrzebuję jak najwięcej powietrza i spokojności, i że najdogodniejszą dla mnie miejscowością będą okolice Buen-Retiro.

W końcu dodał, że on w swoim domu na Prado ma woiny pokój, wprawdzie na drugim piętrze, ale z rozległym widokiem na ogrody i oknami ku północy, co w czasie letnich upałów jest dla mnie bardzo pożądanem. — że ten pokój może mi ustąpić, co nadto da mu sposobność częstszego mnie odwiedzania i badania postępów mojej kuracyi. Ponieważ warunki, jakie mi doktor podał, wydały mi się bardzo przystępnymi, więc chętnie zgodziłem się na jego propozycyę.

Zmiana kwatery i przeniesienie się do domu doktora pociągnęły za sobą i czasu niemało i dosyć zachodu. Trudności, jakie się nastęrczyły, dzięki moim kolegom rodakom, dały się usunąć, a niemało się przyczyniło do tego nadesłane świadectwo przez mego pułkownika z Saragossy, który wysokie przyznawał mi zalety. To mi następnie dało możność tymczasowego pomieszczenia się przy sztabie króla Józefa, gdzie przez wzgląd na stan

mego zdrowia i potrzebę radykalnej kuracyi zajmowano mnie niezbyt utrudzającą pracą biurową.

W tym też czasie miałem wiadomość i od mojej matki, a co mnie w niej najbardziej ucieszyło, to to, że ode mnie pierwszego się dowiedziała o mojej ranie, niewoli i oswobodzeniu. Polecała mi w swym liście Opatrzności Boskiej, która tak wyraźnie czuwała nade mną, a choć przebijało się z jej pisma, że nie wszystkiemu, com jej donosił o sobie, wierzyła, i że gdyby tylko podróż do Madrytu nie była tak daleka i z tylu trudnościami połączona, byłaby pośpieszyła do mnie, by mnie pielęgnować, to zauważyłem jednak w jej liście pewne uspokojenie, o które mi właśnie chodziło, i tę nadzieję, że się z Madrytu nie ruszę, dopóki mojej dymisyi nie przeprowadzę.

W parę tygodni po pierwszej schadzce z donną Izabellą odebrałem wezwanie na drugą. Stawilem się znów punktualnie na godzinę naznaczoną, i zastałem już w mieszkaniu donnę Izabellę, jeszcze wykwintniej ubraną, aniżeli poprzednio. Tym razem rozwinięła cały arsenał sztuk niewieścich. Przyjęcie było nadzwyczaj uprzejme. Nóżka, rączka, gors przysłonięty cienką koronką, uśmiech, oczy podmalowane, niezwykle blask dające, włos misternie utrefiony, skropiony esencjami odurzającymi — wszystko to było użyte z pewnym odcieniem wykwintnej kokieteryi.

W innych warunkach nie zaręczam, czybym się potrafił oprzeć tak wielu pokusom, ale w obecnej chwili nie umiałem odgadnąć, o co tu właściwie chodziło. Czy donna Izabella chciała mnie dla siebie pozyskać? czy też podstępnie doprowadzić do wyznania jej miłości, aby mi wyrzucić niewiarę i zdradę względem Manueli? Tego nie wiedziałem. Zauważyłem tylko, że ona nie bardzo

była chętna tym naszym stosunkom i że w jej postępowaniu była jakaś dwuznaczność, potwierdzająca moje przypuszczenia. Postanowiłem więc mieć się na baczności.

Oświadczyła mi zaraz na wstępie, że z nie bardzo dobrym przybywa wiadomościami; wprawdzie od Manueli nie miała listu, ale z boku ją doszły niepokojące wieści.

Nie wiadomo jakim sposobem, miała wyjść na wierzch sprawa mojego przechowywania się i oswobodzenia. Tej sprawie miano nadać wysoką doniosłość, zrobiwszy mnie ważną osobistością wojskową, która miała na celu zbadanie miejscowości i środków podbicia Walencji. Stąd władze patryotyczne gorliwie zajęły się tą sprawą, aresztowały wiele już z tej racji osób i niewątpliwie byłoby to spotkało i Manuele, gdyby nie była wcześniej ostrzeżona i nie udało jej się uratować ucieczką; że zdaje się, iż jest obecnie w królestwie Murcyi, ale w jakiej miejscowości, nie wiadomo. Zakończyła pytaniem, co ja teraz zamierzam przedsięwziąć i jakiej rady mógłbym w tych okolicznościach udzielić.

Oświadczyłem, że, gdybym był nie zaufał jej pośrednictwu, to znalazłbym radę i dobrą i skuteczną (przyszedł mi na myśl don Enrico), ale dziś, gdy nie wiem wcale o miejscu pobytu Manueli, to jestem zupełnie bezradny. Prosiłem więc tylko donny Izabelli, aby list, który jej prześle, mógł być doręczony Manueli jakimkolwiek sposobem. Obiecała zająć się tem gorliwie, nie zaręczając jednak za skutek. Rozstaliśmy się cokolwiek na chłodno.

Przeniósłszy się do domu doktora i mając z nim codzienne stosunki, stałem się jego stałym domownikiem. Przepędzałem najczęściej wieczory u niego, gdyż doktor bardzo mnie polubił i ciągle zapraszał. Doktor był człowiekiem wysoko wykształconym, a przez swoje stanowisko lekarskie miał zawsze wiele rzeczy do opowiadania.

Oboje z żoną już nie młodzi, mieli w domu tylko najmłodszą dwunastoletnią córkę, Marykitę; starsze trzy były już zameżne i mieszkały na prowincyi. Marykita, jako najmłodsza, była faworytką obojga małżonków.

Było to dziewczę, jak na swój wiek, bardzo wyrosłe; wzrostem równała się prawie matce, dosyć słusznej osobie, ale jej powierzchowność dziecinna świadczyła, że jeszcze najmniej parę lat potrzebuje do zupełnego sformowania się. Typ jej fizyonomii był germański, ściągły, biały, z jasnymi włosami, ale oczy miała żywe, czarne, zdradzające przymieszkę krwi południowej; rysy były ładne i zapowiadające w przyszłości piękność znakomitą. Obok tych zalet fizycznych, była to dziewczyna bystra i bardzo pojętna, a przytem serca najlepszego. Ojciec chciał jej dać wyższe wykształcenie, niż odbierały kobiety hiszpańskie, naogół mało kształcone, brała więc prywatne lekcye kilku przedmiotów. Ofiarowałem się uczyć ją po francusku, w czem miała już niezłe początki; moja też propozycya chętnie została przyjęta.

Ale Marykita była psuta pieścizotami ojca i matki, a przytem żywa, jak iskra; wesołością, swobodą i pustotami swemi ożywiała dom rodziców nader spokojny i poważny. Matka strofowała ją od czasu do czasu, ale ojciec, pobłażliwy na jej wybryki, śmiał się tylko, jeśli i jemu samemu jaką psotę lub figla spletała. Jego admonicje kończyły się zwykle poklepaniem po ramieniu, lub ujęciem policzka we dwa palce na sposób niemiecki.

Marykita ze mną nadzwyczaj szybko się spoufaliła. Nie mając brata, chciała mnie uważać za swego starszego braciszka, któryby się z nią gonił, skakał, śmiał, szalał, wadził, godził, słowem—któryby jej służył do zabawy. Szturchnąć, popchnąć, spsocić coś, a potem pogłaskać lub pocałować, to ją nic a nic nie kosztowało;

robiła to wszystko bez najmniejszego namysłu i zastanowienia, a jeśli matka zrobiła jej jaką uwagę, to odpowiadała: „Kiedy ja go Kocham“.—„To tem więcej—mówiła matka — kiedy go Kochasz, nie powinnaś mu dokuczać“. Napomnienia matki skutkowały zaledwie jakie pół godzinki, poczem Marykita znowu robiła swoje. Ja śmiałem się tylko z tych figielków młodego dziewczęcia, co starego ojca wielce cieszyło. Tak sobie przeżyliśmy parę miesięcy, a obok tego nauka języka francuskiego szła bardzo dobrze.

Lato było gorące, upały nieznośne, tak, że w dzień niepodobna było pokazać się na ulicy. Dopiero wieczorem, gdy słońce zaszło, a powiał jeszcze ożywczy wietrzyk od gór Guadarama, cała ludność wtedy wyległa na ulice, lub rozpraszała się po ogrodach i przechadzkach publicznych.

Doktorowa z córką zwykły też po zachodzie słońca wychodzić na Prado; ja towarzyszyłem im często w tych wycieczkach. Po godzinie przechadzki wracaliśmy do domu, bo to był czas, w którym i doktor ze swoich wizyt powracał do siebie.

Było to jakoś w końcu sierpnia. Wyszliśmy wcześniej z doktorową na przechadzkę, bo powietrze było dosyć świeże. Zrobiliśmy kurs niemały. Doktorowa, czując się zmęczoną, przysiadła na ławeczek, ale Marykicie chciało się jeszcze spacerować i męczyła mnie, aby koniecznie z nią obejść tę część Prado, którą „Salonem“ nazywają. Przystałem na to, z warunkiem, że będzie się zachowywała nie jak dziecko, ale jak dorosła osoba. Przymknęła mi to solennie i poszliśmy.

Dnia tego było jakieś widowisko publiczne w innej części miasta, to też publiczność tłumnie tam pociągnęła, tak, że w tej części Prado bardzo mało było osób, a je-

szcze mniej powozów. Szliśmy sobie z Marykitą pod rękę aleją i zbliżaliśmy się do placu Fuente de Cibelos, jako kresu naszej przechadzki. Marykita przez cały czas zachowywała się nader poważnie. Gdyśmy już dochodzili do owego placu, z ulicy Alcalá wyjechał powóz odkryty, w którym siedziała jedna tylko dama, i zawrócił na Prado, tak, żeśmy się znaleźli naprzeciwko — tylko linia drzew, stanowiących aleję, nas odgradzała.

— Patrz! patrz! — zawołała Marykita — jaki ta dama bystro nam się przypatruje.

Zwróciłem oczy na powóz, który nas właśnie mijal, i poznałem siedzącą w nim donnę Izabellę. Ukłoniłem jej się, ona uklon oddała, z lekkim pogrożeniem paluszkami.

— Ty ją znasz, Pablo? — spytała Marykita.

— Znam.

— Musi to być bardzo niedobra kobieta.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo ma takie oczy szkaradne.

— Mnie się zdaje, że piękniejsze od twoich — odpowiedziałem, przekomarzając się.

— O, bardzo przepraszam! Moje są piękniejsze. Jej wzrok to taki ostry, jakby nim chciała przebić i mnie i ciebie.

Ponieważ doszliśmy do kresu naszej przechadzki, więc zawróciliśmy. Donna Izabella, wychyliwszy się z powozu i ujrawszy nas powracających, kazała furmanowi zawrócić, żeby się znów z nami twarz w twarz spotkać, a właściwie pewno, żeby się, o ile zmrok pozwalał, przypatrzeć osobie, którą prowadziłem.

Marykita, ujrawszy powóz wracający, rzekła:

— Czy widzisz? Ona powraca. Ja jej muszę jakiego figla zrobić.

Ponieważ to nie było nic niepodobnego dla Marykity, która największą niedorzeczność była gotowa zrobić, aby zapobiedz temu, użyłem wszelkich moralów, przedstawiając jej niewłaściwość czegoś podobnego, zwłaszcza w miejscu publicznem. Ale był to groch na ścianę. Skoro powóz zbliżył się tak, że miał nas mijać, a donna Izabella wychyliła się z niego, by się lepiej przypatrzeć mojej towarzyszce, Marykita nagle zwróciła się do mnie, objęła za szyję i w twarz głośno pocałowała.

— O! teraz jestem pewna, że ona pęknie ze złości. I zaczęła się śmiać z całego serca.

Donna Izabella poruszeniem tylko głowy starała się objawić mi swoje niezadowolenie.

Zgromiłem Marykitę ostrymi wyrazami i zapowiedziałem, że się rodzicom poskarżę.

— Nie potrzeba — rzekła — ja im to sama opowiem.

I nim doszliśmy do ławki, na której siedziała doktorkowa, już zdaleka zaczęła matce opowiadać całe zdarzenie.

Naturalnie, matka zgromiła ją za to, a Marykita przez jakiś kwadrans zdawała się być skruszona, i na tem się skończyło.

Następnego dnia zebraczką, która często dom nasz odwiedzała, doręczyła mi kartkę, naznaczającą schadzkę na dzień następny w miejscu umówionem.

Spodziewałem się tego, i stawiłem się punktualnie na czas oznaczony. Zastąłem już donnę Izabellę bardzo elegancko ubraną, ale z daleko mniejszą kokieteryą, niż poprzednim razem. Przypuszczałem, że zacznie się od wymówek, ale nie. Przyjęła mnie tylko daleko chłodniej, niż zwykle, i dodała, że, mając przed paru dniami wiadomość od Manueli, czuła się w obowiązku udzielić mi jej.

— Czy pan znasz pismo Manueli? — spytała.



— Czy pan znasz pismo Manueli? — spytała.

— Nie, nie znam. Nigdy go nie widziałem.

— Oto jest list.

Z temi słowy oddała mi karteczkę, którą z za swego gorsu dobyła.

Pożerałem oczyma to pismo i kilkakrotnie je odczytałem.

List ten zawierał w części opis wypadków, znanych mi z dawniejszego opowiadania donny Izabelli. dalszy zaś ciąg był następujący:

„Na szczęście, udało mi się ratować ucieczką, chroniąc się od prześladowania, a może nawet i gorszych następstw. Na teraz jestem bezpieczna, znalazłam bowiem opiekuna, zajmującego wysokie stanowisko w obronie sprawy narodowej, który się szczerze zajął moim losem i osłonił mnie swoją możną opieką. Wprawdzie ta opieka nie jest bezinteresowna: musiałam przyrzec, że mu oddam swoją rękę; uprosiłam sobie tylko czas sześciomiesięczny do namysłu; skoro ten czas przejdzie, jeżeli uczucie wdzięczności nie weźmie górę nad innymi memi uczuciami, to może wstąpię do klasztoru. Com dotąd uczyniła, tego nie żałuję, bo to uważałam za świętą moją powinność. Doznawszy jednak tylu zawodów i z sercem głęboko zranionem, oczekiwać będę od czasu, a więcej jeszcze od Najświętszej naszej Opiekunki del Pilar, czy mi nie ześle pociechy i uspokojenia“.

W całym tym liście o mnie i o naszej miłości nie było najmniejszej wzmianki, a o zawodach, o jakich wspominała Manuela, nie umiałem sobie na razie zdać sprawy.

— Czy mogę list ten zatrzymać? — spytałem.

— O, nie! on jest moją własnością — odrzekła.

Oddałem więc list donnie Izabelli, która, odbierając go, zapytała z pewnym odcieniem ironii:

— Cóż senior mówisz o tym liście?

— Że kobiety — odrzekłem z goryczą — lubią robić igraszki nawet z najświętszego uczucia.

— Jesteś senior niesprawiedliwy. Postaw się w położeniu Manueli, a zobaczysz, że w tych ciężkich okolicznościach, w jakich się znalazła, nie jedną przyjemność należało poświęcić, by pójść za głosem zdrowego rozsądku. Zupełnie znów jest inne stanowisko tych, którzy, niczem nienagleni, szukają sobie lekkich rozrywek, z zapomnieniem najuroczyściej danych przyrzeczeń.

— To jest do mnie przymówka, senioro?

— Bez wątpienia. Po tem, co widziałam onegdaj, przyszedłam do przekonania, że senior nie jesteś tak zbytnim rygorystą i że w każdym razie potrafisz sobie życie uprzyjemniać.

— Ależ to jest zarzut najniesprawiedliwszy! Osoba, z którą szedłem, jest jeszcze najkompletniejszem dzieckiem.

— Tak, tylko, że temu dziecku niewiele brakuje, aby zostać nader poważną kobietą.

Na tę złośliwość, z umyślnym przyciskiem wymówioną, odrzekłem z oburzeniem:

— Seniora pozwolisz, że cię pożegnam.

— O, ja pana nie zatrzymuję. Ja to dobrze pojmuję, że miłsze mu być może towarzystwo pięknej blondynki, która go może teraz z niecierpliwością oczekuje.

Rozstaliśmy się bardzo cierpko. Ukłoniłem się tylko z daleka i wyszedłem. Odtąd nie widziałem już donny Izabelli.

Wróciwszy do domu i zastanawiając się nad treścią listu Manueli, przychodziłem do tego przekonania, na co narazie nie zwróciłem uwagi, że list ten mógł być podrobiony; że może cała ta historia o prześladowaniu,

ucieczce i znalezieniu możnej opieki przez Manuełę jest wymysłem donny Izabelli, która jest skończoną intrygantką, pragnącą od samego początku użyć wszelkich sił, sztuk i fortelów, by nasz związek osłabić i nie dopuścić zamierzonego połączenia.

Tymczasem nadszedł miesiąc wrzesień. Doktor, uważając stan mego zdrowia już za znacznie polepszony, choć jeszcze złe nie zostało stanowczo usunięte, radził mi usilnie, abym Madryt opuścił, gdyż powietrze w nim, zmienne jesienną i zimową porą, dla cierpiących pierśiowo jest bardzo niebezpieczne; najmniejsze zaziębienie mogłoby mnie nabawić choroby nieuleczalnej. Radził więc, aby, korzystając z czasu pięknego, przenieść się do południowej Hiszpanii, do Andaluzji, gdzie samo powietrze, bez żadnych już lekarstw, dokona zupełnego mego uzdrowienia.

Podczas mego pobytu w domu doktora, cały czas wolny, którego miałem sporo, używałem na przypominanie sobie nauk, odnoszących się do inżynierji, którą już znałem niezłe, a przy pomocy książek i kolegów ze sztabu przygotowałem się dostatecznie do złożenia egzaminu. Ponieważ oficerów tej broni armia, rozproszona na wielu punktach, ciągle potrzebowała, a nie było ich nigdy dostatecznej liczby, z wszelką więc łatwością uzyskałem pozwolenie złożenia egzaminu i otrzymałem nominację kapitana inżynierji. Myślałem więc już teraz na seryo o przeniesieniu się na południe Hiszpanii, do czego też wkrótce nadarzyła się sposobność, gdy generał Sebastiani, stojący w Madrycie, zażądał posiłków, a szczególnie oficerów dla swojego korpusu. Zostałem więc przeznaczony do jego sztabu i zaraz opuściłem Madryt, wraz z oddziałem, wysłanym dla wzmocnienia wojsk południowych.

VI.

Oddział nasz, dążący z Madrytu przez góry Sierra-Morena do Malagi, późnym wieczorem wrześniowym r. 1810-go zatrzymał się na wypoczynek w leżącej na naszej drodze i znajdującej się już w rękach francuskich Grenadzie.

Przedstawiwszy się nazajutrz świeżo mianowanemu generałem francuskim komendantowi i zarazem gubernatorowi miasta, wystąpiłem jednocześnie z prośbą, aby mi pozwolił przez jakie trzy dni pozostać w Grenadzie dla wypoczynku po długim i utrudzającym marszu oraz zwiedzenia Alhambry. Generał, człowiek bardzo uprzejmy, udzielił mi pozwolenia z największą chęcią.

Trzy dni zbiegły, jak chwila. Trzeba było iść do komendanta, podziękować mu i pożegnać. Właśnie, kiedym się tam wybrał, na rogach ulic dostrzegłem olbrzymie afisze, na których wyczytałem wielkimi literami wydrukowane: „Toros“, to jest zapowiedź walki byków, która się miała za trzy dni odbyć w miejscowym cyrku. O tych walkach słyszałem wiele — Hiszpanie z zachwyceniem o nich opowiadali, wzdychając do jak najprędszego ich powrotu. Z wojną bowiem te przedstawienia ustały w całej Hiszpanii; zdumiony też byłem, jakim sposobem dało się to przeprowadzić w Grenadzie, a ponieważ może to była jedyna sposobność, następująca mi się, by zobaczyć walkę byków, postanowiłem więc korzystać z dobrego usposobienia generała i, bądź co bądź, choćby z narażeniem się na jego niezadowolenie, wyprosić sobie dalsze trzy dni pobytu w Grenadzie.

Przybywszy do komendanta, rozpocząłem od podziękowania mu za dane mi pozwolenie zwiedzenia Alhambry.

— Panie generale — rzekłem po chwili rozmowy —

lubo z wielką nieśmiałością, ale postanowiłem wystąpić do niego z nową jeszcze prośbą.

— Cóż to takiego?

— Czybyś mi pan generał nie pozwolił jeszcze przez dni trzy pozostać w Grenadzie? Wyczytałem bowiem na afiszach, że ma się tu odbyć walka byków, a ponieważ nigdy jej nie widziałem, przeto radbym z tej tak niezwykłej sposobności korzystać.

— Ależ z największą chęcią do tej pańskiej prośby się przychylam. I ja również, jak pan, ciekawy jestem zobaczyć to widowisko, tem więcej, że jest to po części moje dzieło, tylko nie wiem, jak mi się ono uda. U mnie co tydzień zbierają się tertulie. Na jednej z nich damy miejscowe, wysławiając dawne walki byków, dały mi poznać, jak byłyby szczęśliwe, gdyby ta zabawa mogła być przywrócona. Przez grzeczność przyrzekłem im, że się o to postaram. Zwołałem więc naradę w tym celu z zamożniejszych tutejszych mieszkańców, z alkadem na czele, a znalazłszy w nich chętny do tego współdział, zabraliśmy się do dzieła. Trudności do zwalczenia znalazło się nie mało. Wiesz pan zapewne, że z powodu śmierci Jose Delgado, sławnego i ulubionego torreadora, który w 1801 r. w Madrycie przez byka w straszny sposób rogami został na śmierć zakłuty, rząd ówczesny nakazał zamknięcie wszystkich amfiteatrów. Duchowieństwo nawet, idąc wtedy za prądem, wyrabiającym się przeciwko tauromachii, odmówiło spowiedzi, rozgrzeszenia i pogrzebu chrześcijańskiego tym, którzyby w walce byków życie utracić mieli. Następnie przyszły wypadki wojenne, które o przywróceniu tej zabawy pomyśleć nie dały. Najważniejszą więc rzeczą było, by skłonić duchowieństwo do cofnięcia swego zakazu i przysłania do amfiteatru w czasie walki byków spowiednika, bez czego ani

jednego człowieka nie bylibyśmy dostali do tak zwanej quadrilli. Ten punkt po niejakiem oporze dał się wreszcie załatwić; o dostanie byków nie było trudności, bo Andaluzya tysiące ich i to najlepszych produkuje. Ale największą trudność przedstawiało zebranie quadrilli, to jest, że się tak wyrażę, trupy artystów, składającej się z matadora, którego tu zowią: „primer espada“, jego pomocnika, picadorów, banderillerosów i chulillosów*). Co oni za funkcyę pełnią, tego panu dziś objaśnić nie potrafię,—poznamy to, gdy będziemy widzieli. Dodać tylko muszę, że do zwerbowania tej trupy trzeba było znaleźć ze dwudziestu ludzi i tyle wiem, że mnie to grubo kosztuje, a bardzo rad będę, jeżeli fiasca nie zrobimy.

Zapraszał mnie nawet generał do swojej łoży, ale mu podziękowałem, oświadczywszy, że będę chciał sobie takie miejsce wynaleźć, któreby mi dało sposobność bliższego przypatrzenia się i artystom i publiczności. Cyrk w Grenadzie jest drugorzędny, mogący jednak z łatwością pomieścić około 6000 widzów. W dniu oznaczonym, na parę godzin przed rozpoczęciem widowiska, zaczął się zbierać tłum różnobarwny, ludności nie tylko z miasta, ale i z okolic przybyłej, zajmując wcześniej jak najdogodniejsze miejsca. Ja postarałem się dla siebie o bilet do ławki niżej łoż będącej i blizkiej miejsca, gdzie się poczyna druga połowa amfiteatru, dla ludu przeznaczona, tak, abym mógł się dokładnie przypatrzeć całej publiczności i klas wyższych, i klasy mniej zamożnej. Strona słoneczna cyrku, przeznaczona dla klasy mniej zamożnej, wcześniej zaczęła się napępniać publicznością. Starzy, młodzi, kobiety, dzieci, wszystko się cisnęło licznymi przejściami, aby co rychlej lepsze zająć miejsca. Dla utrzy-

Wymawia się: czulillosów.

mania porządku, na placu zwanym Plaza de los Toros, w pewnej odległości od cyrku, stanęło pod bronią parę batalionów piechoty i szwadron kawaleryi, przy cyrku zaś kręcili się liczni żandarmi i alguazile, t. j. wykonawcy rozkazów władzy. Z napływem widzów rozpoczęło się przedwstępne widowisko, może jeszcze ciekawsze, niż sama walka byków, to jest cały ten lud, uchwycony w swojej naturze, ze wszystkimi objawami swego gorącego temperamentu, dopominający się głośno wypełnienia swoich życzeń i wymagań. Obok głośnej rozmowy i gwaru ciągle rosnącego, dawały się jeszcze słyszeć najrozmaitsze między publiką instrumenty, jak piszczalki, świstawki, trąbki, grzechotki i t. p., których dziką harmonię zdwajały jeszcze przeraźliwe krzyki roznosicielei pomarańcz, wody źródlanej i różnych lakoci. Do tego dzikiego i ogłuszającego hałasu łączył się szelest tysięcy wachlarzy i pstrych chorągiewek, w ciągłym ruchu będących, tak w ręku kobiet, jak i wielu mężczyzn, ochładzających się tym sposobem od żaru słonecznych promieni, tysięcy nadto rąk, wyciągających się co chwila, by chwytać w lot pomarańcze, które przekupnie z nadzwyczajną zręcznością z areny każdemu choćby na najwyższym gradusie żądajacemu prosto w otwarte ręce rzucali, odbierając w ten sam sposób zapłatę. Ten hałas mnóstwa głosów i różnych instrumentów, ta ruchliwość całej tej masy jaskrawymi błyszczącej kolorami, przedstawiała dla nieoswojonego z podobnym widokiem obraz dziwnie fantastyczny i chaotyczny. Odezwały się wreszcie trąby. General, otoczony swoim sztabem, i naczelnicy alkad miasta ukazali się w łoży królewskiej, balkon zaś zajęli corregidor, niektórzy członkowie ajuntamentos, sędziowie walki i oficerowie wojska, konsystującego w Grenadzie. W zgromadzeniu nastąpiło uroczyste milczenie. Za

drugim i trzecim trąb sygnałem muzyka zagrziała marszem tryumfalnym, w którym bębny i puzony główną odgrywały rolę, otwarły się na oścież dwie boczne bramy i wśród frenetycznych oklasków i głosów radosnych tłumu wystąpiła na arenę quadrilla. Orszak otwierali dwóch na dzielnych andaluzyjskich rumakach alguazilów, w staro-hiszczańskim stroju, czarnych koletach z białymi, sztywno stojącymi, karbowanymi kołnierkami, czarnych jedwabnych spodniach u dołu obcisłych, a wyżej bufiastych, w krótkich płaszczkach i beretach z czarnymi piórami. Każdy z nich miał miecz przy boku i rycerską zachowywał postawę. Biada, jeżeliby się zachwiał w strzemiionach: wysmianoby go i wygwizdano chórem. Starszy z nich po trzykroć podprowadzał quadrillę przed lożę generała, a z powagą odkrywając głowę, skłonił się, prosząc o pozwolenie rozpoczęcia widowiska. Za nim, na dany sygnał przez trąby, zatrzymał się z uszanowaniem cały orszak, odkrywając również głowy. W orszaku szli na czele dwaj matadorowie, to jest, jak ich w Hiszpanii nazywają, pierwszy i drugi *españa*; głównym był niejaki Jose Nunioz, a jego pomocnikiem i w razie potrzeby zastępcą — Pedro di Sevilla. Nunioz miał jasną, fioletową kurtkę jedwabną (*bolero*) z naramiennikami, gęsto wyszywaną złotym szamerunkiem, z mnóstwem takichże guzików; do tego odpowiednią kamizelkę, krótkie obcisłe jedwabne do kolan spodnie, z boku wzorzysto złotem i jedwabiem przesywane, szeroki ponsowy pas jedwabny, białe jedwabne pończochy i eleganckie trzewiki z bandażami i trzęzlami złotymi. Jego pomocnik również bogato był ubrany, z tą jednak różnicą, że wszystkie ozdoby nie złotem, lecz srebrem były naszywane. Obadwaj mieli na głowie berety andaluzyjskie z pompkami i fontaziami, a ich długie włosy, zczesane z czoła,

ujęte były w warkocz, z tyłu głowy na plecy spadający. Za nimi postępowali *banderillerosi* i *chulillosi*, podobnie, ale mniej bogato i jaskrawo przybrani; ci ostatni mieli na lewym ramieniu wielkie jasnych kolorów *draperye*, czyli płaszcze przewieszzone, które lewą ręką podtrzymywali. Za pieszymi postępowало parami konno sześciu *picadorów* na starych, chudych i spracowanych szkapach. Ubiór ich był również bogaty; włosy mieli ujęte w siatkę, na głowach filcowe z szerokim rondem kapelusze, kurtki z żółtego aksamitu, złotem naszywane, kolety świecące z żółtej skóry, naramienniki ze sznurów złotych, jedwabną chustkę kolorową, zawiązaną na szyi pod wywiniętym kołnierzem od koszuli, spodnie skórzanе. Siedzieli w głębokich siodłach, ze strzemionami drewnianemi, żelazem okutemi, które wyglądały naksztalt skrzynek osłaniających nogę, z których od pięty wyzierały długie sześciocalowe ostrogi z ostremi kólkami. Za nimi postępowala pewna ciżba sług, a za tymi na końcu dwie uprężne czwórki mułów, nakrytych bogatemi szkarlatnemi, srebrną frendzlą obszytymi dekami, z powiewającemi na grzbiecie chorągiewkami w kolorach królestwa Grenady; przeznaczeniem tych mułów było wywożenie z areny zabitych byków i poległych koni.

Corregidor dał znak. Zagrzmiały trąby, obwieszczając rozpoczęcie widowiska. Czarno odziany rycerz hiszpański, któremu *corregidor* z trybuny, przeznaczonej dla przedniejszych władz i sędziów walki, rzucił klucz od tarasu, gdzie byki, przez dobę w ciemności trzymane, głodzone i niepojone, zamknięte były, galopem puścił się z tym kluczem, aby go wręczyć dozorecy byków, a dopełniwszy tego, boczną bramą ustąpił z areny. *Matadorowie*, dumną przybrawszy postawę, stanęli na boku. *Picadorowie*, odebrawszy lance przy trybunie i spróbo-

wawszy ich, we dwóch stanęli na wskazanych miejscach, przy baryerze, inni z placu ustąpili. Banderillerosi i chulillosi rozsypali się po arenie, a służba z długimi biczami, obsiadłszy baryerę przy wrotach tarasu, czekała na wypuszczenie byka.

W tej chwili ukazał się stróż tarasu, t. j. pomieszczenia dla byków, przed wrotami, głębokim ukłonem na wszystkie strony pozdrowił zgromadzenie i wrota otworzył — a zaraz wypadł z nich byk dręczony pragnieniem, pędzony bólem spadających nań biczów, oślepiiony światłem, ogłuszony i odurzony muzyką i okrzykiem tłumu. Wbiegł na środek areny i zaczął się dziko rozglądać. Oczy jego czerwone jakby ogniem pałały, z nozdrzy wychodziła gorąca para, ogon wyprężony przybierał różne zagięcia. Z tych znaków diestrosi, to jest członkowie quadrilli, poznali, że będą mieli do czynienia z niepospolitym przeciwnikiem, a tłum coraz huczniejszymi tymczasem pobudzał byka okrzykami. Nareszcie byk jakby się opamiętał, ujrawszy blisko stojącego picadora, a pragnąc za tyle cierpień wyrzucić na kimś swą zemstę, uderzył na niego, ale w swym impecie lancą w kark trafnie ugodzony, został sparowany i odrazu przerzucił się na drugą stronę cyrku, gdzie stał drugi picador; ugodził rogami w bok konia i wraz z jeźdźcem powalił na ziemię. Z ran konia trysła obfita krwi struga. Zgromadzenie powitało byka okrzykiem: „bravo, toro!“ i hucznymi oklaskami. Diestrosi obkoczyli byka, aby go od powalonego konia odciągnąć i na pierwszego picadora skierować, a tymczasem przymusić ranne zwierzę biczem i ostrogami, by wstało znowu i oczekiwało nowych napadów przeciwnika. Jeżeli byk jest przeznaczony z góry na ofiarę i zginąć musi wśród areny, to również i kobie z areny żywymi nie wychodzą; służą

one za dowód waleczności byków i im który więcej koni na placu położy, tem więcej zadowala widzów i tem hu- czniejsze odbiera oklaski. W tym pierwszym boju oba- dwa konie zostały przez byka zabite. Ów koń powalony, którego powstać przymuszono, dwa razy był jeszcze na- padany przez byka; ten za każdym razem głęboko zata- piał w nim swoje rogi. Wnętrznosci wysnuły się aż do samej ziemi; nieszczęśliwe zwierzę, pobudzone ostrogą jeźdźca, musiało się poruszać, postępować naprzód, przy- deptując kopytami wlokące się po piasku własne wnętr- znosci i wytrzymywać nowe napady rozwścieczonego byka.

Obrzydliwa zabawa! Aczkolwiek byłem mężczyzną i wojskowym, z podobnymi widokami na wojnie otrza- skanym, jednakowoż zrobiło mi się ckliwo, i oczy ręką przysłoniłem, aby nie patrzeć. Na szczęście odezwały się trąby, dające sygnał, by konie zabite usunąć i przejść do drugiej fazy krwawego dramatu.

Ten drugi akt był mniej drażliwy, niż pierwszy. Die- strosi obskoczyli byka, aby go drażnić. Byk z zakrwa- wionymi rogami i czolem, jakby dumny z tego pierw- szego zwycięstwa, uderzył teraz na pieszo walczących, którzy jawili się przed nim i szybko znikali, jak meteory. Banderillerosi, pędząc wprost na byka, przez zręczny w bok uskok przepuszczając go prawie pod swemi pachami, zapuszczali w grzbiet zwierza ręczne strzały, owinięte kolorowym papierem i wstążeczkami, aby go jak naj- bardziej rozdrażnić. Chulillosi zręcznem rzuceniem dra- peryi przed oczyma byka zbijali go z tropu; czasem byk, nie zważając na te wszystkie sztuki, pogonił za którym, prawie go już sięgając rogami, gdy ten, dopadłszy ba- ryery, mającej u spodu jeden stopień, zręcznym rzutem przeskakiwał przez nią, zostawiając rozjuszonego i nieja-

ko zgłupiałego swoim zniknięciem przed pustą baryerą byka. Rzeczywiście, była to gra, dowodząca w pieszo walczących i wielkiej śmiałości i jeszcze większej zręczności. Owych strzał, przyczepionych do grzbietu, miał byk ze sześć, które go bólem drażniły i szelestem niepokoiły; kilka słabiej uczepionych gwałtownymi ruchami potrafił strącić z siebie. Uganianie takie banderillerosów i chulillosów z bykiem trwało najmniej kwadrans.

Odezwały się znowu trąby, dając sygnał przystąpienia do ostatniego aktu dramatu. Nastąpiła chwila kompletnej ciszy. Na arenę wystąpił matador Jose Nunioz, ze szpadą w prawej, a szkarłatną flagą, zwaną *muleta*, w lewej ręce; podano mu je z trybuny. Uroczystym krokiem przeszedłszy arenę, powrócił przed trybunę, a zdjawszy czapeczkę i skłoniwszy się lekko, prosił prezydującego o pozwolenie wykonania ostatniej sceny. Następnie, odrzuciwszy czapeczkę na stronę, postąpił ku bykowi, ukazując palcem pieszo walczącym, gotowym na jego skinienie, miejsce, które wybrał do walki z bykiem. Ci podbiegli natychmiast ku bykowi, a drażniąc go znowu, starali się naprowadzić na miejsce wskazane, czego dokonawszy, zniknęli mu z oczu. Byk znalazł się nagle oko w oko z matadorem. Nastąpiła chwila wzajemnego mierzenia się przeciwników. Byk kilka razy uderzał na matadora, który go szkarłatną *muletą* i zręcznym w bok uskokiem zbijał z tropu, unikając tym sposobem uderzenia jego rogów. Skoro nowe zajął stanowisko, a byk, powracając, do nowego sposobu się natarcia, wtedy matador, upatrzywszy dogodną chwilę, skierował pomiędzy dwie łopatki zwierza szpadę, na którą byk, opuściwszy łeb do ziemi dla silniejszego napadu, wpadł całym impetem i klingę aż po gardę w swoje cielsko wpakował. W jednej chwili runął też na ziemię pod stopy matadora.

Jak huragan, zagrzmiały w całym zgromadzeniu okrzyki i oklaski, które wzmagaly jeszcze trąby i fanfary muzyki. Kiedy matador, obchodząc spokojnie cyrk, skinieniem szpady dziękował za ten dowód uznania władzom i publiczności, z bocznej bramy cyrku wybiegła jedna z czwórek mulów, przyczepiono do upręży zadnie nogi byka i jako trofeum obwleczono go naokoło areny, poczem czwórka z bykiem zniknęła w otwartej bramie wśród nieustających frenetycznych okrzyków i oklasków publiczności.

Tak się zakończył, ten pierwszy dramat, a takich miało być pięć jeszcze, bo w programie aż sześć byków miało stawać do walki. Ja miałem już dosyć tego widowiska i byłbym chętnie ustąpił, gdyby to było możebne, ale z publicznością hiszpańską niema żartu. Cudzoziemcowi nie wolno ani zbytniego zadowolenia, a tem bardziej lekceważenia objawiać, bo możnaby się narazić na awanturę. Trzeba więc było zostać i wytrwać w miejscu do końca. Przy drugim i trzecim byku przebieg walki odbył się tak samo, jak przy pierwszym, z tą małą różnicą, że byki nie były tak żwawe i tylko po jednym koniu padło w każdej walce. Publiczność mniej też była z tych walk zadowolona, a okrzyki i oklaski więcej umiarkowane. Drugiego byka zabił zastępca matadora, trzeciego sam znów matador. Z kolei wypuszczono czwartego byka. Było to widać stworzenie bardzo łagodnej natury, nic wojowniczego w sobie nie mające. Wszelkie drażnienia ze strony diestrosów jakby z rezygnacją przyjmował, żadnego konia nie powalił, pozwolił sobie kilkanaście strzał ręcznych przyczepić do grzbietu, i te nic go obchodzić nawet się nie zdawały. Publiczność sykaniem i gwizdaniem objawiała swoje niezadowolenie. „Wstydz się być takim nikczemnym tchórzem!“ rozlegało się co chwila

po cyrku. Dopominano się, aby mu w grzbiet zatopiono strzały z fajerwerkami. I to uczyniono, ale owe race, kaleczące i parzące byka. zamiast go do wściekłości pobudzić, tylko jeszcze większą nieciły w nim obawę, tak dalece, że próbował uciec i dwa razy przez baryerę przesadził. ale, znalazłszy się w ciasnem przejściu i smagany biczami służby, znowu na arenę powracał. Ponieważ byk, występujący na arenie, żywym z niej schodzić nie może, przeto publiczność zniechęcona zaczęła wołać: „Perros! peros!“, to jest, aby psy, do walki przyuczone, puszczono, któreby zwierza rozszarpały. Ale psów takich nie było. Tłum więc roznamiętniony zawył niemal, wołając, aby użyto media-luna, to jest narzędzia ostrego w kształcie półksiężyca. na długim drągu osadzonego. Gdy prezydujący zgodził się na to domaganie publiczności, służba przyniosła owo media-luna, którem podcięto natychmiast przednie nogi nieszczęśliwej ofiary. Byk, rycząc z bólu, upadł. i zaraz jeden ze służby zadał mu nożem cięcie pomiędzy kręgi grzbietowe, pozbawiając go życia. Trupa byka wywlekła natychmiast czwórka mulów poza arenę, przy ciągłem świstaniu, sykaniu i przekleństwach niezadowolonego tłumu.

Nie wiem, jak długoby to trwało, gdyby nie odezwały się trąby, po których wystąpił dozorca tarasu, gdzie znajdowały się byki, z ukłonami, tak jak to miało miejsce przed wypuszczeniem każdego byka. Publiczność przyjęła go huczmem niezadowolaniem. śmiechami, sykaniem i gwizdaniem. Dozorca na te objawy niechęci odpowiadał coraz niższymi ku ziemi ukłonami. a gdy się wreszcie wrzawa nieco uciszyła, przeproszał publiczność za zawód, jaki jej zrobił byk ostatni, zapewniając, że ten, którego teraz wypuści, potrafi zdobyć sobie najwybredniejszych

skiej areny w Madrycie, że dosyć powiedzieć, iż pochodzi z renomowanego stada Salvatierra, aby mieć wysokie o jego wojowniczych usposobieniach wyobrażenie.

To wyrzekłszy, odemknął wrota tarasu, z których wypadł byk, wprawdzie niezbyt rosły, ale krępo zbudowany, ciemno-brunatnej maści z niewielkimi, cienkimi i mało zakrzywionymi rogami. Gdy stanął na środku areny, zaczął się rozglądać dzikimi oczyma, wyprężeniem ogona i uderzeniami po bokach objawiając swoją niecierpliwość. Publiczność powitała go gromem okrzyków, a diestrosi poznali, że będą mieli z niebezpiecznym przeciwnikiem do czynienia. Jakoż byk nie długo rozglądał się po arenie; ujrzawszy blisko przy baryerze stojącego na koniu picadora, całym na niego uderzył impetem. Wprawdzie picador laną pierwsze natarcie sparował, ale byk zaraz powrócił do walki i silnym uderzeniem rogów konia i jeźdźca powalił na ziemię. Zwrócił się potem do drugiego picadora, na przeciwnym brzegu areny stojącego, i tego również, jak pierwszego, z koniem przewrócił. Gdy diestrosi nieśli pomoc pierwszemu picadorowi, aby rannemu koniowi dać możliwość powstać na nogi, byk, załatwiwszy się już z drugim, powrócił do pierwszego, zadał mu nowe pchnięcie, powalił na ziemię, i znów nowym pchnięciem podniósł leżącego na nogi i na nowo przewrócił. Koń zaś drugi od ran zadanych mu przez byka już podnieść się nie mógł; nie pomogły ani bicze, ani ostrogi — prawie już zdychający zaledwie był w stanie unieść głowę nieco od ziemi. Gdy byk to zobaczył, powrócił z napadem, uderzał rogami, nurtując we wnętrznościach swojej ofiary, rozrywał je i daleko od siebie odrzucał. Zwierzę z ogromnego bólu zrobiło jeszcze wysiłek, aby zębami pochwycić srogiego przeciwnika. Ta

scena tak zachwyciła publiczność, że okrzykom i oklaskom końca nie było.

Wjechało dwóch nowych picadorów na arenę, ale byk i z tymi równie prędko się uwiął, jak z pierwszymi. Publiczność była w zachwyceniu, ale nie syta wrażeń, dopominała się o więcej koni. Sędziowie walki zgodzili się na to i wystąpiła jeszcze trzecia para picadorów, którzy w krótkim czasie doświadczyli tego samego losu, co i poprzedni. W krótkim więc czasie byk ubił sześć koni, z tych dwa zdołano jeszcze wyprowadzić z wlokąciami się wnętrznościami, cztery zaś leżały bez życia; dwóch picadorów mocno potluczonych uniesiono z areny. Publiczność była zachwycona, objawiała też wszystkimi swymi hałaśliwymi środkami zadowolenie. „Bravo valiente toro! viva valiente toro!“ rozlegało się po całym cyrku z ust tego tysięcznego ludu, który nie czuł nawet całej ironii w tym okrzyku, że ten, któremu życzyli życia, miał już z góry policzone minuty swojej egzystencji.

Przed rozpoczęciem nowej walki z pieszo występującymi, usunięto chwilowo walecznego byka do tarasu, aby oczyścić arenę z trupów pobitych koni. Gdy trąby znak dały do pieszej walki, byk znowu ukazał się na arenie. Banderillerosi winni byli tylko swojej nadzwyczajnej zręczności, że potrafili ująć od pogoni zwinnego byka; żadnej strzały nie udało im się zapuścić w grzbiet jego, a jeden nawet z chulillosów padł uciekając, ale na jego szczęście byk tak był rozpędzony, że przebiegł ponad nim i dał mu sposobność zerwać się na nogi i uciec. Trąby położyły kres tej gonitwie, dając znak do występu matadora. Tłum, który ciągle okrzykami i oklaskami obsypywał byka za waleczność, ucichł teraz, jakby przejęty uroczystością chwili, jaka nastąpić miała. Matador, stanawszy oko w oko z bykiem, poznał odrazu, że ma

bardzo niebezpiecznego przeciwnika do zwalczenia, który łeb pochylał do napadu w jedną stronę, aby z przeciwnej strony uderzyć. Matador pobladł, co było już niedobrym znakiem; parę razy udało mu się sparować za pomocą mulety uderzenie byka, który z zadziwiającą szybkością do walki powracał, lecz właśnie, kiedy już miał mu cios zadać, byk bocznym rzutem uprzedził matadora i powalił go na ziemię. Krzyk przerażenia rozległ się w tłumie—publiczność na ławkach popowstawała. Diestrosi i chulillosi rzucili się tłumnie do byka, otoczyli go, starając się odprowadzić drażnieniem jak najdalej od leżącego matadora, by mu nowego nie zadał ciosu. Jeden z nich zarzucił mu płaszcz swój na głowę. Byk wprawdzie mocnem wyrzuceniem łba w górę zaraz się od niego uwolnił, ale, widząc przed sobą stojącego przeciwnika, ku niemu się zwrócił i za nim pogonił. Tak rozpoczęła się gonitwa po cyrku, która dała możność uniesienia z areny ciężko rannego matadora. Gdy to nastąpiło, cała quadrilla znikła poza baryerą, a na arenie pozostał byk jako zwycięzca, który z łbem zakrwawionym dumnie się rozglądał, szukając przeciwników i ofiar. Publiczność, uspokojona w części zapewnieniem doktora, który rannego opatrzył, że, lubo rany są ciężkie, ale życiu matadora nie grożą, zaczęła się głośno teraz dopominać, aby przyniesiono media-luna i tym sposobem pozbawiono życia tak niebezpieczną bestyę. Już prezydujący miał wydać rozkaz zgodny z życzeniem publiczności, kiedy z ławki officionadosów, t. j. amatorów, powstał jakiś młody człowiek, rzucił z siebie ciemny płaszcz i, przecisnąwszy się do trybuny, zaczął prosić prezydującego, aby mu wolno było zastąpić rannego matadora i odbyć walkę z bykiem. Dość długo trwała ożywiona rozmowa, z której widać było, że starano się odwrócić owego amatora od powziętego za-

miaru, ale gdy się przy swoim żądaniu upierał, sędziowie zgodzili się wreszcie na to. Publiczność przyjaznym okrzykiem powitała nowego matadora. Był on w stroju andaluzyjskim, eleganckim, ale bez zbytłych świecideł. Wziął mulecę i szpadę, którą bacznie obejrzał i wypróbował, dał znak diestrosom, aby wstąpili na arenę i zatrudniali byka. Sam lekko przesadził baryerę, z wielką spokojnością i dystynkcyą przeszedł się po cyrku, salutował szpadą władze i publiczność, a odrzucając na bok swój kapelus, głośno zawołał, że walczyć będzie na cześć swojej damy. Następnie wskazał pieszym punkt, gdzie miał odbyć walkę z bykiem, i stanął w przygotowanej do walki postawie, a byk naprowadzony zjawił się wkrótce naprzeciw niego. Odbyła się scena krótka, w której przeciwnicy wzajem zmierzyl się oczyma. Byk widać, że się zachwiał przed wzrokiem człowieka, bo, spuszczaając łeb ku ziemi i wydając jakiś ryk niewyraźny, przytłumiony, przednimi nogami rwał naprzemian piasek z pod siebie, daleko w tył go ciskając. Matador stał przed nim spokojny, niezachwiany. Byk parę razy próbował uderzyć na swego przeciwnika, ale ten, znając jego rzut ukośny, przez rzucenie mu przed oczy mulety i zręczny uskok, potrafił uniknąć ciosu rozwścieczonego zwierza, a upatrzwszy odpowiednią porę, wbił mu między łopatki całą szpadę i trupem u nóg swoich położył.

Frenetyczne okrzyki zagrzmiały w całym zgromadzeniu, a muzyka marsza tryumfalnego zagrała. Cały amfiteatr powstał na znak uszanowania i aby się lepiej przypatrzeć zwycięzcy, który spokojnie obchodził całą arenę, dziękując szpadą na prawo i lewo za tę owacyę. Kobiety z łóźrzucały bukiety, powiewając chustkami; mężczyźni zławki officionadosów rzucali cygara. Tryumfator schylił się po jedno cygaro i niewielki bukietek,

który do ust poniósł, pocałował i przyczepił na piersiach, resztę darów skinieniem pozostawiając quadrilli do zabrania. Bukiecik podniesiony rzucony był — przez Manuełę.

Tak, poznałem ją! Łoża, w której siedziała, znajdowała się ode mnie po drugiej stronie łoży królewskiej, a więc prawie o pół cyrku oddalona. Ponieważ w każdej łoży znajdowało się nie mniej jak kilkanaście kobiet, Manuele dotąd widzieć nie mogłem, tem bardziej, że trzymała się w głębi, zasłonięta innemi kobietami. Tryumf młodego człowieka spowodował, że się naprzód wychyliła i już odtąd wzrok mój stracił wszelki interes do innych przedmiotów, a zawisł na owej łoży, w której ona była. Chciałem bądź co bądź przybliżyć się do niej, wyjść z amfiteatru i czekać jej przy wyjściu, ale to było niepodobne; taki ścisk się zrobił około trybuny, do której udał się, powróciwszy z areny, zwycięzca, że ani myśleć można było o opuszczeniu miejsca. Bohaterski matador, salutowany w trybunie, przeprowadzony solennie, udał się do łoży generała, jemu przedstawiony, jakiś czas z nim rozmawiał, następnie z alkađem i innemi znakomitszemi figurami, znajdującemi się w tej łoży. Ponieważ miał ręce nieobmyte, krwią jeszcze zawalane, przeto pożegnał rychło tam zgromadzonych i cyrk opuścił.

Program zabawy obejmował jeszcze szóstego byka, którego nareszcie wypuszczono do walki. Jak on się zachował, czy walecznie, czy tchórzliwie, tego już nie wiem, bo wzrok mój i cała uwaga gdzieindziej była skierowana. Siedziałem, jak na węglach, a nie było możności opuszczenia miejsca przed ukończeniem widowiska. Zdaje mi się, że i publiczność mało już była tem widowiskiem zaciekawiona, bo głośno rozprawiała tylko o przebiegu walki, którą zakończył tak niespodziewanie

ow nieznamy. Ta rozmowa kilkotysięcznego tłumu tak głośne przybrała rozmiary, że głużyła wszelkie inne objawy czy to zadowolenia, czy niezadowolenia. Zwróciłem się do najbliższej siedzących z zapytaniem, czy nie wiedzą, kto był ów młody człowiek, który odbył tak świetną walkę, ale nikt objaśnić mnie nie mógł więcej nad to, że to był jakiś nie miejscowy. Ja nie spuszczałem wzroku z łoży Manuelai, ale już jej drugi raz nie ujrzałem; przypuszczałem nawet, że to może było złudzenie, ale zanadto miałem wzrok dobry, abym się pomylił.

Widowisko nareszcie się skończyło. Publiczność rzuciła się do wyjść; ja także tłoczyłem się między drugimi, żeby czempredzej stanąć przed amfiteatrem. Widziałem wychodzące i odjeżdżające damy, ale pomiędzy nimi już nie było Manuelai. Prawdopodobnie przed ukończeniem widowiska amfiteatr opuściła. Przy wyjściu spotkałem się tylko z generałem, który mnie życzliwie pozdrowił i prosił, aby tegoż dnia być u niego na tertulii. Z największą przyjemnością przyjąłem zaproszenie, będąc pewny, że się coś bliższego tam dowiem i o Manuelai i o tym, któremu ona rzuciła wiązanek kwiatów.

Jeszcze nie wiele było osób, gdy przybyłem do generała. Rozpocząłem od podziękowania mu za łaskawie mi udzielone pozwolenie oglądania tak niezwykłego widowiska. Generał wypytywał zaraz, jakie też na mnie uczyniło wrażenie, opowiedziałem mu więc otwarcie doznane uczucia.

— Najzupełniej z panem je podzielałem — rzekł generał. — Nie przypuszczałem, aby się można zachwycać obrzydliwszą zabawą. Po pierwszym byku miałem już dosyć, i gdyby nie moje stanowisko, które mi nakazywało pozostać, byłbym niewątpliwie amfiteatr opuścił. Drugi raz na podobne widowisko nie dozwolę; póki tylko będę

w Grenadzie, ta barbarzyńska heca nie powtórzy się. Przyznam się jednak panu, że jeden jej epizod mocno mnie zainteresował, to jest, gdy na arenę wystąpił ów młody ochotnik matador, który tego wściekłego byka położył. Obserwowałem go z uwagą. Jakiż to spokój, jaka pewność siebie! To prawdziwie do zadziwienia. Śledziłem każde jego poruszenie: żeby mu choć jeden muskuł drgnął w twarzy,—nie! A najmniejszy fałszywy ruch mógł spowodować to samo, co się przytrafiło matadorowi Nuniozowi. Rzeczywiście, z tej walki wyszedł prawdziwym bohaterem.

— A czy nie wiadomo panu generałowi—spytałem—kto był ten młody człowiek?

— Owszem, był mi przedstawiony przez alkada, jako jego znajomy. Ale nazwiska nie pamiętam. Przybył tu umyślnie z Sewilli, aby być obecnym walce byków.

Na tertulii było kilkanaście dam miejscowych, ale między niemi nie było Manueli, a chociaż rozmowa toczyła się głównie o wypadku w cyrku dnia bieżącego, to jednak żadna z dam nie umiała mnie objaśnić o osobie, o której pragnąłem bliższych zasięgnąć wiadomości.

Miałem chwilowo myśl udania się do Sewilli, czy tam nie napotkam Manueli. Ale ponieważ był to projekt z wielu połączony trudnościami, szybko go zaniechałem. Raz jeszcze podziękowawszy generałowi za łaskawe względy, udałem się na miejsce mego przeznaczenia.

VII.

Przybywszy do Malagi, z pomiędzy licznych rodaków, jakich tam zastałem, zaprzyjaźniłem się najwięcej z szefem batalionu, Korcz..., z którym wszystkie prawie chwile wolne od obowiązków razem przepędzałem, już to na przechadzkach po mieście, już to do portu, już

też w bliższe pozamiejskie miejscowości. Jeżeli było zbyt gorąco, to albo ja do niego, albo on do mojej przychodził kwatery.

Major Korcz... był znacznie ode mnie starszy, ale ta różnica wieku nie psuła między nami dobrej harmonii. W swoim życiu przebywał on różne koleje; służył uprzednio we włoskich legionach, gdzie się walecznością odznaczył. Dla ciężkiej rany, odniesionej, zdaje się, w batalii pod Mondovi, opuścił służbę wojskową i do kraju powrócił. Niepowodzenia i straty, jakie poniósł, obrzydziły mu życie spokojne; zateśknił za dawnym trybem życia, na co nie długo czekać potrzebował. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, wstąpił z rangą kapitana do nowo formujących się pułków. Następnie pomaszzerował z pułkiem do Hiszpanii, gdzie za odznaczenie się w bitwie pod Ocania posunięty został na szefa batalionu. Był to w całym słowa znaczeniu i dobry żołnierz, i prawy człowiek, a chociaż orłem nie był, ani też nie posiadał wyższego wykształcenia, jednak mimo to o wszystkim miał sąd zdrowy i zdanie wytrawne. Koledzy szanowali jego prawy charakter i wysoko cenili jego opinie, nieraz też do jego rady się odwoływali.

Było to jakoś pod koniec listopada, w godzinie popołudniowej, w której cała prawie Hiszpania oddaje się spoczynkowi. Przyszedł Korcz... do mojej kwatery, a że pomimo jesieni było nadzwyczaj gorąco, pozrzucawszy z siebie mundury, kurzyliśmy kręczone w rękę na sposób hiszpański cygarety, chłodząc się wodą z *azucarillos* i pomarańczami, i, naturalnie, gawędziliśmy.

Rozmowa nasza dotykała wielu przedmiotów i przeszła wreszcie do obecnego naszego w Maladze położenia.

Wtém weszła służąca mojej gospodyni i oddała mi kartkę, na której były słowa następujące:

„Proszę Pana, abyś bez zwłoki czasu raczył do mnie przybyć. Jest to interes, zblizka Pana obchodzący“.

Gdym przeczytał, zapytał mnie major:

— A to co takiego?

Powiedziałem mu treść biletu.

— I cóż? nie domyślasz się? — spytał major, patrząc mi w oczy.

— Najmniejszej rzeczy.

— Ho, ho, bratku, nie wyprowadzisz ty mnie w pole! Jak dwa a dwa — cztery, tak to jest bilet, zapraszający na schadzkię miłosną. Gotówem się założyć o koszt najlepszej malagi.

— Tobys, majorze, przegrał — rzekłem, śmiejąc się, — bo chyba nie znasz osoby, która do mnie pisze. Jest to moja gospodyni, stara, jak grzyb, szpetna...

— Co ty mi prawisz!... Przecież znasz przysłowie polskie, że w starym piecu zwykle dyabeł pali. Podobaleś się babie. Chłopak młody, przystojny, to nie dziwnego, że na ciebie parol zagięła. I cóż, pójdiesz?

— Pójdę — rzekłem — choćby dla samej ciekawości.

Powiedziałem służącej, że zaraz przyjdę, i zacząłem się ubierać.

— A więc idź — rzekł major — daję ci na drogę moje błogosławieństwo. Tylko pilnuj swego serca, abyś go znowu nie uwięził. Warto jednak — dodał po chwili — abyś miał przy sobie broń jaką: pistolet lub sztylet.

— To nie potrzebne. Przecież, jako oficer, będę miał moją szpadę, a ta w najgorszym razie starczyć mi powinna.

— Prawda. Ale na wszelki wypadek, ja tu na ciebie zaczekam.

— Zgoda, mój majorze. Masz tu cygarety, wino, porażnicze...

— Bądź spokojny, już ja tu potrafię sobie gospodarować.

Służąca czekała na mnie w sieni. Gdym wyszedł, poszła za mną na schody i drzwi od mieszkania otworzyła, a wpuszcivszy mnie do dość obszernego pokoju, drzwi za mną na klucz zamknęła.

Mimowolnie na śmiech mi się zbierało, i przeszły mi przez głowę przypuszczenia majora, kiedy ukazała się moja wiekowa gospodyni i na mój ukłon głębokim odpowiedziała ukłonem; ale nie mówiąc nic i nie czekając mojego zapytania, wskazała mi tylko drzwi do przyległego pokoju.

Wszedłem więc do saloniku, dobrze umeblowanego; zapuszczone story w oknach dawały tylko półświatło. Na sofie siedziała kobieta w ciemnym ubraniu, z twarzą mantylą osłoniętą; w dłoni, zamiast wachlarza, dostrzegłem sztylet, którym się bawiła.

Nie wiedząc, z kim mam do czynienia i poco zostałem wezwany, zatrzymałem się na środku salonu, oddając ukłon siedzącej kobiecie, na który odpowiedziała mi lekkim skinieniem głowy, a widząc, że nie rozpoczynam rozmowy, sama pierwsza się odezwała:

— Czy mnie senior nie poznajesz?

— Manuela! moja najdroższa Manuela!—zawołałem z największym uniesieniem i podbiegłem szybko do niej.

-- Nie zbliżaj się! — krzyknęła, podnosząc sztylet w górę, jakby nim przebić mnie chciała.

Zdziwiony, zatrzymałem się przed nią, nie dalej, jak o krok jeden, pytając:

— Manuelo! co to znaczy?... ten sztylet w twoich rękach... na mnie zwrócony?...

— Chciałam ukarać przeniwiercę... chciałam cię zaabić!... Cierpienia i męki, jakich doznaję, stały się dla

mnie tak nieznośnemi, że sądziłam, iż tylko tym sposobem się od nich uwolnić potrafię. Gdybyś był okazał na mój widok obawę, lub, co gorsza, obojętność... byłbyś zginął. Ale twoje słowa powitalne, z takim uczuciem wyrzeczone, rozbroiły mnie. Teraz nie obawiaj mnie się, senior. Zemstę moją pozostawiam Bogu... i wyrzutom twojego sumienia.

To mówiąc, sztylet rzuciła mi pod nogi.

— Manuelo! — rzekłem z boleścią — ależ ja się do żadnej winy względem ciebie nie poczuwam.

— O, senior! i ty śmiesz mi to w oczy mówić?! Za moje łzy, poświęcenia i miłość najczystsza, bezinteresowna, bezgraniczną czemżeś ty mi odplacił?... lekceważeniem, pogardą i najnikczemniejszą zdradą.

— Manuelo, jesteś w strasznym błędzie — rzekłem spokojnie. — My, ludzie północy, może nie mamy krwi tak gorącej, jaka płynie w żyłach waszych, ale w sercach u nas uczucie miłości jest również silne, a może nawet i trwalsze, niż u was. Ja ci na Boga przysięgam i na mój honor wojskowy, że się nie poczuwam względem ciebie do żadnego z tych zarzutów, któreś mi tak niebacznie przed chwilą w oczy rzuciła.

— Niestety! — rzekła — kiedy ja mam na to dowody.

— Jakie dowody!? — spytałem zniecierpliwiony.

— Na tyle listów moich nie odebrałem od ciebie ani jednego słówka odpowiedzi.

— Żadnego twego listu nie odebrałem!

— Czyż to być może? — zapytała ze zdziwieniem.

— Tak było — rzekłem stanowczo. — Ja sam pisałem do ciebie dwa listy. Czyś je odebrała?

— Nie, żaden ręk moich nie doszedł.

— Widzisz więc, Manuelo droga, że tu się wnie-

szać musiała jakaś podła intryga, która zamierzyła sobie stosunki nasze rozerwać i na wieki nas rozdzielić.

— Tak... może! — rzekła jakby z pewną niechęcią.
— Ale nie! tu jest dowód, który cię ostatecznie potępi.
Podala mi list do odczytania.

Był to list donny Izabelli, opisujący obszernie spotkanie się nasze na Prado. Fakt był dosyć wiernie opisany, tylko koloryt zmieniony i w rażącym świetle oddany. Donna Izabella, nie przypuszczając, że ja kiedy ten list czytać będę, nie szczędziła wyrażeń, ażeby mnie w jak najgorszym świetle przedstawić, jako człowieka lekkiego, bez serca, uganiającego się tylko za nowymi zdobyczami, a stosunek mój do Marykity wystawiła jako skandaliczny i głośny w całym Madrycie. Czytając ten list, zauważyłem, że pismo jego zupełnie było takie same, jak owego, który mi kiedyś donna Izabella jako list Manueli dała do odczytania.

Manuela bystro patrzała tymczasem w twarz moją, jakie też wrażenie list ten na mnie uczyni; widziała niezawodnie uśmiech mój ironiczny, jak się parę razy na mojem obliczu pojawił. Skończywszy, nie mogąc dłużej ukryć mego oburzenia, zwracając list Manueli, zawołałem:

— Kłamstwo i podłość! nie przypuszczałem, aby donna Izabella była do tego stopnia przewrotną kobietą.

— Senior, nie zapominaj, że ona jest moją przyjaciółką.

— Ale nie godną twej przyjaźni, Manuelo! Chciej mnie tylko wysłuchać... jest to chwila nader uroczysta; nic ci nie zataję, wszystko wyznam, jak na świętej spowiedzi, a jeśli się przekonasz, żem winien... oto sztylet — rzekłem, podnosząc go z ziemi i do rąk jej oddając — możesz go utopić w mojem sercu.

Usiadłem na sofie obok Manueli i opowiedziałem jej szczegółowo wszystkie moje przygody, od rozstania się z nią: zatrzymanie przez bandę powstańczą, oswobodzenie, przybycie do Madrytu, poznanie się i mój oziębły stosunek z donną Izabellą, pobyt w domu doktora i wreszcie ową scenę na Prado, nie opuszczając najmniejszego szczegółu, a skończywszy opowiadanie, dodałem:

— A teraz, chcesz dowodów, to i ja ci złożę.

Rozpiąwszy zatem na piersiach mój mundur, pokazałem jej ów czarny woreczek z medalionem i pierścionkiem.

— Te dwie świętości — rzekłem — nigdy mnie nie opuszczają, spoczywając zawsze przy mojem sercu. Nawet w chwili, gdy już śmierć była tuż przed oczyma, nie chciałem się z niemi rozłączyć. Medalion mojej matki broni mnie od śmiertelnych pocisków, a twój pierścionek, jak pancierz, odbija wszelkie pokusy od mojego serca. A teraz chcę ci złożyć dowód jeszcze ważniejszy. Przybywszy do Malagi, w parę tygodni pisałem list do poczciwego doktora w Madrycie, opisując mu szczegółowo stan mego zdrowia i wpływ klimatu, kończąc pozdrowieniem jego żony i córki, oraz zapytaniem, czy nauki języka francuskiego nie zapomniała. Na ten list obszerną od doktora otrzymałem odpowiedź, do której i Marykita się przypisała, kilkanaście nakreśliwszy wierszy, wprawdzie nieszczególną francuszczyzną, ale chcąc dać mi dowód, że nauk moich nie zapomniała. Otóż ten dopisek, pełen dziecinnej naiwności, może ci dać jasne wyobrażenie o osobie, która go skreśliła.

List ten, przed paru dniami odebrany, miałem na szczęście przy sobie, dałem go więc do odczytania Manueli. Odczytywała go po kilka razy, a zwłaszcza przypisek Marykity. Nareszcie oddając mi go, rzekła:

— Tak, to jeszcze dziecko... ale czy piękna?

— Jeszcze nią nie jest, ale za parę lat być może, bo ma do tego wszystkie warunki.

— Jakie to szczęście, że jej jeszcze parę lat brakuje. Czuje, że byłabym zazdrosna i przez nią nieszczęśliwa.

Przysunąwszy się do mnie i oparłszy głowę na moich piersiach, zawołała, zanosząc się od płaczu:

— O, mój drogi Pablo! jacy my biedni! Dlaczego ci ludzie zazdroszczą nam tej chwilki szczęścia... tej naszej miłości? Och! jaki okropny ten świat i co za podli na nim ludzie! Ta moja przyjaciółka od serca, za którą bym oddała połowę mego życia... Co za haniebna zdrada! Chciała mi ciebie wydrzeć i rzucić mię w objęcia nienawistnego mi człowieka. Och! to okropne!... to woła o pomstę do nieba!

— Manuelo — rzekłem, obejmując jej kibić — zdaje mi się, że się uniewinnilem w twoich oczach, ale i ja mógłbym czynić ci zarzuty i mieć żal do ciebie, a mianowicie z racji zachowania się twego w cyrku podczas walki byków w Grenadzie.

— A! — zawołała — masz na myśli ów bukiecik, rzucony młodemu zapaśnikowi, którym był don Ramiro, mój blizki krewny, kochający się we mnie — ale, że bez wzajemności, chyba wiesz o tem — dodała z pieszczotą.— O mój drogi Pablo! przebacz biednej, znękanej cierpieniem kobiecie. Kiedy cię ujrzałam w cyrku, oburzenie moje przeciwko tobie wzrosło do najwyższego stopnia, chciałam ci też tym sposobem okazać moją pogardę. Zgrzeszyłam ciężko — prawda — ale mi to zapomnisz.

Kiedyśmy już wyczerpali przedmiot wzajemnych wyjaśnień, Manuela, patrząc mi w oczy, zapytała:

— Powiedz mi, drogi Pablo, czy mnie prawdziwie kochasz?

— Więc jeszcze wątpisz o tem?—rzekłem zdziwiony.

— O nie, nie, mój drogi! ja nie wątpię, ale chciałabym wiedzieć, czy miłość twoja wznieść się potrafi do tych ofiar i poświęceń, do jakich my, Hiszpanki, gdy szczerze pokochamy, zdolne jesteśmy. Ja kocham Boga, Najświętszą Pannę i Świętych Pańskich, jak każda kobieta mojego kraju, a jednak gotowabym duszę moją potępić dla ciebie; a cóż dopiero, jeżeli to poświęcenie tak wielkich ofiar nie wymaga. Zdradzić moich rodaków, moją ojczyznę, tego nie byłabym zdolna,—ale opuścić rodzinę, kraj mój, wyrzec się wszystkiego dla ciebie, na to jestem gotowa. A ty, Pablo?

— O najdroższa! — zawołałem — niema poświęcenia, którego bym dla ciebie nie uczynił, chociażby nawet z ofiarą mojego życia.

Mówiłem to szczerze, bo w usposobieniu, w jakim się znajdowałem, byłbym gotów rzucić się w przepaść za najmniejszą pieśczoć z jej strony.

— Ja ci wierzę, mój najmilszy, bo w słowach twoich jest tyle prawości i szlachetności, że o twoich uczuciach wątpić niepodobna. Ale dziś przyszła chwila, w której musisz mi dowieść, że miłość twoja to nie czeze słowo, urojenie, chwilowe odurzenie, ale głębokie uczucie, które nawet do najcięższych prób jest zdolne.

— Czegoż więc żadasz ode mnie? — zawołałem.

— Oto uciekajmy stąd jak najprędzej.

— Ale dokąd, dokąd?

— Do Gibraltaru, Anglii, Ameryki, a choćby i na koniec świata. byle jak najdalej od tych miejsc zapowietrzonych. Tu na każdym kroku grozi nam największe

niebezpieczeństwo. Połączenie nasze na ziemi hiszpańskiej jest niemożliwe!

— Ależ, droga Manuelo, zbyt groźnie wystawiasz sobie położenie nasze. Twoje trwogi niczem nie są uzasadnione. Przecież my tu mamy siłę, i to potężną siłę. Ja sam potrafię cię zasłonić i obronić od wszelkich nieprzyjaznych pokuszeń.

— O nie, nie, Pablo! to być nie może. Ty nawet domyślać się nie możesz, jak możnych i zawziętych mielibyśmy na każdym kroku nieprzyjaciół. My we dwoje bylibyśmy za słabi, aby móżdż się im oprzeć. Jabym codziennie w śmiertelnej była obawie, nie tylko o moje, ale i o twoje życie. Jedno tylko natychmiastowe oddalenie się z tych miejsc może nas ocalić.

— A więc — rzekłem — cóż chcesz, abym uczynił?

— Słuchaj, ja już dla siebie plan obmyśliłam, aby się uchronić od tych nienawistnych prześladowań. Chciałam się schronić do klasztoru; ten pewnoby mnie osłonił, ale klasztory zostały pokasowane, a jeśli gdzie się jeszcze znajdują, to i tych pewno krótko egzystencya. Pozostała więc mi tylko w rezerwie ucieczka. Mam tu paru znajomych rybaków, ludzi odważnych i gotowych do poświęcenia się dla mnie; oni codziennie wyjeżdżają na morze łowić ryby, a władze portowe nie stawiają im w tem żadnej przeszkody. Otóż, jeśli w porze wieczornej zjawi się w porcie oficer i młoda kobieta, którzy będą chcieli łódką zrobić spacer po porcie, a nawet i trochę dalej wyjechać na morze, to im nikt tego nie wzbroni i nawet podejrzewać nie będzie, aby mogli mieć jakie inne zamiary. Łódka będzie zaopatrzona w dobre żagle i kilku zręcznych wiosłarzy; raz wypłynąwszy z portu, rozwiniemy żagle i puścimy się ku Gibraltarowi, gdzie w kilka godzin powinniśmy stanąć, jeśli tylko będziemy mieli

wiatr pomyślny. Wszelka pogoń byłaby bezskuteczna. Rybacy mnie zapewniali, że to z łatwością da się wykonać i musi się udać. Więc cóż, zgadzasz się, Pablo?

— Dla ciebie na wszystko, moja najdroższa!

— Dzięki ci, mój Pablo! teraz jestem już spokojna i losu naszego pewna. Z Gibraltaru puścimy się w świat dalej, choćby do Ameryki. Na środkach materyalnych zbywać nam nie będzie, bo i o tem już pomyślałam. Ale jeszcze jedna mała prośba...

— Mów. Każda twoja prośba jest dla mnie rozkazem.

— Oto daj mi swój medalion. Jutro, najdalej pojutrze, będzie ci zwrócony. Wiem, jaką ma dla ciebie wartość, szanować go będę, jako największą świętość, — nawet na wypadek mojego zgonu zwrócony ci zostanie. Osoba, która ci go doreczy, posiadać będzie zupełne moje zaufanie. Co ci powie, staraj się to ściśle wykonać. Będzie to znak, albo, że zamiar nasz pomyślny uwieńczy skutek, albo, że dla nieprzewidzianych przeszkód zaniechać go musimy.

Kiedy jej oddałam medalion, rzekła przyciszonym głosem:

— Mój najdroższy Pablo! teraz, o teraz jam już twoja na wieki! — i, objąwszy mnie za szyję, namiętnymi zaczęła okrywać pocałunkami.

Ile czasu upłynęło w tem najwyższem dla serc naszych uniesieniu, tego oznaczyć mi niepodobna. Zdaje się, że to była jedna chwila — cudowna, jak raj, a przelotna, jak błyskawica. Kiedy u drzwi ukrytych dało się słyszeć lekkie stuknięcie:

— Pablo najdroższy! — zawołała Manuela, uchylając się z moich objęć — uchodź czempredzej, bo wszystko być może stracone. A pamiętaj, coś przyrzekł, gdyż od tego życie moje zależy.

Podprowadziła mnie do owych drzwiczek ukrytych, które się natychmiast otworzyły, a służąca, za niemi czekająca, przeprowadziwszy mnie przez kręte korytaryze i boczne schodki, wypuściła na jakąś niewielką i ciasną uliczkę, z której, zwróciwszy się przez zaułek, wyszedłem wprost na Alamedę.

Dochodząc do drzwi mojego domu, spotkałem naprzeciw mnie idącego jakiegoś człowieka, osłoniętego czarnym szerokim płaszczem, w czarnym kapeluszu o wielkim rondzie. Widać mu było zaledwie oczy, rzucające spojrzenia błyskawiczne, jakby sztylety; te oczy już nie po raz pierwszy w życiu spotkałem. Mężczyzna ów, doszedłszy do progu mojego domu, wbiegł do sieni i zniknął w jej cieniu. Wróciłem do kwatery.

VIII.

Wszedłszy do swego mieszkania, zastałem majora, szybkimi krokami chodzącego po pokoju.

— A niech ci Pan Bóg tego nie pamięta, jakie ty mnie tu wytrzymał. Pewnie ze cztery godziny. Przyznam ci się, że już zacząłem być o ciebie niespokojny, i gdybyś jeszcze z jakie pół godziny się opóźnił, to byłbym poszedł, aby cię odszukać. Widać, babuleńka musiała cię potężnie zainteresować, kiedyś u niej tak długo przesiedział.

Gdym mu na to nie odpowiadał, major, patrząc mi bystro w oczy, rzekł:

— Słuchaj, Pawle, jesteś mocno zmieniony i pomieszany. Tobie się jednak coś ważnego musiało wydarzyć.

— Ależ nie! — rzekłem, udając spokojność, a ponieważ w tej chwili obecność majora była mi zupełnie nie

na rękę, aby się od jego natrętnych pytań uwolnić, dodałem, siląc się na wesołość:

— Wiesz, majorze, że twój domysł był trafny, i gdybym był przyjął proponowany zakład, to byłbym przegrał kosz najlepszej malagi.

— He, he, he! i ty sądzisz, że mnie w pole wyprowadzisz, mnie, starego, szczwanego lisa? To się mocno mylisz. Przyznam ci się, że cię widzę w takim dziwnym usposobieniu, że nie byłbym twoim przyjacielem, gdybym cię w tej chwili miał samego zostawić.

— Ależ, majorze — rzekłem, nieco urażony — czyż sądzisz, żem ja zmysły postradał?

— Tego nie powiem — odparł major — i co ci jest, również objaśnić nie potrafię; uważam tylko, że stan duszy twojej w tej chwili nie jest wcale naturalny. Muszę ci bowiem powiedzieć, że, kiedy służyłem we Włoszech, w legionach, miałem przyjaciela w równym ze mną wieku, z którym kochaliśmy się, jak bracia, i nie mieliśmy jeden dla drugiego żadnej tajemnicy. Raz tedy przyszedłem do niego i zastałem go słowo w słowo w takim usposobieniu, w jakim ty się obecnie znajdujesz; a ponieważ wówczas byłem i młodszym i mniej doświadczonym, przeto na moje dopytywania zbył mnie, jak to mówią, ni tem ni owem, ot tak właśnie, jak ty pragniesz dziś mnie się pozbyć ze swego mieszkania. Ja uwierzyłem i odszedłem, i mam to sobie jeszcze dziś na sumieniu. W pół godziny potem dano mi znać, że sobie w łeb palnął. Gdy przybiegłem, już nie żył. Otóż, Pawle, zbyt cię kocham, abym ci pozwolił coś podobnego zrobić; dasz się, jak chcesz, ale daję ci słowo, że się stąd nie ruszę.

Nie było rady z majorem.

— Słuchaj — rzekłem więc — powiem ci, ale pod

warunkiem, że mi dasz słowo, iż nikomu ani piśniesz o tem, co się dowiesz, i nadto, nic nie przedsięweźmiesz w celu odwrócenia lub zniweczenia moich zamiarów.

— Byleś tylko sobie w łeb nie pałała, to masz moje słowo.

Major znał tajemnicę mojej miłości z Manuelą. Ale gdy mu opowiedział ze wszystkimi szczegółami dopiero co odbytą schadzki i postanowienie, jakie powzięliśmy, zawołał oburzony:

— Ależ to szaleństwo! Tego w żaden sposób dopuścić niepodobna.

— Majorze — rzekłem cierpko — daleś słowo honoru, że moim zamiarom żadnych przeszkód stawiać nie będziesz.

— Tak, to prawda. Ale walczyć przeciw nim drogą przekonania i rozumu, tego się nie wyrzekałem, i to spełnię święcie, aż do ostatniej chwili, choćby z narażeniem własnej osoby.

— Ależ, mój majorze, pozostaw też cośkolwiek mojemu zastanowieniu.

— Kiedy ty nie masz zastanowienia! Wy, zakochani, jesteście, jak te małe dzieci, które, ukrywszy swoje główki pod fartuch piastunki, sądzą, że ich nikt już nie widzi. Urojenia bierzecie za rzeczywistość; co sobie w rozgorączkowanej wyobraźni ułożycie, to wam się już wydaje, że to szach-mach natychmiast da się wykonać, i dopiero doznawszy przykrych zawodów, zaczynacie się otrzeźwiać ze swego oszołomienia. Weźmy, na przykład, ten wasz projekt ucieczki; wam się on wydaje łatwy i możebny, a tymczasem rzeczywiście nie jest w stanie najłżejszej wytrzymać krytyki. Przecież niema dnia, abyś nie był w porcie i nie widział tego mnóstwa przepływających koło naszych brzegów statków. Są to wojenne

lub korsarskie statki hiszpańskie, a niekiedy korsarzy z Algieru i Marokka. Każdy z nich czyha na jakąkolwiek zdobycz; my tylko od nich bronimy brzegów, ale, nie mając floty na morzu, nic nie możemy im zrobić. Otóż przypuśćmy, żeby wam się udało wypłynąć na morze. Jakaż pewność, że potrafiacie szczęśliwie dopłynąć do Gibraltaru? że nie zostaniecie pochwyceni przez który z tych statków korsarskich? A wtedy, zamiast owych spodziewanych rozkoszy małżeńskich, czekałaby was niewola u de ja algierskiego, lub stokroć dla ciebie gorsza w tarasach i lochach hiszpańskich. Już praktyczniejszą rzeczą byłoby poczekać, póki się nie pojawi jaki statek wojenny angielski. Jak tylko który z portu w Gibraltarze wypływa, natychmiast przez sztafety wojskowe sztab nasz jest o tem zawiadomiony i zwykle wiemy o tem wcześniej na jakie parę godzin, zanim przed naszym portem się pojawi, bo te statki dla nas są najgroźniejsze. Otóż wtenczas wypłynąć łódką na morze, uprzedzając przybycie statku, i następnie dostać się do niego na pokład, to jest przynajmniej jakaś szansa powodzenia.

Ten projekt majora tak mi się podobał, że objawiłem mu z zapalem całe moje zadowolenie.

— Jeżeli ci rzuciłem projekt — mówił major — to jedynie, aby dowodniej wykazać niepraktyczność waszego. Tu nie chodzi o projekty, ale o stronę moralną czynu. Czy ci też nie przyszło na myśl, że podobna ucieczka w naszym wojskowym regulaminie nazywa się dezercją?

— A cóż mnie to obchodzi?

— Powinno cię obchodzić, bo oficer polski, do tego szlachcic, bez ujmy własnego honoru dezertować ze stanowiska swego nie powinien, chociażby nawet dla najpiękniejszej w świecie kobiety.

— Mój majorze, powiedz mi, jakie tu jest nasze stanowisko? Nie bronimy ani naszej ojczyzny, ani praw najświętszych całej ludzkości. Przelewamy krew w sprawie dla nas wstrętnej, bo mordujemy naród, broniący fanatycznie tych samych zasad, t. j. wiary i niezawisłości, których my być winniśmy naturalnymi wyznawcami i obrońcami, a to wszystko dla dogodzenia nieograniczonej dumie jednego człowieka. Zresztą, jakąż my tu rolę odgrywamy? Pewnie niewiele lepszą od prostych rozbójników, a waleczność naszych oddziałów i nasze czyny bohaterские nie idą na naszą korzyść, ale na rachunek generałów francuskich, którzy nieraz wcale niezasłużenie zbierają stąd całą sławę i zaszczyty. Przyznam ci się, że opuszczenia takiego stanowiska nie uważam wcale za dezercję, ale poprostu za obowiązek.

— Ej, Pawle, powtarzasz tylko to, co już poprzednio, dosadniej może, wielokroć było wypowiedane. Ty, ja, koledzy nasi, nawet prości żołnierze, czujemy aż nadto dobrze niewłaściwość naszego tu położenia, a przecież nikt dotychczas szeregów nie opuścił. Dlaczego? bo nasz honor wojskowy na to nie pozwala. Nie przyszliśmy tu z własnej woli, ale za zgodą naszego narodu, obowiązkiem więc naszym wytrwać do końca. Ale porzućmy już ten przedmiot, gdyż widzę, że najzręczniejsze moje rozumowania nie potrafią zachwiać twego postanowienia. Jeżeli zwróciłem twoją uwagę na tę okoliczność, to jedynie, aby uratować przyjaciela od hańby, którą obrzuci opinia publiczna imię twoje, dotąd szanowane i z rodu i z zasług osobistych.

— Więc jakąż dajesz mi radę?

— Zerwać te stosunki.

— Ależ to być nie może. Przynależem, dałem słowo i nie cofnę go.

— Kiedy cię już tak miłość oślepiła, to idź przy-
najmniej drogą legalną. Podaj się do dymisji, a otrzy-
mawszy ją, jeśli już tak pokochałeś Hiszpanów, stań
nawet na czele jakiej bandy Gerylasów, a nic wtedy nie
będę miał przeciwko temu, będziesz zupełnie w swoim
prawie.

— Próbowałem już parę razy podawać się do dy-
misji, ale odmowną otrzymywałem zawsze odpowiedź.
Zresztą, jest to droga nazbyt długa, a czas przed sobą
mam krótki. Dziękuję ci, mój majorze, za rady przyja-
cielskie. Wysoko je cenię. Radbym w twej pamięci zawsze
dobre wspomnienie pozostawić, ale wpadłem w jakies
fatalne koło, z którego już się wyplątać nie potrafię.

— Żałuję cię, mój drogi Pawle, ale jeszcze nadziei
nie tracę, że to się da odmienić. Daj mi tylko słowo, że,
jeżeli byś w nocy odebrał wezwanie od twojej bohdarki,
zaraz mnie o tem zawiadomisz. Przeszkód ci nie stawię,
a może mi też przez ten czas przyjdzie jaki pomysł szczę-
śliwy.

Zapewniłem majora i rozstaliśmy się w najserde-
czniejszem usposobieniu.

Noc przebyłem niespokojnie, prawie bezsennie. Je-
żeli na chwilę przymknąłem oczy, to mi się przesuwały
jakies straszne widziadła, które mnie zaraz ze snu budziły.
Byłem w jakimś gorączkowem usposobieniu. Uwagi ma-
jora, którym nie mogłem odmówić słuszności, plan u-
cieczki, który coraz więcej wydawał mi się nieprakty-
cznym, wreszcie obmyślanie jakiegoś racjonalniejszego
punktu wyjścia, tak mnie nareszcie znużyły, że już do-
piero, gdy się dzień robił, twardo zasnąłem. Spałem tak
może z godzinę, gdy usłyszałem mocne stukanie do mo-
jej kwatery. Zerwałem się niespokojny i otworzyłem.
Był to major. Powiedział mi, że i on także niewiele spał

tej nocy, przemyśliwając głównie nad mojem położeniem; że zdaje mu się, iż wynalazł środek, a choć może niezupełnie doskonały, to zawsze lepszy od projektu, przez nas ułożonego. Plan majora zasadzał się na tem, abyśmy z Manuela, udali się do Madrytu. Za kilka dni miała właśnie wyruszyć wyprawa w tym kierunku. Ja mogłem dostać komendę, a Manuela pod moją opieką i silną eskortą, jaką zwykle takim wyprawom towarzyszyła, mogłaby się bezpiecznie dostać do Madrytu. Tam jużby nam nic nie przeszkodziło zawrzeć związek małżeński; ja następnie mógłbym otrzymać dymisyę i razem z żoną swobodnie opuścić Hiszpanię. Przez te parę dni, któreby nam jeszcze przyszło przepędzić w Maladze, możnaby nas, przy pomocy majora i kolegów, otoczyć takim bezpieczeństwem, że wszelkie najnieprzyjaźniejsze pokuszenia naszych nieprzyjaciół musiałyby pozostać bez skutku. Ten projekt dosyć mi się podobał.

— Ale wiesz — rzekł major — musi się przygotowywać coś ważnego. Wprawdzie od rozstania się z tobą, nikogo nie widziałem, coby mógł mi o tem coś powiedzieć, ale z ruchu, jaki między wojskiem panuje na mieście, domyślam się, że się zanosi na coś ważnego. Poleciałem ordynansowi, aby, jeżeli jaki rozkaz nadejdzie, przyniósł mi go tutaj bezzwłocznie.

Nie upłynęło i pół godziny, kiedy nadszedł ordynans z rozkazem, aby major ze swym batalionem był gotów natychmiast do wymarszu. Major więc czemprędzej udał się do klasztoru, w którym był jego batalion pomieszczony, aby wszystko przygotować i oczekiwać następnego rozkazu, kiedy i dokąd ma z batalionem wyruszyć. Ja postanowiłem dzień cały nie wychodzić o kwatery, oczekując na posłańca Manuela.

W parę godzin wpadł znów do mnie major, przynosząc następujące wiadomości.

Generał głównodowodzący odebrał zawiadomienie, że z Gibraltaru ma wyruszyć nowa wyprawa, daleko silniejsza od tej, jaka miała miejsce przeciw Fuengirola, a ponieważ nie wiadomo, gdzie ma zamiar uderzyć, generał wysłał silne oddziały, jeden w kierunku Gibraltaru, drugi w kierunku Motrilu, dla obrony brzegów, sam zaś pozostaje w Maladze, dla strzeżenia tego miasta i portu; że w porcie wielki ruch panuje: baterye w liczbę dział powiększono i strażę zdwojono, tak, że ani podobna przypuścić, aby komukolwiek dozwolono z portu wypłynąć łódką na morze; wreszcie, że sam major z batalionem swoim wyrusza o północy brzegiem morza w kierunku Motrilu.

Do tych wiadomości dodał major, że generał jest w jak najgorszym humorze, a to z powodu dwulicowego zachowywania się mieszkańców Malagi. Pozornie bowiem jest niby w mieście spokój, tymczasem codziennie prawie wydarza się coś takiego, co dowodzi, że ludność jego jest silnie podminowana; a taką tajemnicą ów piekielny związek się otacza, że choć się pochwyci jakąś nitkę, to niepodobna dosnuć się do kłębka. W ciągu dni ostatnich znikło kilka zamożniejszych osób, przychylnych nowemu porządkowi rzeczy; parę z nich znaleziono w okrutny sposób zamordowanych; dzisiejszej znów nocy porwano podobno jakąś z zamożniejszego rodu kobietę; jeden ze zbirów, przechwalający się, że do tego napadu należał, został ujęty, ale przy śledztwie wyparł się wszystkiego i nic nie można było z niego wydobyć; zdaje się, że dziś lub jutro będzie powieszony.

Na tę wiadomość o porwanej kobiecie, zadrżałem, bo mi zaraz na myśl przyszła Manuela.

Jeszcze major nie odszedł, kiedy mi przyniesiono rozkaz stawienia się w sztabie.

— Cóż mam teraz robić? — niespokojny spytałem majora.

— Pójść do sztabu i dowiedzieć się, jaki jest rozkaz dla ciebie.

— A jeżeli tu przyjdzie posłaniec?

— To ja cię zastąpię, a jeżeliby nie chciał mi powierzyć swojej misyi, zatrzymam go tu do twego powrotu.

— A jeżeli mnie w sztabie dłużej zatrzymają?

— Nie sądzę. Ale w takim razie postaraj się prędzej uwolnić z powodu przygotowań, jakie musisz zrobić do wymarszu.

Nie poszedłem, ale pobiegłem i w kilkanaście minut byłem już z powrotem.

— Wiesz, majorze, o drugiej po północy mam się stawić w mieszkaniu generała do odebrania depeszy... Cóż wtenczas pocznę?

— A, mój Pawle! — rzekł prawie groźnie major — otrząśnij-że się raz z tej bezwładności, w jaką wpadłeś. Dziecko pięcioletnie na twojem miejscu potrafiłoby dać sobie radę, a ty nie wiesz, co robić? Powinieneś stawić się w oznaczonym czasie u generała i spełnić jego rozkazy.

— Ależ...

— Tu niema żadnego ale. Nie stawisz się, to pójdziesz do aresztu, a nawet za nieposłuszeństwo pod sąd wojenny cię oddadzą, wątpię więc, czy na tem co zyskasz. Z tego, co już wiesz ode mnie i o czem mogłeś się i w sztabie dowiedzieć, przekonałeś się dowodnie, że ucieczka morzem jest obecnie niemożliwa.

— Ależ ona może jakąś inną obmyślić kombinacyę.

— Żadnej. Przy ruchu wojsk, wszystkie wyjścia miasta są najściślej strzeżone; nikt poza mury, bez specjalnego pozwolenia naczelnika sztabu, wydalić się nie może. Nie znam twojej Manueli, ale przypuszczam, że przecie musi mieć tyle zdrowego rozsądku, iż ani ciebie, ani siebie na najniewątpliwsze niebezpieczeństwo nie zechce narazić.

Ta uwaga majora, znacznie mnie uspokoiła.

Gdym był w sztabie, oddano mi list od mojej matki. Pisząc, że czuje się bardzo niezdrową, błagała, bym postarał się o dymisyę i wracał czempędzej do domu.

Jeżeli list ten pocieszył mnie tem, żem odebrał od matki wiadomość, to i głęboko zasmucił co do stanu jej zdrowia, i rzucił nowy niepokój do duszy, tylu wrażeńiami skolatanej. Chciałem choć trochę wypocząć, ale sen nie przychodził, a jeśli na chwilę zdrzemnałem, to jawiły mi się zaraz w fantastycznych kształtach postaci matki i Manueli, nawzajem mnie sobie wydzierające, które mnie ze snu budziły.

Z niecierpliwością więc oczekiwałem godziny stawienia się u generała. O w pół do drugiej byłem już na jego pokojach, a o punkt drugiej odebrałem opieczętowaną depeszę, z którą w asystencyi plutonu naszych ułanów miałem się zaraz udać w kierunku Motrilu, dogonić na tej drodze oddział wojsk naszych, poprzednio wysłany, a doreczywszy depeszę dowódcy oddziału, do jego zastosować się rozporządzeń. Pluton ułanów, już gotowy do wymarszu, zastałem przed kwaterą generała, objawszy więc natychmiast komendę i nie wracając już do swojej kwatery, puściłem się w drogę.

W godzinę potem spotkałem wojsko nasze, biwakujące nad brzegiem morza, w miejscu, gdzie droga nadbrzeżna pod kątem prostym zwraca się w dolinę mia-

steczka Velez-Malaga. Dowódca oddziału, odebrawszy depeszę, oddzielił część sił swoich, złożonych z batalionu majora, dwóch kompanii francuskich, dwóch dział górskich i plutonu ułanów, przeze mnie przyprowadzonego, polecając, aby jeszcze przed świtem zająć Velez-Malagę, gdzie dwie kompanie francuskie pozostać miały. Ja, jako inżynier, stosownie do udzielonego mi planu, miałem z ułanami otoczyć to miasteczko, rozstawić warty na wszystkich drogach, ścieżkach i przejściach, do miasteczka prowadzących, wpuszczając doń każdego, a nie wypuszczając poza łańcuch nikogo. Dopelnivszy tego, miałem zdać komendę nad ułanami oficerowi, dowodzącemu plutonem, sam zaś przejść pod rozkazy majora. Major ze swoim batalionem i dwoma działami górskimi miał udać się zaraz w góry, zatrzymując każdego spotkanego po drodze, z których miał sobie wybrać przewodników.

Z tych rozporządzeń łatwo domyślić się można było, że cała ta wyprawa nie przeciw Anglikom, ale przeciw powstańcom była wymierzona.

Zwróciwszy się na drogę do Velez-Malaga, weszliśmy w głęboki wąwóz, a przeszedłszy przez starożytny most nad wyschłym strumieniem, zasilanym jedynie przez wody deszczowe, znaleźliśmy się w cokolwiek obszerniejszej dolinie, której wzgórze okryte były winnicami. Jest to kraj rodzynków, których Velez-Malaga dużo produkuje; w każdej też winnicy stał rodzaj oszklonej cieplarni, przeznaczonej do suszenia rodzynków. Minąwszy te wzgórze, przechodziliśmy pola, zasadzone trzcina cukrową, poza którymi ukazało nam się miasteczko, otoczone grupami topoli srebrnych, czarnych i kanadyjskich, które, stanowiąc niby jedną całość, malowniczo różnobarwność swych liści mieszały.

Przybywszy do miasteczka, zastosowaliśmy się ściśle do zawartego w depeszy rozkazu generała. Rozprowadziłem łańcuch ułanów stosownie do planu nadzwyczaj dokładnego, a mieszkańcy, którzy podówczas w słodkownie jeszcze byli pogrążeni, musieli niepomalu się zdziwić, znalazłszy się tak ściśle zablokowanymi.

Wypocząwszy parę godzin w mieście, major z batalionem i działami, osadzonemi na grzbiecie mułów, puścił się w pochód ku góróm, ja zaś z planem, na którym drogi dokładnie były oznaczone, winienem był poprowadzić oddział. Major miał sobie oddaną opieczętowaną depeszę, którą dopiero miał otworzyć, przyszedłszy do wskazanej mu miejscowości. Drogi nasze, a właściwie ścieżki, wily się długi czas pomiędzy winnicami, a chociaż spadki gór, na które wypadało nam wstępować, były dosyć łagodne, to jednakże droga, z powodu swej kamienistej natury, stawała się coraz więcej utrudzającą, tak, że dopiero po całodziennym marszu, nad wieczorem, stanęliśmy w małej wioseczce, położonej u stóp olbrzymio piętrzących się ścian skalistych.

Na całej drodze nie spotkaliśmy nikogo, w wiosce również nie znaleźliśmy żywej duszy; mieszkańcy musieli widać z całym dobytkiem swoim przed naszym nadejściem ustąpić w góry. Tu major otworzył depeszę, w której było polecenie, abym ja, wzięwszy kompanię strzelców, nie mającą kapitana, gdyż ten leżał w lazarecie, poprowadził ją w góry i zajął wentę (karczmę), o godzinę drogi stamtąd odległą. Ta wenta położona była na krzyżowym przecięciu dwóch ścieżek górskich. Tam, jeślibym miał być atakowany przez powstańców, miałem się bronić do ostateczności, w razie zaś sił przemagających, cofać się do stanowiska majora; chodziło głównie, aby nie dopuścić przejścia przez ten punkt powstańcom.

Nacisk też był położony, aby jeszcze tegoż samego dnia wenta była przez nas zajęta.

Trzeba było żołnierzowi, strudzonemu całodziennym marszem, dać cokolwiek wypoczynku i posilić się trochę. Niedługo jednakże. Ponieważ już się dobrze ściemniać zaczęło, a nie miałem przewodnika, któryby nas poprowadził, i nie mogąc się w ciemności posługiwać moim planem, przypatrzwszy się dobrze kierunkowi drożyny, zebrałem oddział i puściłem się z nim pieszo w góry; konia mego pozostawiłem majorowi, gdyż mógł mi być tylko zawadą, a nie pomocą na wązkich ścieżkach górskich. Droga od samego początku była trudna i ciężka, bo stromo na góry się podnosząca. Na domiar złego, po mniej więcej półgodzinnym, nader powolnym marszu, opuściły się chmury w górach i zaczął padać drobny, przenikliwy, jesienny deszczyk, a tak zrobiło się ciemno, że z największą tylko trudnością można było ślad ścieżki rozpoznawać. Tu już zostaliśmy zupełnie na łasce Opatrzności.

Oddział postępował gęsiego, to jest jeden za drugim, powoli i z największą ostrożnością. Ścieżka w niektórych miejscach była tak wązka, że żołnierze musieli się bokiem opierać o ścianę skalistą, ażeby się nie stoczyć do przepaści, czerniącej się po drugiej stronie drożyny. Tak posuwając się, szliśmy już pewnie więcej, niż dwie godziny, a tymczasem wenty ani śladu. Domyśliłem się, żeśmy musieli drogę w górach zmylić. Cofać się było niepodobiestwem, bo obślizłemi od deszczu ścieżkami bezpieczniej było pisać się pod górę, aniżeli na dół zstępować: mógłbym z połowę mojego oddziału w przepaściach utracić. Postanowiłem więc, natrafiwszy wśród gór na cokolwiek obszerniejszą płaszczyznę, tam się z oddziałem zatrzymać i zabiwakować.

Kiedy tak się biedzę z myślami, co tu dalej robić, nagle wśród ciemności błysnęło nam światelko. Otucha w cały oddział wstąpiła: światło było przed nami i nieruchome, a więc wychodzące albo z wenty, albo z jakiego innego budynku. Postępujemy więc dalej ścieżką naprzód, ale do światła nie zbliżamy się prostą drogą; widzimy tylko, jak się od nas to oddala, to znowu przybliża; raz nawet byliśmy już tak blisko, że się nam zdawało, iż najdalej za dziesięć minut będziemy u celu, tymczasem znów zaczęliśmy się oddalać, a nawet była chwila, żeśmy je stracili z oczu. Z kierunku jednak drogi poznałem, że musi ona prowadzić ku temu światłu, tylko kręto, dalekim obchodem, jak to zwykle w górach bywa.

Po całogodzinnym takim marszu, od chwili ukazania się światła, stanęliśmy wreszcie przed bramą i jakimiś murami.

Był to kastel, który prawdopodobnie należał do owych forteczek maurytańskich, które niegdyś osłaniały dolinę Chenilu i broniły przystępu do stolicy i pałaców kalifów grenadzkich.

Przebywszy most, przerzucony śmiałym łukiem przez przepaść, podeszliśmy aż pod ciężkie podwójne wrota, z grubych dębowych bali złożone i gęsto gwoździami nabite, prawie niepostrzeżenie, gdyż o takiej porze nikt się nie mógł nas w tem miejscu spodziewać. Pragnąc jednak, żeby się te wrota przed nami otwały, kilku żołnierzy zaczęło w nie walić gwałtownie kolbami; hałas był tak mocny, że się echem o najbliższe odbijał skały. Jakoż niedługo pokazało się światło w małym zakratowanym okienku, umieszczonem tuż obok bramy, i, jak się zdawało, majordomo tego zamku, przyciskając twarz do kraty i przyświecając sobie latarką, by dojrzeć, kto

sprawia ten hałas, zapytał: co my za jedni i czego chcemy.

— Jesteśmy żołnierze w służbie Jego Królewskiej Mości Najjaśniejszego Pana Józefa I-go i, w imieniu panującego i prawa, żądamy wpuszczenia nas do zamku.

— To niepodobna — rzekł majordomo — pora jest nazbyt spóźniona. O tej godzinie nikogo do zamku nie wpuszczamy.

— Ale nas wpuścić musicie — rzekłem — bo jeśli tego dobrowolnie nie uczynicie, to potrafiemy bramę sami sobie otworzyć.

— Właściciel zamku już śpi, a klucze od bramy są u niego. Możecie sobie bardzo wygodnie tę noc pod bramą przepędzić.

— Kłamiesz! — zawołałem zniecierpliwiony groźnie — klucze muszą być u ciebie. Daję ci pięć minut czasu do otworzenia bramy. Jeżeli w tym czasie tego nie dopełnisz, wysadzimy bramę petardami i postąpimy, jak z miejscem, zdobytem szturmem: wszystko, co żyje, padnie pod żelazem, zamek pójdzie na łup żołnierzy i nie zostanie z niego nic, prócz kupy gruzów i popiołu.

Ta groźba zaniepokoiła widać majordoma, ale, nie wiedząc, z jaką siłą ma do czynienia, odpowiedział:

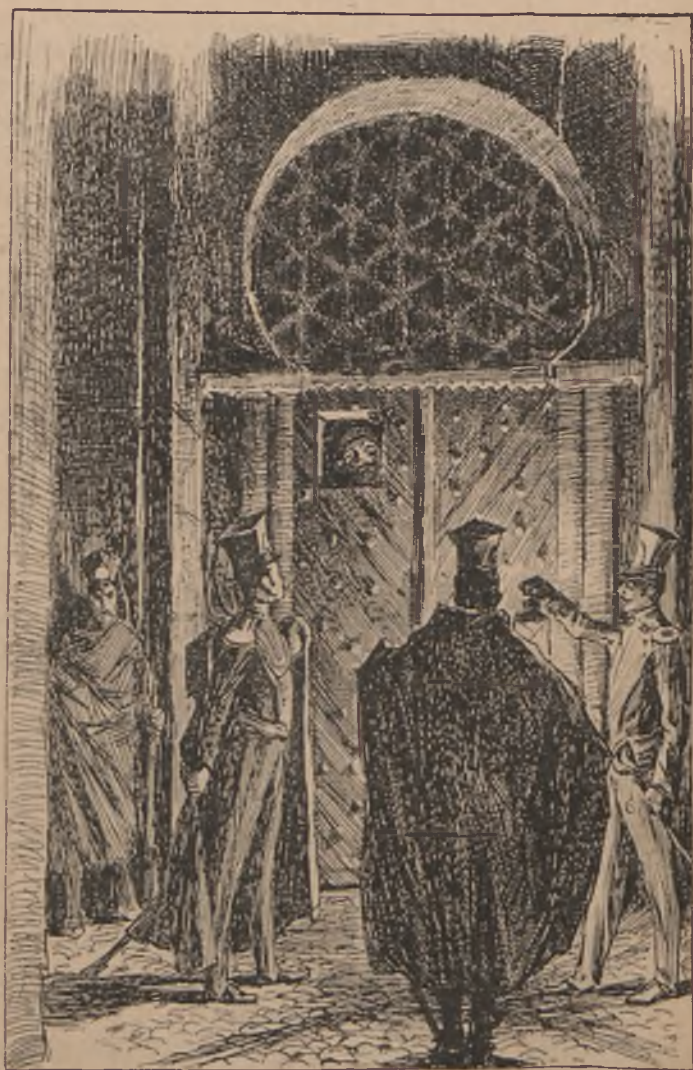
— Ależ może panowie nie jesteście wcale żołnierzami, tylko jakimi włóczęgami, którzy się tu snują po okolicy.

— To przyjdź do nas i przekonaj się.

— Nie mogę, bo nie mam kluczy przy sobie.

— To spuść nam swoją latarkę, to ci się pokażemy, abyś nam się mógł dobrze przypatrzeć.

Jakoż podał nam latarkę. Ja i porucznik odsłoniliśmy nasze płaszcze, aby mu okazać nasze mundury i epolety, a przechodząc ze światłem pomiędzy żołnierzami, da-



Ja i porucznik odsłoniliśmy nasze płaszcze.

liśmy mu sposobność przekonania się, kim jesteśmy i z jaką poważną siłą przychodzimy.

Kiedy zwróciliśmy mu latarkę, rzekłem:

— Potrzebujemy tylko na dzisiejszą noc dachu i spoczynku. Jutro rano opuścimy zamek. Ale jeżeli nam jakikolwiek stawicie opór, postąpimy z wami po nieprzyjacielsku, a widziałeś, że mamy i siłę i środki po temu.

— Senior colonello, wybacz mojej nieufności, ale w dzisiejszych czasach ostrożność jest konieczną. Biegnę zaraz po klucze do mego pryncypała, żeby wam bramę otworzyć, ale pięć minut to trochę za mało, dajcie przynajmniej piętnaście.

Zgodziłem się na to, zalecając jednak pośpiech, bo po upływie kwadransa petarda (której, prawdę mówiąc, nie miałem) pod bramą będzie zapalona. Kiedy oczekujemy na powrót majordoma, ja tymczasem wywołałem z pomiędzy żołnierzy jednego, nazwiskiem Józwicka, i zdala go od innych aż za most odprowadziłem.

Był to chłop z mojego majątku; gdym był małym jeszcze chłopięciem, on był już wyrostkiem. Służył we dworze przy stajni — był forysiem. Lubilem go bardzo, bo kręcił mi bicze, uczył z nich trzaskać i podprowadzał mi zawsze konika do wierzchu. Gdy oddano mnie do szkół, straciłem go z oczu. W czasie ustanowienia Księstwa Warszawskiego Józwick wzięty został w rekruty i pomieszczony w pułku, który następnie dostał przeznaczenie do Hiszpanii.

Przez kilka lat służby wyrobił się on na dzielnego żołnierza; nie umiał ani czytać, ani pisać, ale był bystry, łatwo rzecz pojmujący, z wielkim zasobem zdrowego rozsądku, który my chłopskim rozumem nazywamy. Był przytem odważny, nieustraszony, w bitwie zawsze na przedzie, w odwrocie na ostatku: dwa razy już był

ranny w ciągu tej kampanii i to nawet dosyć ciężko, ale z tych ran szczęśliwie się jakoś wylizał. Słowem, był to typ prawdziwego polskiego wojaka, jakich się wielu z włościańskiego stanu podówczas w wojsku naszym wyrobiło, t. j. nieustraszonego w boju, pobożnego, prawego, a nawet i szlachetnego.

W Maladze Józwik często mnie odwiedzał, a ja w wolnym czasie udzielałem mu początków czytania, do czego z wielką się brał gorliwością.

Otóż kiedy odprowadziłem go na bok, rzekłem do niego:

— A wiesz Józwik, żeśmy haniebnie zabłądzili!

— Już ja to oddawna miarkowałem.

— A po czem miarkowałeś?

— A po tem, proszę pana kapitana, że pan major powiedział, że mamy tylko godzinę marszu, a my tu dobre trzy godziny maszerowaliśmy.

— Słuchaj, Józwik, trzebaby majora o tem zawiadomić, aby wiedział, gdzie nas jutro szukać. Ten zamek wydaje mi się coś podejrzany.

— Ba, i bardzo! toć to prawdziwe gniazdo zbójcekie.

— A czy ci się uda trafić do wioski, gdzieśmy pana majora zostawili?

— A dlaczegożby nie. Pójdę napowrót tą drogą, którąśmy przyszli, to da Pan Bóg i trafię; a nawłoczyłem się już niemało po tych górzyskach, tom się dobrze obeznał z tutejszemi ścieżkami.

— Ruszaj więc — rzekłem — a dla bezpieczeństwa przybierz sobie jeszcze ze dwóch wiarusów.

— A to na co? Proszę pana kapitana, tobym tylko miał z nini kłopot niepotrzebny. Ja sam dam sobie radę. Chociaż noc taka ciemna, ale dobrze widzę w ciemności. Jeśli spotkam jakiego zbója, to, nim on mnie dostrzeże,

ja się z nim załatwię; a jeżeliby ich było kilku, to ja się wcześniej przed nimi ukryć i przyczaić potrafię. Już to pan kapitan może być spokojny, że dostanę się do pana majora i to nawet niedługo, bo z góry łatwiejsza droga, niż pod górę.

— A może zostawisz któremu z twoich kamratów swój pakunek. Będzie ci lżej w drodze.

— E, nie, panie kapitanie. Żołnierz powinien zawsze mieć przy sobie cały swój rynsztunek.

To rzekłszy, pożegnał mnie i zniknął w ciemności. Zjawił się wreszcie majordom, a właściwie klucznik. Słychać było odsuwanie ciężkich rygli i skrzypienie klucza w zamku; wkrótce otworzyła się mała furtka, w bramie osadzona. Furtka wązka dawała przejście zaledwie na jednego człowieka. Przekonawszy się przy świetle latarni, że brama jest dosyć obszerna i głęboka, poleciłem żołnierzom wchodząc sformować się zaraz w bramie frontem do podwórza, bo deszcz ani na chwilę nie ustawał, a chociaż był drobny, nawskroś nas jednak przemoczył. Gdy już wszyscy weszli, a ja z porucznikiem na ostatku, i gdy klucznik furtkę ona napowrót zamknął, poprosiłem go grzecznie o oddanie mi kluczy.

— Nie mogę tego zrobić — rzekł zakłopotany.

— Musisz — odpowiedziałem mu stanowczo. — Gdy oddział królewski zajmuje jaką miejscowość, dowódca oddziału staje się komendantem tego miejsca i do jego rozkazów wszyscy stosować się muszą, a bez jego wiedzy nikt wpuszczony i wypuszczony być nie może.

Klucznik, rad nie rad, złożył klucze w moje ręce.

— A teraz — rzekłem — pokaż nam, gdzie będziemy mogli przenocować.

Porucznika pozostawiłem w bramie, oddawszy mu klucze i dowództwo nad całym oddziałem, a sam, wzią-

wszy sześciu ludzi, kazałem się klucznikowi z latarką prowadzić. Potrzebowałem przede wszystkim zbadać całą miejscowość i tak się urządzić, ażeby, w razie wypadku, nie dać się złapać, jak mysz do pułapki.

— Senior colonello — rzekł klucznik, kłaniając się z wielką uniżonością — mój pan żałuje bardzo, że nie może osobiście was powitać, ale jest chory i w łóżku leży. Zajmuje właśnie ten środkowy budynek ze swoją rodziną i domownikami; sam szczupłe ma pomieszczenie, a potrzebuje spokojności. Ma nadzieję, że Wasza Ekscelencyja tak się urządzić potrafi, że on nie będzie przez żołnierzy niepokojony.

Krótko mówiąc, chodziło o to, żeby owego budynku nie zajmować pod kwaterę żołnierzy.

— Więc gdzież nas pomieścić zamierzacie?

— Jest tu obszerna, niezajęta oficyna. Tam możeby najdogodniej było Waszej Ekscelencyi. Tylko, co prawda, jest cokolwiek zniszczona.

— Oprowadź nas po całym zamku — rzekłem — żebym się mógł obeznać z miejscowością, a potem ci dopiero objawię moją decyzję.

O ile w takiej ciemności i przy świetle słabo świecącej latarki mogłem się zorientować, skała, na której zamek był zbudowany, musiała mieć powierzchnię prawie okrągłą. Czy ona była odosobniona naturalnie od skalistego gór łańcucha, czy też sztucznie oddzielona, tego rozpoznać nie mogłem. Zdaje się, że musiał to być ostateczny cypel skał, długim pasem wchodzących w głęboką dolinę, tą właśnie okrągłą powierzchnią zakończony, która wązkim przejściem z owym się pasem łączyła. Na tem to przejściu, nad wązkim, ale głębokim parowem, był most rzucony; za owym mostem była brama, o której wyżej wspomniałem, z dwoma po bokach basztami, od

której na prawo i na lewo ciągnęły się inne budowle. Podwórze było niewielkie; w głębi naprzeciwko bramy stał kwadratowy budynek piętrowy, odosobniony, z głównymi drzwiami wprost bramy, dotykający wysokiej wieży. Sam budynek był w dobrym stanie; parter miał niewielkie okna, gęsto zakratowane i dosyć wysoko ponad ziemią umieszczone; na piętrze okna większe, ale nie liczne, w których widać było światło — zapewne mieszkanie gospodarza. Wieża, o ile rozpoznać mogłem w ciemności, była mocno zniszczona; na niej był zegar, który w chwili, gdyśmy koło niej przechodzili, wydzwoił dziewiątą. Brama, z dwoma broniącymi ją basztami, była od spodu w dosyć jeszcze dobrym stanie, ale część górna stanowiła kompletną ruinę. Po prawej stronie podwórza niewielki budynek, opierający się o basztę, stanowił stajnię, w której stało kilka mułów, przeżuwiających trawę, ale nikogo z ludzi przy nich nie było.

Po drugiej stronie podwórza, naprzeciw stajni, stał długi budynek parterowy, stanowiący oficynę, który również łączył się z basztą, ale z tą po lewej stronie bramy położoną. Budowla ta była w wielkim zaniedbaniu i upadku; nie było jednego całego okna, u niektórych wisiały nawpół oderwane żaluzye, w innych tkwiły jeszcze błony, ale mocno podziurawione.

W środku było wejście do obszernej sali, czy też sieni, w której znajdował się wielki komin, zdaje się do użytku kuchennego. Z jednej i drugiej strony owej wielkiej sieni był szereg niewielkich cel z wyjściem na wązki, długi korytarz i małemi okienkami na podwórze.

Druga ściana korytarza miała powykuwane strzelnice, a zbudowana była właśnie nad owym wązkim wąwozem. Korytarz jednym końcem łączył się z basztą,

w drugim zaś miał pojedyncze, ale mocne drzwi dębowe, dwoma ryglami zamknięte.

Dodać winienem, że żaden z tych budynków nie łączył się z budynkiem środkowym bezpośrednio, tylko pojedynczym dosyć wysokim murem, tak, że podwórze stanowiło pewną zamkniętą całość.

Kazałem sobie otworzyć owe drzwi zaryglowane w końcu korytarza oficyny, i wyszedłem niemi na wążki taras, ciągnący się po drugiej stronie głównego gmachu, a w części owymi murami, o których wspomniałem, od podwórza oddzielony; z tarasu było wejście do wieży, dotykającej głównego gmachu. Taras otoczony był także murem, ale nie wysokim, sięgającym zaledwie do piersi, i w stanie bardzo zaniedbanym. Mur ten, z zębatymi blankami, stał na krawędzi skalistych ścian pionowych; jaka była głębokość tej przepaści, przy latarce rozeznacć nie mogłem, ale musiała być znaczna, gdyż potok, który tam szumiał po kamieniach, zdawał się być w wielkiej odległości.

Obejrawszy z największą dokładnością całą miejscowość, wydałem odpowiednie rozporządzenia. Bramę i dwie przyległe baszty oddałem pod komendę porucznika i 24-ch żołnierzy. Resztę, a miałem wszystkiego 96-ciu ludzi, umieściłem w owej sieni w oficynie, sam zajmąwszy obok jedną celę, najmniej zniszczoną, w której, chociaż w jednym rogu sufit był przedziurawiony, można było jednak od biedy noc przepędzić, gdyż przynajmniej za kołnierz nie ciekło.

W innych celach, z sufitami zapadłymi i gruzów pełnemi, kazałem umieścić warty, z uwagą szczególniejszą zwróconą na główny budynek i na światło, które tam w oknach świeciło. Na tarasie warty nie stawilem, uważając, że stamtąd żadne nie może nam zagrażać niebez-

pieczeństwo; nie chciałem też zbyt trudzić żołnierza; zresztą drzwi były dubeltowymi ryglami zatarasowane.

Wydawszy te rozporządzenia, zażądałem od klucznika, by nam dostarczył świec, słomy na posłanie, drzewa do rozpalenia ognia na kominie i oliwy do nasmarowania zawias i rygli, za które to rzeczy obiecałem mu natychmiast zapłacić, a nadto jaki stolik i z parę krzesełek. Wymawiał się, że nie posiada tego wszystkiego, ale, gdym mu zagroził, że, jeśli nie dostarczy, to sami sobie poszukamy, aby uchronić się od naszej rekwizycji, przyrzekł, że co będzie można, zaraz dostarczy.

Jakoż wkrótce przy pomocy dwóch pachółków przyniesiono nam wszystko, czegośmy żądali; ja też zaraz za drzewo, światło i słomę według obietnicy mu zapłaciłem. Gdyśmy za tę usłużność jeszcze klucznikowi dziękowali, ten zwrócił się do mnie z prośbą od swego pana, czybym nie raczył na podanej mi karteczce zapisać mego imienia, nazwiska i stopnia, jaki zajmuje, oraz i drugiego oficera, aby mógł wiedzieć, jakie dostojne osoby ma szczęście w murach swoich posiadać, tem więcej, że, znając wielu oficerów naszej armii, pragnąłby wiedzieć, czy między nami nie ma sobie znajomego.

Wymienił mi też nazwisko właściciela zamku, ale było mi ono zupełnie nieznanne. Nie widząc żadnego powodu odmówienia żądaniu właściciela, na podanej sobie karteczce zapisałem ołówkiem nasze nazwiska i godność. Uważając z tego, że jakoś dosyć dobry stosunek zaczyna się między nami a panem zamku ustalać, zaproponowałem klucznikowi, czyby nam się o żywność, a szczególnie o chleb nie mógł postarać.

— Ach, senior! — zawołał — my tu chleba wcale nie znamy. Żyjemy wśród takich skal bezpłodnych, gdzie się w żywność z największym trudem zaopatrujemy.

Kiedy mamy trochę suchego owocu garbanzos i cebulę, to już uważamy to za wielki zbytek; a i na tem bardzo często nam zbywa, jak właśnie w chwili obecnej.

Jak tylko objeśliśmy w posiadanie ów budynek, zwany oficyną, zaraz się w nim rozgospodarowaliśmy, i ruch zrobił się wielki. Założono duży ogień na kominie, ponaprawiano drzwi, wysmarowano oliwą zamki i zawiasy, żeby się nie zacinały, okna pozasłaniano, by nie było widać, co się u nas dzieje i robi, rozwieszając w nich płaszcze, które się tym sposobem też suszyły; z komnat, przez nas zajętych, usunięto gruzy — słowem, urządzono wcale przyzwoitą i porządną kordegardę.

Kiedyśmy tak mieszkanie nasze do porządku doprowadzali i na rozeslanej około ścian słomie żołnierze do spoczynku już się kładli, zjawił się klucznik, a za nim dwóch pacholków, dźwigających dwie duże kozie skóry, winem napełnione, oświadczając, że pan jego, nie mogąc zadosyć uczynić naszemu życzeniu co do żywności, przysyła nam w prezencie wino i, jak się wyraził: *vino mus anexo*, t. j. samo stare. Na wzmiankę o winie, cały mój oddział zerwał się na nogi.

Kazałem uprzejmie za ten dar właścicielowi podziękować, ale rzekłem do klucznika:

— Kiedy twój pryncypał sam do nas tego wina przepić nie może, musisz ty jego miejsce zastąpić i z każdej kozy pierwszą czarbkę wychylić.

Domyślił się, że tu chodzi o to, czy czasem wino nie jest zatrute.

— A, z największą chęcią — zawołał — takiego, jak to wino, to się za kołnierz nie wylewa.

Utoczono więc pierwszą miarkę. Klucznik, sklaniając się nam, wychylił ją do połowy i resztę dał wypić jednemu ze swych pacholków. To samo miało miejsce z dru-

gą miarką, z drugiej kozy utoczoną, której połowę oddał klucznik drugiemu pacholcowi. Nie było zatem żadnej obawy, ażeby wino mogło być zatrute.

Sam więc wychyliłem miarkę, objętością średniej szklance wyrównywającą. Była to doskonała stara malaga. Wypiwszy ją, uczulem jakieś błogie ciepło, które się po całym mojem ciele rozchodziło. Kazałem wezwać z baszty porucznika, aby go też poczęstować, a następnie dałem zlecenie jednemu z sierżantów, aby takąż porcją każdego z żołnierzy obdzielili.

Kiedy więc odbywa się ta libacya, zbliżył się tymczasem do mnie klucznik i z cicha mi oświadczył, że ma kilka słów ze mną na osobności do pomówienia. Wszedłem z nim do mojej celi, gdzie na stole świeca się paliła, a kazawszy mu zamknąć drzwi za sobą, zapytałem, co ma mi do powiedzenia.

Obejrzał się na wszystkie strony, jakby chciał się przekonać, czy jesteśmy sami, i dobywszy jakiś przedmiot z kieszeni, rzekł, otwierając rękę:

— Senior colonello wie zapewne, co to znaczy?

Drgnąłem, ujrawszy w jego dłoni mój medalion z Matką Boską Częstochowską. Chwyciłem za medalion i zawołałem:

— Tak, to jest moja własność, to jest mój medalion.

— Osoba, która go przysłała, musi widzieć się z Waszą Ekszelencyą.

— Gdzie i kiedy? — zapytałem.

— Dzisiejszej nocy, zaraz jak północ uderzy.

— A gdzież ją znajdę, tę osobę?

— Wasza Ekszelencya korytarzem wyjdzie na taras zamkowy. Ja tam będę oczekiwał i doprowadzę.

Następnie prosił, żeby mu zwrócić medalion, aby go oddał osobie, która go przysłała, ale oświadczyłem mu,

że medalion zatrzymam, a może zapewnić tę osobę, że w czasie i miejscu oznaczonym stawię się niezawodnie.

Rozjaśniło mi się w myślach. Nikt inny medalionu nie mógł przysłać, jak tylko Manuela. Te uprzejmości, jakoby ze strony pana zamku świadczone, nie od kogo innego pochodzić mogły, tylko od Manueli. A więc ją za parę godzin zobaczę, bo niema żadnej wątpliwości, że się w tym zamku znajdować musi. Wprawdzie fizyonomia klucznika niewielkie we mnie budziła zaufanie: było w niej coś lisiego. Nie podobała mi się jego przesadna uniżoność i to ciągle tytułowanie mnie pułkownikiem i Ekscelencyą, gdy wiedział, że tem nie jestem. Ale mogłem się mylić; skoro bowiem Manuela obrała go za swego powiernika, musiał być chyba zasługującym na zaufanie.

Gdym wrócił do kordegardy, libacya żołnierzy winem jeszcze nie była skończona. Jeden ze starszych, a za nim i kilku innych przystąpiło do mnie.

— Ej, panie kapitanie! — rzekł wiarus — żeby to nas pan kapitan kazał jeszcze drugą taką racyą poczęstować!

— Nie można, mój stary — rzekłem. — Wino jest doskonałe, ale bardzo mocne. Bądźcie jednak spokojni: za kilka godzin każę wam wydać po drugiej porcyi, a jutro rano dostaniecie trzecią, jeśli nam wystarczy. A teraz starajcie się wypocząć, bo nie wiemy, co nas jutro czeka.

Klucznik z pacholkami oddalił się. Obszedłem posterunki rozstawione, a znalazłszy wszystko w porządku, wróciłem do mojej kwatery z zamiarem wypoczęcia.

Ponieważ, jako komendant oddziału, winienem był czuwać nad jego bezpieczeństwem, przeto, aby się nadto we śnie nie pogrążyć, nie kazałem sobie przynieść słomy na posłanie, lecz postanowiłem tylko przedrzemnąć

się na wyplecionym słomą stołku, dostarczonym mi przez klucznika.

Zasiadłszy więc przed stolikiem, na którym paliła się świeca, położyłem przed sobą zegarek, abym w każdej chwili mógł wiedzieć, która godzina, a oparłszy się o stół rękoma i skłoniwszy na nie głowę, starałem się zasnąć. Było dopiero po dziesiątej, miałem więc przed sobą blisko dwie godziny do północy, przez które mogłem się oddać spoczynkowi.

Wino, którego sporą wypilem szklanke, zaczęło na mnie działać. Uczulem w skroniach silniejszą i przyspieszoną pulsacyę, jakiś stan błogiego rozmarzenia; do tego strudzony marszem i parogodzinną bezsennością, w krótkim przeciągu czasu zasnąłem.

Śniło mi się, że byłem w porcie Malagi i stałem nad brzegiem, a przede mną kołysała się łódka, w której siedziała Manuela, wzywając mnie do tej łodzi. Wioślarzy nie było żadnych, a łódź od brzegu była tak oddalona, że się dostać do niej nie mogłem. Kiedy tak chodzę nad brzegiem i biedzę się myślami, jakby temu zaradzić, łódź zaczyna się tymczasem coraz bardziej oddalać, maleje... maleje... i staje się w końcu tak drobna, jak wizerunek N. P. Maryi del Pilar, który miałem na pierścionku. Manuela przesyła mi zdaleka jakieś znaki, jakby pożegnania, i wszystko rozplywa się w błękitach.

Zbudziłem się. Biła właśnie wtedy jedenasta. Ten sen zaniepokoił mnie cokolwiek: wody, widziane we śnie, jak mi to niegdyś w domu matki objaśniano, miały nie-dobre znaczenie. Ale przypomniawszy sobie, że wyobraźnia moja tak była zmęczona owym planem ucieczki z Malagi z Manuełą, a ten sen był tylko powtórzeniem się tego planu z pewnymi modyfikacyami, uspokoiłem się wkrótce i sen na nowo skleił mi powieki.

Teraz obrazy senne zaczęły się dziwnie zmieniać i i platać; powtórzyć-był ich nie potrafił, gdyż ostatni obraz zatarł wszystkie inne i sam tylko jaskrawo pozostał w mojej pamięci. Śniło mi się, że nadeszła już godzina, w której powinienem się udać na umówioną schadzkę. Z obawy, abym się nie zapóźnił, wybiegam z mej celi na korytarz, którym chcę udać się na taras zamkowy. Wtem w korytarzu spotykam moją matkę, bladą, ale z wyrazem nieopisanej dobroci i łagodności na twarzy. Całą postacią zagradzając mi przejście, z rozpostartemi rękami, rzekła, gdym się do niej zbliżył: „Nie pójdziesz dalej, ja ciebie nie puszcze!“—W tej chwili zegar wieżowy zaczął bić dwunastą. Zbudziłem się, ale w oczach i uszach pozostały jeszcze: wizerunek mej matki i brzmienie jej głosu. W pierwszej chwili nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, a gdym wreszcie zupełnie się roztrzeźwił, nie wiedziałem, co począć. Miałżeby to być sen ostrzegający? Ale w sny nie wierzyłem. Uważałem je zawsze jako proste tylko odbicie w wyobraźni wrażeń doznanych. Czyż należało dla sennego widziadła, dla urojenia poświęcić urok chwili obecnej? Aby się więc nie męczyć dłużej myślami, zerwałem się, wziąłem szpadę i odwiedziony pistolet, i wyszedłem na korytarz, pozostawiając drzwi lekko przymknięte, by przy świetle, wychodzącem z mojej celi, można się było w ciemności korytarza oryentować.

Ledwie postąpiłem parę kroków, ujrzałem szanowną postać mojej matki, stojącą w tem samym miejscu, jak ją poprzednio we śnie widziałem. Wprawdzie mniej wyraźnie, ale jej rysy dobrze mogłem rozpoznać. Nie przemówiła ani słowa, ale z jej postawy widocznem było, że mi przejścia wzbronąć usiłuje. Nie postąpiłem już dalej. Strach mnie ogarnął i cofnąłem się do celi, zamykając drzwi za sobą.

Byłoby to prostym złudzeniem wzroku, odbiciem się jakiegoś światła, któremu moja wyobraźnia, zostająca pod silnem wrażeniem sennego widziadła, też same kształty nadała? Czy to była halucynacya, czy też rzeczywiście duch mojej matki, który jawił się przede mną, tego już nie byłem w stanie rozwikłać. Uznałem jednak, że to musi być jakiś z góry znak ostrzegający, którego lekceważyć nie należy.

Dalem słowo stawienia się po północy w miejscu umówionem, należało go więc dotrzymać, ale przystąpić do tego wypadało z wielką ostrożnością. Wziąłem tedy trzech żołnierzy z kordegardy, kazałem im broń opatrzyć i postawiłem ich przy owych drzwiach, wychodzących na taras w końcu korytarza, sam zaś, mając w dłoni odwiedziony pistolet, ostrożnie odsunąłem rygle, zamykające owe drzwi. Odchyliłem cokolwiek drzwi, które się w stronę tarasu otwierały, i za pomocą doskonałej wojskowej lunety, którą zawsze nosiłem przy sobie, starałem się rozpoznać miejscowość.

Noc była ciemna, ale deszcz przestał padać i niebo się wypogodziło, można więc było nawet dalsze przedmioty rozpoznawać. Jakoż dostrzegłem przy murze głównego budynku kilku ludzi przyczajonych, którzy, licząc na ciemność, przypuszczali może, że ich z tej odległości dojrzeć nie potrafię. Bliżej drzwi po tarasie przechadzał się jakiś człowiek, płaszczem otulony, w którym domyśliłem się klucznika. Wezwałem go też po imieniu.

— Wasza Ekscelencya długo na siebie czekać daje. Ja tu już jestem od półgodziny.

— Ale czy tylko sam jesteś?

— Sam jeden. W zamku wszystko śpi snem głębokim. Czuwa tylko jedna osoba, która na Waszą Ekscelencyę oczekuje.

— Dobrze — rzekłem — ale chodź tu pierwej do

mnie, gdyż potrzebuję z tobą porozumieć się jeszcze co do jednego punktu.

Gdyby przyszedł, moi żołnierze mieli rozkaz przytrzymać go, i miałem zamiar prawdę z niego wy badać.

— Nie mogę — odrzekł — ale Wasza Ekscelencya niech się śpieszy, bo czasu szkoda.

— A co znaczą ci ludzie, którzy tam pod murem leżą przyczajeni?

Na te moje słowa klucznik zaczął uciekać.

— A, niepoczciwy łotrze! — zawołałem i strzelilem za nim z pistoletu.

Klucznik padł, nie wiem czy ugodzony, czy ze strachu.

Kazałem żołnierzom drzwi zatrzaskać. W tejże chwili posypały się strzały, które już w drzwi zamknięte ugodziły.

Nie było zatem wątpliwości, że urządzono na mnie zasadzkę, której tylko cudownym sposobem uniknąłem. Miałaby Manuela brać w niej udział? Tego w żaden sposób przypuścić nie mogłem. Ależ medalion był w jej rękach! Prawdopodobnie podejściem, a może nawet przemocą został jej odebrany... A może ona sama znajduje się w niebezpieczeństwie i uwięziona jest w tym zamku?

Gdy wróciłem do kordegardy, wszystkich moich żołnierzy zastałem na nogach z bronią w rękę; słyszane strzały były tego powodem. Uspokoilem ich, że, jeżeli przyjdzie do walki, to chyba dopiero nad ranem; poleciłem więc, aby zawczasu broń swą opatrzyli, a dla wzmocnienia ducha kazałem wydać każdemu po kubku zachowanego wina, co jak najlepsze wywarło skutek. Sam zaś, powróciwszy do mojej celi, o śnie już myśleć nie mogłem, tylko o tem, jakie należy obmyślić środki w danych okolicznościach.

Nadchodził już poranek. Wszystko, jak się zdawało, było jeszcze w spokoju. Kazałem żołnierzom rozdać resztę

wina i na pierwszy strzał być w pogotowiu do walki, a ładunków oszczędzać, o ile możności.

Jak się tylko cokolwiek rozwidniło, rozległ się strzał poza murami zamku; był to właśnie sygnał do walki. Tłum powstańców zbliżył się pod zamek, sposobiąc się do przypuszczenia szturm. Ja wszystkie strzelnice, będące w basztach, bramie i w murze naszej oficyny, obsadziłem szczelnie moimi wiarusami, którzy na strzały strzałami też zaczęli odpowiadać, nie dopuszczając powstańców do bramy. Jednocześnie we wszystkich oknach środkowego budynku ukazali się zbrojni ludzie, dając ognia do wart, rozstawionych w oknach oficyny, i do żołnierzy, pilnujących bramy. Strzały, wychodzące z zamku, tak strychowały głębokość bramy, że, raniwszy kilku moich żołnierzy, zmusiły resztę do ustąpienia. Była więc obawa, aby załoga powstańcza zamku nie zrobiła wycieczki i nie opanowała bramy, otwierając ją, coby jej dało możliwość połączenia się z bandami, szturmującymi z zewnątrz. Temu należało jak najspieszniej zapobiedz.

Wtem jeden z wartujących, postawiony przy drzwiach od korytarza, wychodzących na taras, zaraportował mi, iż dostrzegł przez szparę, że się powstańcy z przepaści przez mur na taras przedostają i zaraz śpieszą wzmocnić załogę zamkową.

Należało co rychlej temu przeszkodzić. Sformowałem więc niewielki oddział, aby wyruszył z korytarza na taras i usunął możność tej komunikacji. Ale oddział ten tak silnym ogniem z okien zamkowych został powitany, że ze stratą kilku ludzi musiał się napowrót cofnąć. Nie pozostawało więc innego środka, jak tylko wziąć szturmem główny gmach zamkowy.

Sformowałem więc kolumnę z 40-tu ludzi, sam stanąwszy na jej czele, dziesięciu zaś do piętnastu ludzi miało stanowić rezerwę. Porucznik z resztą oddziału miał

sobie powierzoną obronę zamku od nacierającego nieprzyjaciela z zewnątrz.

Wartom, wzmocnionym w oknach oficyny, kazałem zdwoić ogień przeciw oknom zamkowym, sam zaś, podzieliwszy mój zastęp na mniejsze oddziały, na czele pierwszego rzuciłem się gwałtownie na dziedziniec do drzwi zamkowych. Uderzenia naszego drzwi frontowe, słabo w murze starością skruszonym osadzone, nie wytrzymały i runęły, wraz z kamiennymi uszakami, w które były wprawione.

Znaleźliśmy się odrazu w obszernej sieni, naprzeciwko schodów kamiennych, obsadzonych powstańcami. Żołnierz nasz, oswojony z tego rodzaju walką, nie potrzebował komendy, sam uniał wybrać dla siebie najdogodniejsze stanowiska. Jednocześnie też sypnęły się strzały ze stron obu — i z góry i z dołu. Padło ludzi немало i po naszej stronie i po przeciwnej. Wszystko załęzało teraz na pośpiechu. Żołnierze też moi instyngtowo biegli szybko z bagnetem nastawionym na schody. Powstańcy nie wytrzymali tego natarcia, opuścili schody, a rzuciwszy się w pierwsze drzwi otwarte, zatrzasnęli je za sobą.

Zdobyliśmy więc piętro, ale z wielkimi stratami, bo ofiarą kilkunastu dzielnych naszych wiarusów. Oddział mój, chociaż powiększony rezerwą, zredukowany do trzydziestu zaledwie ludzi, trzeba było jeszcze podzielić, by pozostawić część na dole, dla oczyszczenia izb dolnych z powstańców, — reszta miała zdobywać komnaty górne. Jeżeliby wzięcie każdej z osobna miało nas tyle ofiar kosztować, czułem, że mi w końcu może zabraknąć sił do opanowania całej budowli.

W tej chwili niepewności co dalej począć, usłyszeliśmy dosyć daleki wprawdzie, ale wyraźny strzał armatni. Oblicza wszystkich rozjaśniły się: nie było wąt-

pliwości, że nadciągają nam posiłki, że major z resztą batalionu i działami śpieszy nam z odsieczą. Energia wstąpiła w moich żołnierzy, a objawiła się tem, że ze zdwojoną gwałtownością rzucili się naprzód.

Wyłamano więc drzwi od pierwszej komnaty. Powstańcy, dawszy strzał za ledwie jeden, szybko uciekać zaczęli do następnej, zatarasowując drzwi za sobą. Widocznie ten sam strzał armatni, który dodał nam odwagi, rzucił pomiędzy nich popłoch paniczny; bronili się już słabo i dalsze komnaty prawie bez walki opuszczali. Cała też nasza robota ograniczała się teraz do wyważania drzwi zamkniętych i zajmowania miejsc opuszczonych. Kiedyśmy tak czwarte drzwi już wyłamali, znaleźliśmy się w obszernej kaplicy zamkowej, której okna, wychodzące na taras, były zasłonięte. Na środku tej kaplicy stał katafalk czarny z kilku stopni złożony, a na nim trumna odkryta. W czterech rogach katafalku w wysokich lichtarzach, paliły się cztery woskowe gromnice. Żołnierze, nie zważając na to zjawisko, rzucili się zaraz do drzwi przeciwnych za uchodzącymi powstańcami i wtoczyli się do następnej komnaty.

Posuwając się za nimi, przez ciekawość zbliżyłem się do katafalku. W trumnie leżała kobieta... a w tej kobiecie poznałem Manuellę!

Na ten widok osłupiałem. Ogarnęła mnie rozpacz. Straciłem przytomność.

— Manuelo!... droga Manuello!... to ja przy tobie!— wołałem zrozpaczony, sądząc, że mój głos ją rozbudzi, wyrwie z tego uśpienia czy letargu.

Padłem na kolana na stopniu katafalku, chwyciłem rękę leżącej w trumnie. Ręka była już sztywna i zimna, jak marmur.

Ust niegdyś różanych dotknąłem mojami ustami, ale doznałem uczucia, jakgdybym dotknął lodu. Życie już

tam wygasło, ale w mojej rozpaczycy nie mogłem się z tem oswoić. Cisnąłem drobną rączkę pomiędzy mojami, sądząc, że może tym sposobem potrafię ją rozgrzać i ciepło żywotne powrócić.

W tej chwili, tuż naprzeciwko, po drugiej stronie katafalku, otworzyły się drzwiczki w murze ukryte. Wyskoczył z nich, ku wielkiemu memu zdumieniu, raz tylko widziany w cyrku w Grenadzie, ale doskonale zapamiętany, don Ramiro. Trzymał pistolet w dłoni, a doszedłszy do trumny, zawołał:

— Naciesz się!... oto jest twoja ofiara, ale i tobie ten sam los przeznaczony.

To wyrzekłszy, przez szerokość trumny, prawie dotykając mej piersi, wypalił do mnie z pistoletu i w tej chwili zniknął we drzwiach, któremi się zjawił.

Stało się to tak nagle, że przy usposobieniu, w jakim byłem, nawet się bronić nie umiałem.

Uczułem tylko gwałtowny ból w piersi i zacząłem tracić przytomność. Nie puszczając ręki Manueli, stoczyłem się wkrótce na stopnie katafalku.

Jak długo w tym stanie pozostawałem, tego nie wiem, ale przyprowadziło mnie cokolwiek do przytomności silne szarpanie.

— Co to znaczy!... Kto tu? — zawołałem.

— To ja, Józwik. Już chwilę czasu szukam pana kapitana... Dzięki Bogu, że znalazłem. Niech pan kapitan wstaje, trzeba zaraz uchościć bo wielkie grozi niebezpieczeństwo.

— Daj mi pokój — rzekłem z niechęcią — idź precz sobie... Nie pójdę... Ja się stąd nie ruszę.

— Ależ, panie kapitanie!... Zamek cały w płomieniach!... Niema jednej chwili do stracenia.

— To mi wszystko jedno. Nie męcz mnie... Ruszaj sobie.

Józwik, widząc, że ze mną niema co gadać, a tylko działać potrzeba, wyswobodziwszy z rąk moich rękę Manueli, jako chłop silny, postawił mnie na nogi, lecz widząc, że się chwieję i gną się pode mną kolana, chwycił mnie, jak dziecko, na ręce.

Ja się wydzieralem do trumny, krzyczałem, gniawałem się, prosiłem; chciałem trumnę i ciało zabierać, broniłem się nawet, ale niedołężnie. Józwik na nic nie zważał, tylko unosił mnie przez komnaty, dymem napelnione; na schodach dym był już tak gęsty, że ledwo można było oddychać. Nareszcie wydostawszy się z gmachu, złożył mnie omdlałego w pobliżu bramy na dziedzińcu.

Major i oficerowie otoczyli mnie kołem. Lekarz batalionowy dał mi jakieś sole do wążania i to mnie na chwilę orzeźwiło. Ujrawszy stojącego majora:

— Majorze—rzekłem słabym głosem—ratuj! Tam ona!

I wskazałem na gmach płonący, z którego już wszystkich okien płomienne języki wybuchały. Ale w tej właśnie chwili dach przepalony zapadł się z ogromnym trzaskiem; buchnęły czarne, gęste kłęby dymu, a za nimi miliony iskier, jakby z krateru wulkanu. Zemdlałem ponownie.

Bitwa była skończona. Przeszło czterdziestu powstańców, ciężej i lżej rannych, dostało się w nasze ręce; pomiędzy jeńcami był i don Ramiro, ranny w głowę i nogę. Z naszej strony straty były znaczne: 17-tu zabitych i przeszło 30-tu rannych. Ja otrzymałem tylko mocną kontuzję, od której pierś mi napuchła, ale lekarz nie uznał jej niebezpieczną. Zdaje się, że kiedy don Ramiro do mnie wypalił z pistoletu, w pistolecie kuli nie było: musiała się z lufy wysunąć. Kontuzję zaś miałem od przybitki, która z tak blizkiego dystansu z nadzwyczajną siłą uderzyła.

Kiedy pochowano naszych zabitych i usypano nad nimi mogiłę, major, opuszczając zamek, nakazał spalić i resztę budowli, aby tym sposobem zniszczyć owo gniazdo bandytyzmu. Ciała zabitych powstańców kazał znieść do tych budowli, na spalenie przeznaczonych, aby razem spłonęły i nie zarażały zgnilizną powietrza.

Muły, które zabraliśmy z zamku, rozdzielono pomiędzy ciężej rannych; na jednym jechał też don Ramiro, a i mnie się dostał muł także, aż do miejsca, gdzie zostały pozostawione nasze tabory. Kiedy odbywaliśmy z gór ten marsz powrotny, w miejscu, gdzie droga była szersza, zbliżyłem się do don Ramira, chcąc się od niego dowiedzieć o przyczynie śmierci Manuela.

— Senior capitano — rzekł do mnie — winienesz chyba twojej Madonnie, której wizerunek nosisz na piersiach, że potrafiłeś wyjść cało z tylu niebezpieczeństw; byłeś bowiem objęty jednym wyrokiem, co i Manuela.

— O barbarzyńcy! — zawołałem — więc wy ją zamordowaliście?

— Cóż w tem dziwnego? — rzekł spokojnie. — Ponieważ była złą Hiszpanką, więc musiała umrzeć.'

Na dalsze moje pytania nie chciał odpowiadać.

Tegoż jeszcze dnia wieczorem stanęliśmy w Velez-Malaga, a następnego około południa w Maladze.

Generał Sebastiani bardzo był zadowolony z naszej wyprawy. Major całą zasługę powodzenia mnie przyznał w swoim raporcie. Generał w pochlebnych wyrazach wynurzył mi podziękowanie, obiecując przytem przedstawienie do nagrody. Przyjąłem to nader obojętnie; prosiłem tylko, aby z powodu mego nadwątlonego zdrowia raczył mnie na czas jakiś uwolnić od służby.

Wzięcie do niewoli don Ramira, najniebezpieczniejszego dla nas z dowódców powstańczych, oraz kilku innych dowódców band pomniejszych okryło nasz korpus

wielką chwałą, ale miasto pograżyło w żałobie. Wszystkie kobiety przybrały się czarno, a po kościołach odbywały się żałobne nabożeństwa za dusze poległych.

Generał wszystkich wziętych do niewoli kazał stawić przed sąd wojenny. Don Ramiro i pięciu innych dowódców skazani zostali na powieszenie, reszta miała być odesłana do Francji w niewolę wojenną.

Don Ramiro, stawiony przed sądem, złożył zeznanie krótkie, ale pełne godności:

— Jestem szlachcic. Imię moje Ramiro. Nazwiska mej rodziny nie wymieniam, bo to, uważam, do sprawy całkiem niepotrzebne, a jako dowódca oddziału, znany byłem pod nazwiskiem „El valeroso”. Stanałem następnie na czele oddziałów powstańczych, formujących się w różnych miejscowościach, albo walcząc w połączeniu i pod rozkazami znaczniejszych dowódców, albo prowadząc partyzantkę na własną rękę w górach Terruelu, Albaracin, Ronda i Nevada. Ile tylko złego mogłem wyrządzić wrogom mojej ojczyzny, tyle o to usilnie się starałem. O żadną łaskę nie proszę, a nawet udzielonej-bym nie przyjął. Jedno mam tylko żądanie, któremu nawet nieprzyjaciół odmówić nie powinien, ażebym mógł umrzeć, dopełniwszy przepisów, jakie nam święta nasza religia katolicka nakazuje.

W dniu egzekucji don Ramiro, przybrany w habit zakonny, posadzony na osła przodem do ogona, prowadzony był, wraz z innymi skazanymi, przez celniejsze ulice miasta. Okna we wszystkich domach były pozamykane i kurtynami zasłonięte; na ulicach, jakby miasto wymarło, nikogo prawie nie było; zaledwie gdzieś małe grupki ludzi stały. Don Ramiro, jadąc na osła, od czasu do czasu zwracał się do nich i głośno odzywał: „Uczcie się, Hiszpanie, jak słodko za ojczyznę umierać!” Dobosze, idący z konwojującym oddziałem, starali się

biciem w bębny słowa don Ramira zagłuszyć. Gdy orszak stanął na rynku, ksiądz, towarzyszący skazańcom, dał im ostatnią absolucję. Don Ramiro chciał się jeszcze odezwać, ale go bębny zagłuszyły. Nastąpiła egzekucya: pięciu dowódców powieszono naprzód, a na końcu dopiero don Ramira, na balkonie corregidora miasta, jako znanego z nieprzychylności dla Francuzów. Don Ramiro do ostatniej chwili zachował odwagę i spokojność.

Tych wszystkich scen nie byłem świadkiem. Wiedziałem o nich tylko z opowiadania.

Don Ramiro był moim rywalem i wrogiem nieprzejednanym, ale jako człowiekowi, który z największym patriotyzmem poświęcił się na usługi sprawie narodowej, nie mogłem odmówić uznania, ani zasłużonego szacunku.

Należał on do rzędu tych osobistości, które sprawie, dobijającej się o swe najświętsze prawa, nadają wzniosły charakter i podnoszą wysoko sztandar godności narodowej.

Zdrowie moje z dniem każdym pogorszało się. Wywiązała się jakaś trawiąca gorączka, której miejscowi lekarze usunąć nie umieli.

W tydzień może po opisanych wypadkach odebrałem list od matki, który mnie w pierwszej chwili ucieszył, ale, gdym się wczytał, jeszcze większym napełnił smutkiem. Matka moja miała się źle, coraz gorzej.

W parę tygodni później znowu nadszedł list do mnie, tym razem z czarną pieczęcią i pismem rotmistrza. Ujrzawszy go, poznałem cały ogrom mego nieszczęścia. Rotmistrz pisał:

„Kochany Pawle! Bolesnej ci muszę udzielić wiadomości, że twoja najzaciejsza matka, a moja najukochańsza siostra, w dniu 27 listopada, o samej północy, oddała Bogu ducha. Zgon jej był lekki, a ostatnie słowa

były błogosławieństwem dla ciebie. Ja sam także coraz więcej podupadam na siłach i kruszeję. Jeżeli już masz dosyć tej wojaczki, to bierz dymisyę i powracaj do nas, żebym mógł jeszcze przed śmiercią uściskać ciebie i oddać ci osobiście twoją ojcowiznę“.

Data śmierci matki co do minuty zgadzała się z mojem widzeniem w zamku po-maurytańskim. Tak więc jej święte słowa, wyrzeczone do mnie przy pożegnaniu, w zupełności się sprawdziły: póki żyła, chroniła mnie od przygód jej modlitwa, a po śmierci dusza jej czuwała jeszcze nade mną i stanęła widomie, by mię od zguby ochronić.

Wiadomość o śmierci matki nie mogła korzystnie wpływać na moje zdrowie, owszem, bardzo się ono pogorszyło. Koledzy moi uznali, że jedynem dla mnie ocaleniem będzie powrót do kraju, a jeżeli już mam umrzeć, to lepiej, gdy to nastąpi na ziemi rodzinnej, aniżeli gdzieś na obczyźnie, na drugim końcu świata. Wszelkim więc swoim wpływem popierali moje podanie się o dymisyę, które jednak nie tak prędko, bo dopiero w końcu lutego 1811 r., odebrałem.

Pożegnanie z towarzyszami broni było serdeczne, a już najserdeczniejsze z poczciwym Józwikiem, którego dozgonnym zostałem dłużnikiem za ocalenie mi życia.

W Madrycie, dla wypoczynku, zabawiłem dni kilka. Odwiedziłem poczciwego doktora, który z całą rodziną przyjął mnie, jak to mówią, z otwartemi rękoma. Badając moją chorobę, długo się namyślał, nareszcie wyrzekł, że u mnie jeszcze bardziej chora dusza, aniżeli ciało, i niema na to innego lekarstwa, tylko czas jeden, który uspokoić ją może.

Marykita przez te kilka miesięcy, w ciągu których jej nie widziałem, bardzo wyladniała i spoważniała. Ostatniego wieczora rzuciła mi pytanie:

— Dlaczego ty ciągle taki jesteś smutny?

— Wiesz przecie — rzekłem — że straciłem matkę.

— Ach! musi to być straszna boleść matkę utracić — i rzuciła się na szyję swej matce, namiętnie ją całując, jakby chciała tym sposobem dowieść, że pragnie ją przy sobie jak najdłużej zatrzymać, — potem, zwracając się do mnie:

— Więc pocóż tam jedziesz, Pablo, kiedy już matki nie masz? Zostań lepiej tu z nami. Będzie ci weselej. Tam nikt na ciebie nie czeka, a my tu, aby cię pocieszyć, otoczymy cię najserdeczniejszą przyjaźnią. Będziesz jakby wśród własnej rodziny.

Tłómaczyłem jej, jak mogłem, powody, które mnie do powrotu do kraju zmuszają.

— No! to przynajmniej daj słowo, że niedługo do nas powrócisz.

— Nie, moja Marykito, już nie powrócę. Dziś, choć z boleścią serca, ale ostatni raz cię tu pożegnam.

— Ach! jaki on niedobry! — rzekła, zwracając się do rodziców. — My go tak pokochaliśmy, a on chce nas na zawsze porzucić.

To powiedziawszy, tak się roztkliwiła, że niemało czasu upłynęło, zanim łącznie z rodzicami potrafilismy ją uspokoić. Obiecałem jej tylko, że, skoro wrócę do kraju, zaraz do niej pisać będę i o sobie doniosę, czego też dopełniłem, ale nie wiem, czy list mój ją doszedł, bo na nim się nasza korespondencya zakończyła. W kilka lat później dowiedziałem się, że Marykita zrobiła świetną partyę i że jest szczęśliwa.

Podróż z Madrytu w tej epoce nie była tak bardzo bezpieczna, ale udało mi się bez żadnej przeszkody dotrzeć do San Sebastiano. W tem mieście wypadł mi ostatni nocleg na ziemi hiszpańskiej.

W oberży, w której się zatrzymałem, spotkałem się

najniespodziewaniej z don Enrikiem. Ucieszyliśmy się sobie bardzo.

— Skądże się tu zjawileś, don Pablo? — zapytał.

— Wziąłem dymisyę i wracam do kraju.

— A to ci wieszuję. Nie mogłeś nie mędrszego uczynić, jak opuszczając to piekło rozkiełznanych ludzkich namiętności, bo to, co się dotąd tu działo, jest niczem w porównaniu z tem, co jeszcze nastąpi. Przekonasz się kiedyś o prawdzie słów moich, że najdalej za lat parę ani jedna noga francuska na ziemi naszej nie zostanie, a wtedy Hiszpania odrodzi się, jak Feniks, z popiołów.

Potem mię zapytał, czy znowu gdzie jakich ran nie otrzymałem.

— Ech! to długa historya — rzekłem.

— A ja jednak chętnie jej posłucham, jeżeli tylko raczysz mi ją opowiedzieć.

Opowiedziałem mu więc całą historyę mojej miłości. z wszelkimi szczegółami, od początku aż do ostatniej katastrofy.

— Z tego wszystkiego widzę — rzekł, gdym skończył — żeś się podobał donnie Izabelli i chciała cię dla siebie zatrzymać, a przyjaciółkę rzucić w objęcia don Ramira. To się często tu u nas praktykuje. Ale widać, mój Pablo, że ty i Manuela nie musieliście być sobie przeznaczeni, kiedy nie mogliście się z sobą połączyć. Być może nawet, że i lepiej się stało, bo, o ile z opowiadania twego osądzić mogłem, charaktery wasze nie odpowiadały sobie. Jej ognisty, twój więcej umiarkowany, zupełnie jak natura i klimat krajów, w których się urodziliście. Tobieby było w Hiszpanii za gorąco, za duszno i za ciasno między jej górami; tęskniłbyś do pól rozległych i do rzeświejszego powietrza. Jej byłoby znów za zimno pod waszem ołowianem niebem, za tęskno śród monottonnych płaszczyzn. Na każdym kroku brakłoby jej

pięknej Huerty z okolic Segorbii i gór, owianych ciepłym, przezroczystym powietrzem. Oboje czulibyście się nieszczęśliwi; onaby nie przeżyła twego zobojętnienia, a ty miałbyś sobie do wyrzucenia, żeś jej nie potrafił uczynić dość szczęśliwą. A tak, umarła — boleść czas złagodzi, a pozostanie ci jedno może z najmiłszych wspomnień w twem życiu.

Na drugi dzień, około południa, przebyłem rzeczkę Bidassoę i znalazłem się w granicach Francyi. W połowie maja stanąłem w domu, gdzie powitałem rotmistrza, który przez te lat kilka mocno podstarzał i wiele stracił na dawnej swej energii. Bardzo mi się ucieszył; chciał mnie zaraz wszędzie oprowadzać i wszystko pokazywać, ale się wymówił tem, że przedewszystkiem muszę odwiedzić grób matki i złożyć na nim lżę synowską, wraz z gorącą modlitwą.

W rok po moim powrocie do kraju nastąpiła kampania rosyjska. Jako wojskowy, powołany znów zostałem do służby. Będąc już zdrowym, zaraz na pierwsze wezwanie stawilem się pod sztandar narodowy. Ponieważ wojska nasze, dotąd walczące w Hiszpanii, stamtąd odwołano, przeto i Józwik powrócił do kraju.

Mnie się udało następnie przeprowadzić go do mojego pułku w stopniu sierżanta, bo się pisać i czytać nauczył. Odbyliśmy całą kampanię razem, a w rejteradzie z Moskwy, zasłaniając przeprawę szczątków naszej armii przez Berezynę, obadwaj ranni, dostaliśmy się do niewoli.

Niewola trwała lat kilka. Powróciwszy z niej, osiedliłmy na rodzinnym zagonie, ale nie zastaliśmy już: ja — poczciwego mego rotmistrza, Józwik zaś starego swego ojca. Śmierć obydwóch zabrała.



„MODERNE” Wyborne MYDŁO
TOW. AKC. **F. PULS.** w WARSZAWIE
DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.

Księgarnie

GEBETHNERA i WOLFFA

W WARSZAWIE, W LUBLINIE i W KRAKOWIE

polecają utwory:

GUSTAWA ZIELIŃSKIEGO, AUTORA
„KIRGIZA“:

- Poezye.** Wydanie zupełne z wizerunkiem poety, opatrzone przedmową d-ra Piotra Chmielowskiego. Tom I—II 2.40
- Kirgiz.** Powieść poetycka, wydanie popularne Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży szkolnej —.06

NOWOŚĆ (z rękopisów pozostałych po poecie):

- Manuela.** Powieść historyczna z czasów Napoleońskich, z ilustracjami Jana Holewińskiego —.—

Walentego Zielińskiego:

- Czarodziejskie wiano.** Baśń poetycka z ilustracjami Stanisława J. Kozłowskiego —.80

NOWOŚĆ (z dn. 1-ym października r. b. opuszcza prasę):

- Królewskim szlakiem.** Poezje 1.—
-
-



160 -

5206/80

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

106482